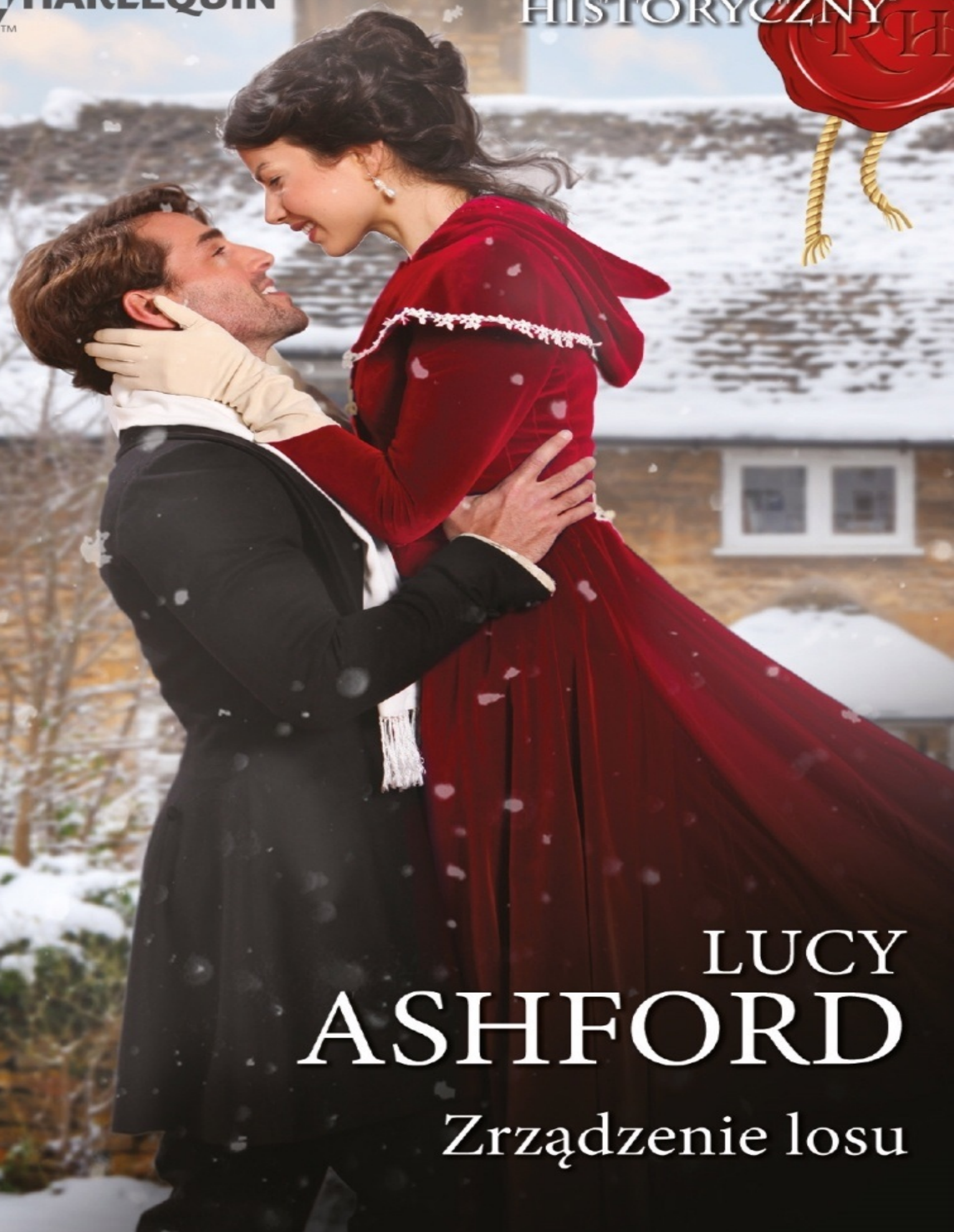


 HARLEQUIN[®]
TM

ROMANS
HISTORYCZNY[®]

LUCY
ASHFORD

Zrządzenie losu

Lucy Ashford

Zrządzenie losu

Tłumaczenie:
Bożena Kucharuk

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Hrabstwo Kent, Anglia - 1815 rok

W szarym świetle styczniowego popołudnia dwaj mężczyźni w ciemnych ubraniach stali na pustej, kamienistej plaży i patrzyli na morze.

- Wkrótce już nic nie będzie widać, kapitanie Luke - mruknął starszy i niższy z nich. - Cholerna mgła jest gęsta jak nasza wojskowa owsianka.

- Ciesz się z tej mgły, Tom. - Luke Danbury nie spuszczał wzroku ze złowrogiego, szarego bezmiaru morza. - Dzięki niej celnicy nie wypatrzą statku *monsieur* Jacques'a.

- Wiem, kapitanie, ale...

- I chciałbym - dodał Luke - żebyś przestał nazywać mnie kapitanem. Minął ponad rok, od kiedy odszedłem z armii, pamiętasz?

- Tak czy owak, uważam że powinien pan być mnie wysłać razem z braćmi Wattersonami na spotkanie *monsieur* Jacques'a. Nie zdziwiłbym się, gdyby zgubili drogę - odrzekł Tom Bartlett, mężczyzna o bujnych włosach i twarzy ogorzałej od słońca i wiatru.

- Czyżby? - Przez twarz Luke'a przemknął nikły uśmiech. - Przecież kiedy służyliśmy na Półwyspie, Josh i Pete Wattersonowie byli już od lat w marynarce. Tacy jak oni nie gubią się na morzu nawet przy złej pogodzie. Niedługo tu będą.

Tom miał ochotę jeszcze coś powiedzieć, ale Luke już oddalił się od niego i skierował w stronę brzegu. Lekka morska bryza wzdymała jego długi, połatany płaszcz i grzywę ciemnych włosów.

- No cóż... - mruknął do siebie. - Mam nadzieję, że się nie mylisz, kapitanie, i że braciszekowie Watterson przywiozą francuskiego *monsieur* na brzeg. - Spojrzał na wznoszące się za ich

plecami klify, jakby spodziewał się dojrzeć tam obserwujące ich oczy wrogów oraz wycelowane strzelby. – Bo jeśli wypatrzą nas celnicy z Folkestone, to nie zdążymy nawet mrugnąć, kiedy zakują nas w kajdany.

Kapitan stał z rękami w kieszeniach, starając się przeniknąć wzrokiem mgłę. Być może oczami wyobraźni widział miejsce, gdzie w ubiegłym roku jego brat zaginął bez śladu.

Znajoma gorycz wypełniła jego serce. Był zmęczony czekaniem. Musi wreszcie poznać prawdę...

Naraz jego doskonały słuch wyłowił jakiś dźwięk. Luke podniósł rękę, a Tom, dawniej jego zaufany sierżant, zastygł w oczekiwaniu. W chwilę później z mgły powoli wyłoniła się łódź. Dwaj mężczyźni siedzieli przy wiosłach, a trzeci, odziany w czarny płaszcz, wychylał się niecierpliwie z dziobu. Tom ruszył ku nim przez płyciznę, gotów podać rękę pasażerowi. Kil łodzi zgrzytnął o kamienie.

– Jesteś, *monsieur*! – wykrzyknął Tom na powitanie. – Dobrze jest być z powrotem na suchym lądzie.

– O, tak! – Jacques się roześmiał. – I wśród przyjaciół.

Tom zwrócił się ku braciom Watterson, siedzącym przy wiosłach. Mieli kręcone brązowe włosy i byli do siebie tak podobni, że można byłoby wziąć ich za bliźniaków.

– Ech, łobuzy – rzekł. – Zawsze mówiłem, że marynarka lepiej sobie poradzi bez was! Zajęło wam to dużo czasu... Już myślałem, że się zgubiliście i popłynęliście z powrotem do Francji.

Bracia wyszczerzyli zęby w uśmiechu.

– A wojsko na pewno lepiej sobie radzi bez tej twojej ponurej facjaty, Tomie Bartlett. Ale rozchmurzysz się trochę, jak zobaczysz nasz ładunek.

– Prezent od *monsieur* Jacques'a? – spytał Tom, wskazując głową na pasażera, pogrążonego już w rozmowie z Lukiem kilka metrów dalej.

– Owszem, od *monsieur* Jacques'a.

Bracia wyciągnęli łódź na brzeg, po czym spośród starych sieci rybackich wydobyli ciężką drewnianą skrzynkę.

– Brandy – oświadczyli zgodnie. – *Monsieur* Jacques sownie wynagradza przyjaciół... Nie stój beczynnie, szcurze lądowy,

i nam pomóż.

- Moi ludzie rzucili tam kotwicę na noc - mówił Jacques do Luke'a. - Dobrze, że nas spostrzegłeś, zanim mgła zgęstniała, przyjacielu. Całe szczęście, że nie zobaczyli nas celnicy. Ile czasu minęło, odkąd bawiłem tu po raz ostatni?

- Widzieliśmy się pod koniec października - odrzekł Luke.

- Już tak dawno... - Jacques rzucił okiem na mężczyzn stojących przy łodzi i spojrzał znacząco na Luke'a. - Porozmawiamy później.

Po tych słowach podszedł do stojącej na kamieniach skrzynki z brandy, wyciągnął z niej butelkę i odkorkował scyzorykiem.

- Za zdrowie dzielnych rybaków, Josha i Pete'a Wattersonów!
- Uniósł butelkę i pociągnął łyk. - Za zdrowie Toma Bartletta!
A przede wszystkim za twoje zdrowie, kapitanie Danbury!

Jacques podał butelkę Luke'owi z prawej strony, ten jednak zgrabnie chwycił ją lewą ręką, która w przeciwieństwie do prawej nie była okryta rękawiczką.

- *Pardon* - rzekł Jacques. - *Mon ami*, zapomniałem.

- Nie szkodzi. - Głos Luke'a brzmiał spokojnie, choć przez jego twarz przemknął cień. - Za zdrowie wszystkich tu obecnych. Za prawdziwych przyjaciół wolności w Anglii i we Francji.

- Za prawdziwych przyjaciół wolności! - powtórzyli za nim pozostali.

Luke napił się i oddał butelkę Jacques'owi.

- I oby kiedyś sprawiedliwość - dodał - dosięgła brytyjskich polityków w Londynie za ich kłamliwe słowa i złamane obietnice.

Jeden po drugim podawali sobie butelkę, powtarzając uroczyście toast. W końcu Luke zwrócił się do Toma.

- Oczywiście zamierzam zabrać Jacques'a na noc do domu. Ale zanim ruszymy, chcę, abys sprawdził, czy droga jest bezpieczna.

- Londyńska droga, sir?

- Tak. Chcę, abys się upewnił, czy wokół nie kręcą się szpiegdy i wysłannicy rządu.

Tom spieszył już przez plażę w stronę ścieżki, wijącej się stro-

mo w górę klifu.

- Josh, Pete - polecił Luke braciom Watterson - zabierzcie tę brandy do domu i uprzedźcie, że przybył nasz gość.

- Tak jest, kapitanie - przytaknęli i natychmiast ruszyli w drogę.

Kapitan i Francuz zostali sami w gasnącym świetle popołudnia. Towarzyszyła im jedynie kłębiąca się mgła i krzyki mew. Teraz, pomyślał Luke, mogę zadać to najważniejsze pytanie, które zadawał już tak wielu ludziom w ciągu minionego półtora roku.

- Jacques, czy masz jakieś wieści o moim bracie? - Sam był zaskoczony spokojnym tonem swojego głosu.

Francuz sprawiał wrażenie przygnębionego. Serce Luke'a zamarło.

- *Hélas, mon ami!* - odrzekł w końcu. - Pytałem wzdłuż wybrzeża, kiedy pływałem w interesach. Pytałem wszędzie, gdzie mam znajomych, w każdej zatoce od Calais na północy do Royan na południu. I nic. - Rozłożył ramiona. - Twój brat zniknął razem z innymi w La Rochelle we wrześniu tysiąc osiemset trzynastego. Niestety wiadomo, że wielu zmarło. Jeśli chodzi o twojego brata, możemy tylko mieć nadzieję, że brak wiadomości to dobra wiadomość, jak to wy Anglicy mówicie. - Na jego twarzy malowało się współczucie. - Ale mam coś dla ciebie.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i podał Luke'owi małą paczuszkę owiniętą w impregnowane płótno. Luke chwycił ją dłonią w rękawiczce i otworzył lewą ręką. W wątłym świetle dostrzegł kolorowe wstążki i połyskliwy mosiądz. Były to medale wojenne z wygrawerowanymi miejscami bitew: Badajoz, Salamanka, Talavera.

Westchnął ciężko, uniósł wzrok i zapytał:

- Skąd je masz?

- Od pewnej leciwej wdowy po farmerze. Znalazła je na wpół zagrzebane w ziemi na swoim polu kukurydzy. Ma niewielkie gospodarstwo na wybrzeżu koło La Rochelle. Zorientowała się, że to angielskie ordery, i poprosiła mnie, żebym zawiózł je do Anglii. Mogły należeć do twojego brata, prawda?

Luke w milczeniu kiwnął głową. Mogły. Ale nawet gdyby tak

było, powiedział sobie w duchu, to nie znaczy, że brat umarł. Może nadal gdzieś tam jest. Może siedzi w więzieniu i potrzebuje mojej pomocy...

Skarcił się w myślach, dostrzegłszy ciemne kręgi pod oczami Francuza. Przyjaciel był bardzo zmęczony, chociaż starał się nie dać tego po sobie poznać.

- Później będzie czas, żeby porozmawiać - rzekł. - Będę zaszczycony, jeśli zechcesz zatrzymać się w moim domu i zjeść z nami kolację.

- Dziękuję, z miłą chęcią, chociaż muszę wyjechać jutro przed świtem. Moja załoga nie powinna trzymać statku na kotwicy po wschodzie słońca. - Jacques mocno chwycił Luke'a za ramię. - Wiesz, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby odnaleźć twojego brata. Przynajmniej to jestem ci winien, *mon ami*...

Urwał, zorientowawszy się w tej samej chwili co Luke, że wrócił Tom Bartlett. Kamyki na plaży chrzęściły mu pod stopami.

- Kapitanie, widziałem podróżnych na głównej drodze!

- Celnicy? - spytał Luke.

- Nie, kapitanie, to elegancki powóz. Dwóch lokajów, stangret i całe mnóstwo bagażu.

Luke poczuł ściskanie w gardle.

- Czy ten powóz wygląda, jakby przyjechał z Londynu, Tom?

- Chyba tak. Nie umiałem rozpoznać herbu na drzwiczkach, ale konie na pewno należą do lorda Franklina. Poznałem te cztery piękne gniadosze, co to je lord trzyma w stajni zajazdu George, niedaleko Woodchurch.

- Widziałeś lorda Franklina w powozie?

- Zauważyłem kobietę w średnim wieku, a obok niej drugą, młodszą. Ale czy jego lordowska mość tam był? - Tom potrząsnął głową. - Nie widziałem.

Luke podjął decyzję. Musi wiedzieć dokładnie, kto jedzie tym powozem.

- Tom, odprowadź *monsieur* Jacques'a do domu. Dołączę do was, kiedy tylko będę mógł - odrzekł i ruszył w stronę ścieżki.

Tom w lot domyślił się jego zamiarów.

- Nigdy pan nie dogoni gniadoszy lorda Franklina!

Luke odwrócił się.

- Będą się musieli zatrzymać po drodze, Tom. Zapomniałeś, że część drogi za Thornton zapadła się po tej ulewie w zeszłym tygodniu? Stangret lorda Franklina będzie musiał jechać powoli, żeby nie stracić koła. Wokół jest las, będę się mógł ukryć i spokojnie obserwować powóz i pasażerów.

- Ale co pan zamierza zrobić, kapitanie, jeśli lord Franklin tam jest?

- Nie martw się, nie mam zamiaru go zabić. Przynajmniej nie teraz. - Po tych słowach ruszył żwawo ku stromej ścieżce.

Tom uśmiechnął się z rezygnacją do Jacques'a.

- *Cóż, monsieur* - odezwał się - to i my już chodźmy do domu. W kominku jest napalone, a moja dobra żona zrobiła garnek gulaszu. A dzięki panu mamy się czego napić... - Zawahał się. - Domyślam się, że nie ma jeszcze żadnych wieści o młodszym bracie kapitana?

Jacques potrząsnął głową.

- Żadnych.

- Więc możemy nadal mieć nadzieję, że zjawi się cały i zdrowy!

Ruszył przed siebie, uradowany perspektywą gorącego posiłku. Idący za nim monsieur Jacques miał ponurą minę.

- Cały i zdrowy? - mruknął pod nosem. - Niestety, wątpię w to, przyjacielu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dziewiętnastoletnia Ellie Duchamp spoglądała przez okienko powozu na obcy angielski krajobraz. Chciała pojechać do Bircham Hall sama. Miałaby wtedy czas, aby przemyśleć wszystko, co wydarzyło się w jej życiu przez ostatnie miesiące.

Los nie dał jej jednak szansy zastanowić się, jak i dlaczego jej życie zmieniło się tak gwałtownie. Lord Franklin Grayfield, możny angielski arystokrata i kolekcjoner dzieł sztuki, odnalazł ją bowiem w pokoiku na mansardzie w Brukseli i oświadczył, że jest jego krewną i odtąd będzie pozostawać pod jego opieką.

Obok niej w powozie siedziała towarzyszka, przysłana przez lorda Franklina – panna Pringle, typowa angielska stara panna, która kilka dni temu przybyła do posiadłości lorda w Mayfair. Była niezwykle podekscytowana powierzonym jej zadaniem eskortowania Ellie do Bircham Hall, wiejskiej rezydencji lorda w hrabstwie Kent.

Kiedy poprzedniego dnia w południe przygotowywały się do odjazdu, lord Franklin, mężczyzna w średnim wieku, stał przed swym okazałym londyńskim domem na Clarges Street, obserwując, jak służący przymocowują kufer Ellie w tyle powozu. Opuszczając jego lordowską mość, panna Pringle zapewniała żarliwie, że zaopiekuje się podopieczną jak własną córką. Ellie przekonała się wkrótce, że w rozumieniu jej towarzyszki opieka oznacza ciągłe gadanie.

Pannie Pringle nie zamykały się usta, kiedy jechali przez Londyn. Paplała na przedmieściach i wśród zielonych pól za Orpington, a także na wszystkich postojach w przydrożnych zajazdach, gdy zmieniali konie.

Przy pierwszym spotkaniu Ellie powiedziała pannie Pringle, że wszystko rozumie po angielsku, jednak opiekunka uparła się, aby mówić wolno i z wielką starannością wymawiać każdą sylabę. Wystawiała cierpliwość Ellie na ciężką próbę.

Lord Franklin oświadczył, że jego zdaniem będzie korzystniej, gdy zatrzymają się na nocleg w zajeździe Cross Keys w Aylesford, chociaż do Kent można byłoby dojechać w jeden dzień. Ellie miała nadzieję, że kolacja spożywana w prywatnym saloniku uciszy jej towarzyszkę. Niestety, mimo że panna Pringle z entuzjazmem pałaszowała posiłek, jakimś cudem udawało jej się mówić tyle, co przedtem.

- Lord Franklin zawsze darzył moją rodzinę szacunkiem, Elise... - poinformowała swoją podopieczną.

Ellie na chrzcie otrzymała francuskie imię Elise. Jej ojciec, Francuz, i matka, Angielka zawsze zwracali się do niej „Ellie”. Nie poprawiała tych, którzy nazywali ją Elise; zwłaszcza że byli to najczęściej obcy ludzie.

- Mój drogi ojciec - ciągnęła panna Pringle z ustami pełnymi szynki i groszku - przez wiele lat był pastorem w parafii Bircham. A po jego śmierci lord Franklin... Och! Nikt nie mógłby zachować się uprzejmiej ani troskliwiej! Konieczność opuszczenia plebanii po odejściu papy napawała mnie wielkim smutkiem, lecz lord Franklin powiedział do mnie: „Moja droga Cynthia, nie możemy pozwolić, abyś opuściła Bircham, skoro od tylu lat jesteś tak ważną jego częścią!” Dokładnie tak to ujął! I w końcu lord Franklin znalazł dla mnie domek... najwspanialszy domek na świecie, muszę dodać, w najlepszej części wioski Bircham. Jest mi tam więcej niż wygodnie i niemal przez cały czas jestem zajęta rozlicznymi pracami dobroczynnymi.

Panna Pringle nachyliła się ku Ellie.

- Kiedy lord Franklin powiedział mi, że chciałby, abym pojechała do Londynu i towarzyszyła ci do samego Bircham Hall, a potem zamieszkała tam jako twoja towarzyszka... Och! Byłam zaszczycona. I pomyśleć, Ellie, że lord jest twoim krewnym! Niedługo znowu zamierza wyjechać. Teraz, gdy ta potworna wojna dobiegła końca, pragnie obejrzeć klasyczne budynki i dzieła sztuki w Paryżu. Lord Franklin jest ciągle w podróży, cały czas powiększa swoją wspaniałą kolekcję. Właśnie w taki sposób cię odnalazł. W Brugii, prawda?

- W Brukseli - odrzekła bezbarwnym tonem Ellie, odsuwając talerz. - Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, panno Pringle,

chciałabym udać się do swojej sypialni. Jestem trochę zmęczona.

Następnego ranka przy śniadaniu panna Pringle na nowo podjęła wątek.

- Tak więc... - zaczęła panna Pringle znad grzanek z marmoladą - ...lord Franklin odnalazł cię w Brukseli. I pomyśleć, że okazał się kuzynem twojej matki w drugiej linii... nie mogłabyś liczyć na większy uśmiech losu! - Utkwiła wzrok w znoszonej pelerynie podróżnej Ellie i jej niemodnym bonecie, po czym dodała z wahaniem: - Wydawało mi się, że lord w swej łaskawości obstalował dla ciebie w Londynie nową garderobę.

- Owszem - odrzekła Ellie. - Ale wolę podróżować w wygodniejszej odzieży.

- Bardzo roztropnie - kiwnęła głową panna Pringle. - Jak się przekonasz, w Bircham Hall zmysł praktyczny bardzo się przydaje.

Ellie chciała zapytać, co panna Pringle ma na myśli. Czy to, że jest tam chłodno i niewygodnie? Nie jest tam chyba tak zimno jak w niektórych miejscach, w których ukrywała się przez ponad rok.

Nie zadała jednak żadnego z tych pytań, bowiem należało już wstać i wyjść na dziedziniec, gdzie czekał powóz.

Stajenni pod czujnym okiem stangreta zaprzęgali cztery piękne gniadosze. Panna Pringle zauważyła, że Ellie się im przygląda.

- Lord Franklin trzyma w każdym zajeździe pocztowym jedynie najlepsze konie - oznajmiła. - To chyba nasza przedostatnia zmiana, bowiem po południu będziemy już w Bircham Hall. Ach, jak się cieszę! Poznasz tam lady Charlotte, która z pewnością przygotuje cudowne powitanie...

Czy pewny dotąd głos panny Pringle zadrżał na wspomnienie o owdowiałej matce lorda Franklina, czy Ellie tylko się tak wydawało?

Moja matka, powiedział lord do Ellie, miała kiedyś zwyczaj przyjeżdżać od czasu do czasu do Londynu, ale teraz już tego nie robi. Posłałem jej wiadomość, że przyjedziesz do Bircham

Hall, i poprosiłem, by zapewniła ci wszelkie wygody.

Ale co o tym myśli lady Charlotte? – zastanawiała się Ellie, siedząc w powozie, toczącym się przez wiejskie okolice hrabstwa Kent. Jak ma się cieszyć z perspektywy goszczenia dziewiętnastoletniej Francuzki, sieroty bez grosza przy duszy, którą nagle powierzono jej opiece?

Wkrótce Ellie miała się tego dowiedzieć.

Powóz toczył się równie powoli, jak poprzedniego dnia. Mijali wzgórza, gospodarstwa, czasami całe wioski, owce na pastwiskach i ciemne lasy. Panna Pringle nie przestawała mówić.

Po ostatniej zmianie koni Ellie dostrzegła morze. Popołudniowe światło gasło, a zza horyzontu, ponad szarym bezmiarem fal, zbliżała się gęsta mgła. Ellie przybliżyła twarz do szyby i zobaczyła, że pomiędzy brzegiem morza a drogą rozciąga się wrzosowisko. Wypatrzyła wieżę niewielkiego, starego kościoła; nieopodal, na lekkim wzniesieniu, stał samotny stary dom z rozległymi skrzydłami i mansardowym dachem, osłonięty skarłowaciałymi jaworami.

Ellie wyteżyła wzrok, aby mu się przyjrzeć, lecz powóz wjeżdżał właśnie do lasu i dom zniknął jej z pola widzenia. Po krótkiej chwili powóz okrążył kolejne wzniesienie i znowu widać było morze. W dole, wokół zatoki, dostrzegła skupisko małych domków, zajazd i nabrzeże, gdzie rybacy naprawiali sieci przy zacumowanych łodziach.

Panna Pringle nadal mówiła o lordzie Franklinie.

- Jego rodzina, Grayfieldowie, może pochwalić się rodowodem sięgającym czasów Tudorów...

Ellie popatrzyła na swoją czarną, skórzaną torbę leżącą na podłodze. Zastanawiała się, co by zrobiła panna Pringle, gdyby Ellie nagle chwyciła bagaż, wyskoczyła z powozu, pobiegła do zatoki i ubłagała kogoś z rybaków, aby zabrał ją jak najdalej od zimnych i niegościnnych brzegów Anglii.

Tęsknię za domem, pomyślała z nagłym smutkiem, za Paryżem mojego dzieciństwa. Za tymi wszystkimi szczęśliwymi chwilami z ojcem i matką. Tęsknię nawet za Brukselą, gdzie spędziłam ostatnie miesiące z moim biednym, umierającym

papą.

- Och, spójrz na tę mgłę. - Panna Pringle zadrżała. Ellie zorientowała się, że jej towarzyszka także wygląda przez okno. - Niedługo zrobi się ciemno. Jak ja nienawidzę stycznia. Mówią, że w taką pogodę pełno tu przemytników. Lord Franklin robi, co może, aby ich powstrzymać. Podobno sprzymierzyli się z Francuzami... Francuskie wybrzeże jest tylko dwadzieścia mil stąd.

Wioska rybacka zniknęła im z oczu. Droga wiodła znów w głąb lądu przez gęsty dębowy las. W pewnej chwili panna Pringle wydała zaniepokojony okrzyk.

- Co to? Dobry Boże, dlaczego stoimy?

Ellie dostrzegła jej przerażoną minę. Zapewne spodziewała się bandytów.

- Proszę się uspokoić - powiedziała do swojej starszej towarzyszki.

Do okna podszedł jeden z lokajów lorda Franklina w charakterystycznej granatowo-złotej liberii.

- Panie wybaczą, ale wygląda na to, że droga przed nami zapadła się, pewnie z powodu niedawnej ulewy.

Panna Pringle uniosła ręce do policzków.

- O Boże, Boże...

- Nie ma powodu do niepokoju - zapewnił pospiesznie lokaj. - Ale musimy trochę wyrównać drogę, żeby konie jego lordowskiej mości mogły bezpiecznie przejechać. Zajmie nam to nie więcej niż dziesięć, piętnaście minut.

Panna Pringle wydobyła sole trzeźwiące i wachała je teraz łapczywie.

- Chciałabym skorzystać z tego postoju i zażyć trochę świeżego powietrza - oznajmiła Ellie.

- Ależ, przecież spacerowałaś godzinę temu, Elise, kiedy zmienialiśmy konie! Niedługo będziemy w Bircham Hall. Nie możesz poczekać? Nie wiem, czy to bezpieczne, żebyś tak wędrowała sama.

Ellie jednak otworzyła już drzwi powozu i wyskoczyła na drogę, otulając się szczelnie peleryną.

Nie było jeszcze czwartej po południu, a mimo to w powietrzu

czuło się przenikliwy chłód. Złowieszcza, lepka mgła, którą Ellie widziała nad morzem, zdążyła już przesunąć się nad ląd i spowijała teraz las wokoło. Na szczęście droga przed nimi nadal była widoczna. Lewa strona kamiennej nawierzchni zapadła się w stronę nieutwardzonego pobocza.

To problem niedostatecznego drenażu, Ellie – niemal usłyszała głos swego ojca. – Nie można budować drogi przeznaczonej dla licznych pojazdów, rzucając byle jak warstwę kamieni w błoto. Już Rzymianie wiedzieli, że konieczne jest wykopanie po obu stronach głębokich rowów do odprowadzania wody...

Dwaj lokaje lorda Franklina byli jednak przygotowani na tego rodzaju sytuacje. Ojcu by się to spodobało. Ellie stała w cieniu za powozem, więc lokaje nie mogli jej dostrzec; widziała jednak, jak jeden z nich ścina siekierą rosnące w pobliżu młode drzewka, a drugi układa je w poprzek zniszczonej części drogi.

Obserwując ich przy pracy, zdała sobie sprawę, o czym rozmawiają.

- Ładniutka ta dziewczyna, nie? I jak na Francuzkę dobrze mówi po angielsku.

- Słyszałem, że jej matka była Angielką... Pewnie jakąś lądacznicą, która uciekła z Francuzem.

- Ja tam nie miałbym nic przeciwko temu, żeby uciec z tą małą...

Policzki Ellie zapłonęły. Odwróciła się i z wysoko podniesioną głową ruszyła w przeciwną stronę. Zatrzymała się dopiero wtedy, kiedy nie widać już było ani powozu, ani lokajów. Powstrzymane łzy piekły ją pod powiekami.

To tylko zimne powietrze, nic więcej, tłumaczyła sobie usilnie, ocierając oczy dłonią.

Wspomniała widziane po drodze morze i wioskę rybacką. Z której strony znajduje się wybrzeże Francji? Na południu? Na wschodzie? Niemal instynktownie sięgnęła do głębokiej wewnętrznej kieszeni peleryny i wyjęła małe, skórzane pudełeczko.

Naraz podskoczyła gwałtownie, kiedy z cienia drzew tuż przed nią wyłonił się wysoki mężczyzna. Pudełeczko upadło na ziemię, gdzieś w zarośla na poboczu.

- Na pani miejscu - odezwał się spokojnie nieznajomy - nie uciekałbym. To nie ma sensu.

Ellie stłumiła strach, który ścisnął jej żołądek. Mężczyzna był wysoki i silny. Ona miała na sobie strój podróżny i nigdy nie zdołałaby dobiec z powrotem do powozu, zanim nieznajomy by ją złapał. Czy miała być przemytnikiem, których tak obawiała się panna Pringle?

Z pewnością nie sprawiał wrażenia praworządnego obywatela. Jego długi płaszcz był wielokrotnie łatany, buty miał oblepione błotem, jakby przebył długą drogę. Na mocnej szczęce widać było szczeciniasty zarost; ciemne, wijące się włosy przypominały strąki. Błękitne oczy patrzyły jednak przenikliwie.

Serce Ellie biło jak szalone, ale wielkim wysiłkiem zmusiła się do zachowania spokoju.

- Mówię panu od razu - uniosła podbródek - że nie mam przy sobie nic wartościowego. Jeśli zamierza mnie pan obrabować, traci pan czas.

Jego oczy zabłyśły.

- Nie mam zamiaru pani okradać. Po prostu jestem ciekaw. Słyszałem, że lord Franklin ma nową podopieczną... to pewnie pani?

Co takiego było w jego głębokim, schrypniętym głosie, że poczuła dziwny niepokój? I skąd wiedział, że przyjedzie do Bircham Hall?

- Nie jestem podopieczną lorda Franklina - odrzekła i nakazała sobie w myślach, by oddychać spokojnie. - Jestem z nim spokrewniona. Moja matka była jego kuzynką...

Mężczyzna podszedł bliżej. Ellie odruchowo cofnęła się o krok.

- Ha, *mademoiselle*, to brzmi jak bajka- powiedział. - Znalazła się pani nagle pod opieką bogatego angielskiego arystokraty. Lord Franklin jest znanym kolekcjonerem zagranicznych dzieł sztuki. To do niego pasuje... powrócić z kontynentu z piękną, młodą Francuzką...

Ellie czuła, jak jej oddech przyspiesza. Naprawdę była nieroztropna, odchodząc tak daleko od powozu. Postanowiła grać na czas.

- Myli się pan, sądząc, że pozwoliłabym się potraktować jak... eksponat - odrzekła spokojnie. - Lord Franklin wziął mnie pod opiekę z poczucia obowiązku. A poza tym, *monsieur*, proszę natychmiast pozwolić mi przejść!

Postąpiła o krok, lecz mężczyzna zagroził jej drogę.

- Zastanawiam się, czy wiedziała pani, że lord Franklin jest jej krewnym, zanim go pani spotkała?

Zdecydowany wyraz jego twarzy zupełnie odebrał jej odwagę. Nie wiedziała. W jej głowie zawirowały wspomnienia. Skromnie umeblowany pokój na poddaszu nad piekarnią w Brukseli. Ojciec leżący na wąskim materacu i ona, przykładająca mu kompresy na czoło, aby zbić gorączkę. Właścicielka piekarni, wdowa Gavroche, biegnąca na górę po schodach. *Mademoiselle, mademoiselle*, przyszedł do pani angielski dżentelmen! Nazywa się lord Franklin Grayfield i jest bardzo elegancki! Ellie była sama, nie miała przyjaciół ani pieniędzy i groziło jej niebezpieczeństwo. Myślała, że minęło, kiedy znalazła się w Anglii, lecz ten wysoki mężczyzna, który wyłonił się z mgły, dał jej do zrozumienia, że jest inaczej.

Postanowiła, że spróbuje uciec, ale nie mogła zostawić pudełeczka...

Spojrząwszy na ziemię, dostrzegła je w zaroślach. Sięgnęła po nie, lecz nieznajomy był szybszy i chwycił je pierwszy.

Poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

- To moje. Proszę mi to oddać!

Odpowiedział jej zaciekawionym półuśmiechem i zignorował prośbę. Serce tłukło jej się w piersi. Zauważyła, że unosi pudełeczko lewą ręką i obraca je powoli palcami prawej dłoni.

Jego prawą dłoń okrywała rękawiczka. Brakowało mu pierwszych dwóch palców. Nie miał jednak kłopotów z otwarciem pudełeczka. Ellie poczuła lekkie mdłości, kiedy mosiężna oprawa kompasu jej ojca zabłysła w półmroku.

- Ładny drobiazg - powiedział nieznajomy z aprobatą. - Musi być sporo wart.

- Może tak, a może nie. - Ellie wsunęła dłoń do kieszeni peleryny. - Jednak, *monsieur*, jeśli ma pan choć trochę rozsądku, odda mi go pan *immédiatement* albo przysięgam, że pan tego

pożałuje.

Oczy mężczyzny zabłysły.

- Zmusi mnie pani?

W odpowiedzi wysunęła przed siebie niewielki pistolet i odbezpieczyła. Celowała prosto w serce.

- *Mademoiselle* - odezwał się z wyrzutem. - Naprawdę chce pani uciekać się do takich środków? Zakładam, że umie się pani tym posługiwać?

Głęboki, aksamitny ton jego głosu, każde jego słowo wywoływało w niej ostrzegawczy dreszcz. Mocniej zacisnęła palce na rękojeści pistoletu.

- Czy naprawdę chce się pan przekonać? Proszę oddać mi kompas.

Wpatrywał się w nią, jakby oceniając zagrożenie. Nagle roześmiał się i podał jej kompas z lekkim skinieniem głowy. Ellie chwyciła pudełeczko.

- Niezwykły przedmiot - powiedział spokojnie. - Śmiem twierdzić, że wartościowy. - Pochylił się w ukłonie. - To było interesujące spotkanie, ale nie będę dłużej pani zatrzymywać. Mam nadzieję, że pani pobyt w Bircham Hall będzie przyjemny. Sługa uniżony, *mademoiselle*.

Po tych słowach zniknął w zamglonym lesie tak samo nieoczekiwanie, jak się pojawił.

Ellie zorientowała się, że z trudem łapie oddech, jakby całe powietrze uszło z jej płuc. Przypomniała sobie błysk w jego błękitnych oczach, kiedy oglądał kompas. *Mon Dieu!* Miał czas, żeby mu się dokładnie przyjrzeć?

Wciąż drżącymi palcami zabezpieczyła pistolet, po czym wsunęła go razem z kompasem do wewnętrznej kieszeni peleryny i pospieszyła z powrotem do powozu. Wkrótce dostrzegła pannę Pringle załamującą ręce. Na widok Ellie wydała okrzyk ulgi.

- Tu jesteś! Wyobrażałam sobie najgorsze rzeczy...

- Nic mi nie jest, panno Pringle - zapewniła ją Ellie. - Naprawdę.

W tym samym momencie nadszedł lokaj z wiadomością, że mogą ruszać. Przez pozostałą część podróży do Bircham Hall Ellie udawała, że śpi. Nie potrafiła jednak wymazać z pamięci

obrazu mężczyzny z okaleczoną prawą dłonią i błyszczącymi oczami. Jej ciało przeszywał dziwny dreszcz. Czyżby czuła strach? Nie. To nie strach sprawiał, że puls przyspieszał jej na wspomnienie niedawno widzianej męskiej twarzy i uśmiechu. To nie strach przywoływał wspomnienie jego ust i kazał jej zastanawiać się, ile kobiet już w życiu pocałował.

W Bircham Hall będę bezpieczna, powtarzała sobie słowa, w które nie wierzyła. A ten człowiek to zwykły złodziejasek z gminu...

ROZDZIAŁ TRZECI

W tej części wybrzeża zmierzch zawsze zapadał niepostrzeżenie, przesłaniając ogrom porośniętego kolcolistem klifu i ciągnącej się całymi milami kamienistej plaży. Nadal obecne były upiorne pozostałości niedawno zakończonej wojny z Francją: w oddali widać było poszarpany zarys wieży Martello, zbudowanej na wypadek napoleońskiej inwazji, a żołnierze wyjeżdżali czasem z Folkestone na patrol wzdłuż wybrzeża, choć teraz wypatrywali przemytników, a nie najeźdźców.

Światła było jeszcze dość, aby Luke mógł dostrzec, że zarówno plaża, jak i wybrzeże są puste. Wyszedł z lasu, zostawiając za sobą trakt, po czym skierował się dalej ścieżką wydeptaną przez miejscowych farmerów i rybaków, aż w końcu dotarł do nierównej drogi wiodącej do samotnego domu widocznego spoza kępy pokrzywionych od wiatru jaworów.

Dom ten zbudowano ponoć w miejscu nieistniejącej od dawna starożytnej fortecy, powstałej z górą tysiąc lat temu dla ochrony wybrzeża przed germańskimi najeźdźcami. Teraz spowijał go welon mgły, szepczącej o niegdysiejszych bohaterach i dawnych bitwach. Miejscowi mówili, że dom jest nawiedzony; twierdzili także, że otaczające go pola, smagane zimowymi wichurami, nadają się tylko dla najsłabszych plonów i najbardziej wytrzymałych owiec. Luke jednak bezgranicznie uwielbiał ten krajobraz.

Kochał zimy, kiedy mróz i śnieg otulały ziemię, a od strony morza nadciągały wyjące wiatry, tak zimne, że mogły pochodzić aż znad lodowatych równin Rosji. Kochał lata, kiedy łąki pełne były pasących się owiec i jagniąt, a na pobliskich trzęsawiskach od świtu do zmierzchu rozlegał się śpiew ptaków.

Jego młodszy o dwa lata brat Anthony też to uwielbiał.

Z daleka dom wydawał się opuszczony, jednak miejscowi wyjaśniliby przejeżdżającemu tędy obcemu, że należał do Luke'a

Danbury'ego, utracjusza, który niegdyś był kapitanem armii w Hiszpanii, teraz jednak zadłużył rodzinne posiadłości po uszy i ciągle gdzieś wyjeżdżał, zajmując się, Bóg wie czym. Zmarnował wszystkie swoje ziemie, a przecież przed wojną majątek tak dobrze prosperował. A ten jego zaginiony brat to też powód do hańby. Zrujnował reputację rodziny...

Ścieżka wiodła do frontowej bramy domu, zawsze stojącej otworem. Na wpół zdziczałe krzaki i bluszcz rosły tu tak gęsto, że Luke miał wątpliwości, czy w ogóle udałoby się ją zamknąć. Sam dom wyglądał na niezamieszkały; w żadnym oknie nie paliło się światło, a kłęby morskiej mgły spowijały dach i wieżyczki. Luke jednak przedarł się przez ogród w stronę podwórza i stajni na tyłach domu, gdzie powitał go blask latarni.

Kamienna posadzka była tu starannie zamieciona, pod ścianami piętrzyło się schludnie poukładane drewno do kominka i siano dla koni. Do majątku należało kilkanaście gospodarstw; zgromadzono tu więc łopaty, kilofy i inne narzędzia wykorzystywane przez dzierżawców do zimowych prac - naprawy ogrodzeń i rowów.

Luke natychmiast przypomniał sobie, że powinien się skupić na ratowaniu majątku, a zarazem życia ludzi, którzy byli od niego zależni. Przez cały czas jednak myślał, że plotki okazały się prawdą: lord Franklin Grayfield przywiózł z zagranicy młodą Francuzkę. Sierotę, daleką krewną, którą - jak mówiono - wziął pod opiekę.

O ile jednak Luke się orientował, lord Franklin nie był człowiekiem ulegającym nagłym, sentymentalnym przyływom hojności. Po co więc zadałby sobie trud przywiezienia tej dziewczyny - rzekomej krewnej - do Londynu? I dlaczego postanowił niemal natychmiast zesać ją na wieś do hrabstwa Kent?

W tawernach w Bircham i w pubach w Folkestone na pewno usłyszy całe mnóstwo pogłosek, z których część będzie warta zapamiętania. Ludzie zawsze plotkują o możliwych tego świata, a na dodatek tajemniczych jak lord Franklin. O tej dziewczynie też już paplano; Luke słyszał od ludzi, którzy widzieli ją w Londynie, że nazywa się Elise Duchamp i że jest ładna na swój francuski sposób. Ci ludzie nie powiedzieli mu jednak, że space-

ruje sobie z pistoletem w kieszeni i najwyraźniej potrafi go używać.

A co do słowa „ładna” – czy ono wystarczy na określenie jej gęstych, ciemnych loków, pełnych warg i zielonych kocich oczu? Czy tylko dlatego poczuł na jej widok dreszcz podniecenia, skoro swoje kobiece krągłości ukryła skrzętnie pod bezkształtną starą peleryną? Była niezwykle intrygująca i nie chodziło mu jedynie o urodę.

Luke Danbury nawet nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. Przechodził teraz obok stajni, sprawdzając, czy konie są bezpiecznie zamknięte na noc. Kilka z nich zarżało cicho, kiedy głaskał je po pyskach, szepcząc ich imiona. Chwilę później otworzył solidne drzwi wiodące na tyły domu, wdychając znajomy zapach kamienia i dymu z kominków, kiedy przechodził przez hol do nisko sklepionej jadalni w samym sercu starego budynku.

Usłyszał radosne głosy Toma, braci Wattersonów i Jacques’a, którzy usadowili się wygodnie wokół olbrzymiego dębowego stołu i pochłaniali gorący gulasz wołowy pani Bartlett, racząc się czerwonym francuskim winem.

Z entuzjazmem powitali Luke’a i podsunęli mu krzesło, podczas gdy żona Toma nakładała mu porcję gulaszu, a Jacques nalewał mu wina.

– Co cię zatrzymało, przyjacielu? – zapytał Jacques. – Zaczynaliśmy już żartować, że poszedłeś do miasteczka, żeby znaleźć sobie dziewczynę.

Tom nie owijał w bawełnę.

– Czy lord Franklin był w powozie?

– Nie. – Luke jednym haustem wypił pół kieliszka wina. – Najwyraźniej nadal jest w Londynie.

– Więc kim jest ta dziewczyna i jej starsza towarzyszka?

– Dziewczyna jest krewną lorda Franklina, a ta druga, jak sądzę, jej damą do towarzystwa.

Tom kiwnął głową.

– A więc to ta sierota, którą wziął pod opiekę. To musiała być niespodzianka, przecież taka z niego zimna ryba. Słyszałem plotki, że jest ładna.

- Na pewno robi wszystko, aby to ukryć... - odpowiedział lekko złośliwie Luke.

- Mówią, że to Francuzka - ogłosił radośnie Josh Watterson. - To ciekawe.

- Może.

Luke dolał sobie wina, a pozostali skupili się z powrotem na jedzeniu. Tylko Jacques nie jadł i uważnie go obserwował.

Monsieur Jacques, jak nazywali go towarzysze Luke'a, był żołnierzem; Anglicy wzięli go do niewoli i byłby zgnił jako jeniec wojenny, gdyby Luke go nie uwolnił.

- Spłacam swoje długi - lubił powtarzać Jacques. - Pomagam przyjaciołom, tak jak oni pomogli mnie.

Właśnie dlatego Jacques żeglował teraz brawurowo swoim niewielkim stateczkiem pomiędzy Francją a Anglią w ciemne, mgliste noce.

- Luke, mój przyjacielu, jak to się stało, że lord Franklin nagle odkrył, że ma młodą, francuską krewną? Dlaczego wcześniej o niej nie wiedział? Przecież takie zamożne rodziny na pewno mają drzewa genealogiczne sięgające wielu pokoleń wstecz - powiedział ze zmarszczonym czołem.

- To prawda. - Luke odłożył sztućce. - Strzegą swoich linii dynastycznych jak majątków, żeby żaden intruz nie przejął ich pieniędzy.

- Tak właśnie myślałem. Sądzisz, że ta dziewczyna mu się spodobała?

Luke parsknął śmiechem.

- Mało prawdopodobne. Mówią, że lord Franklin nie tknął żadnej kobiety od śmierci żony dziesięć lat temu, a i do niej nie był ponoć szczególnie przywiązany.

Jacques uśmiechnął się.

- A więc żaden związek nie wchodzi w rachubę. Dlaczego jednak zadał sobie trud przywiezienia jej do Anglii? I dlaczego wysłał ją do Bircham Hall, skoro jest jego podopieczną?

- Kiedy będę znał odpowiedź, na pewno ci ją zdradzę.

- A więc zamierzasz o nią rozpytać, przyjacielu? Czy może ta *demoiselle* lorda Franklina jest bardziej interesująca, niż mi powiedziałeś?

Luke przez dłuższą chwilę sączył wino.

- W ogóle nie jest interesująca - oświadczył. - Jest zbyt młoda i zbyt dumna. Poza tym mam teraz inne sprawy na głowie.

- Masz na myśli majątek i gospodarstwa? Czyżbym słyszał optymizm w twoim głosie?

Wtedy pojawiła się pani Bartlett, aby sprzątnąć naczynia ze stołu. Tom i Wattersonowie zgłosili gotowość do swoich zwykłych wieczornych zadań. Luke rozsiadł się wygodnie, ale nie od razu odpowiedział Jacques'owi.

- Nie jestem pewien, czy to optymizm. Znalazłem kilku nowych dzierżawców, ale czy wiesz, jak bardzo spadła cena angielskiego zboża od ubiegłego roku? Ludzie będą mieli co robić, to prawda, ale wszystko to może pójść na marne.

- Nie żałujesz, że nie ożeniłeś się ze swoją dziedziczką?

- Raczej nie. To było prawie trzy lata temu. Ona ma wiosną wyjść za innego. Jej ojciec uważa go za odpowiedniejszą partię. Chociaż moi dzierżawcy woleliby pewnie, abym mógł dysponować jej posagiem.

Jacques potrząsnął głową.

- Dajesz im coś więcej niż pieniądze, Luke. Dajesz im nadzieję, pamiętaj o tym.

Luke popatrzył wokół wzrokiem bez wyrazu.

- Odsuwam w czasie bankructwo, to wszystko. Sprzedałem już chyba wszystkie wartościowe przedmioty, które należały do mojej rodziny.

- Nadal możesz walczyć o jej honor. Niekoniecznie bronią, wiesz, że są inne sposoby. Jutro wracam do Francji. Jeśli twój brat nadal żyje, to przysięgam, że go odnajdę.

Tom przyniósł drwa do kominka.

- Mówi pan o bracie kapitana? - zapytał z ożywieniem. - Kto wie, może któregoś dnia ni stąd, ni zowąd się tutaj pojawi. Widzę go, jak wjeżdża na dziedziniec, pewny siebie jak zwykle, i opowiada nam swoje przygody...

Jacques z aprobatą kiwnął głową.

- Tak trzymać. Wznieśmy kielichy za brata kapitana i życzymy mu bezpiecznego powrotu do domu!

- Za Anthony'ego - odrzekli. - Za jego szczęśliwy powrót.

Ogień powoli dogasał. Północ nadeszła i minęła; mężczyźni rozmawiali o bitwach, w których walczyli, i o towarzyszach broni, którzy polegli, aż w końcu, ze świadomością, że muszą wstać wcześniej rano, udali się na spoczynek.

Wszyscy z wyjątkiem Luke'a.

W wielkim domu zapadła wreszcie cisza, w której słychać było szept wiatru w gałęziach drzew i odległy syk fal rozbijających się na kamienistej plaży pod klifami. Gdzieś krzyknął nocny ptak.

Luke podszedł do kominka, aby przegarnąć tłące się polana, i przez pomyłkę chwycił pogrzebacz okaleczoną prawą dłońią.

- Głupiec! - zaklął pod nosem, gdy ciężkie narzędzie upadło z brzękiem w palenisko. Chwycił je błyskawicznie i zaczął poruszać drwami, aż na powrót zajęły się ogniem.

Westchnął ciężko. Był bezużyteczny. Zerwał z dłoni czarną, skórzaną rękawiczkę i wpatrzył się w kikuty dwóch palców. Rany prawie się zabiły, a do bólu nieistniejących stawów zdążył się przyzwyczaić. Nie mógł jednak przywyknąć do uczucia, że jego młodszy brat, który na nim polegał i mu ufał, zniknął na dobre.

W ostatnich miesiącach nader często przeklinał okaleczoną rękę, ponieważ uniemożliwiała mu podróż do Francji z Jacques'em, aby przeczesać tamtejsze wybrzeże w poszukiwaniu jakichś wieści i odpowiedzi. Nie mógł używać pistoletu ani szabli; nie było z niego nawet pożytku przy żegludze. Być może los podpowiadał mu w ten sposób, że powinien się zwrócić ku innym sprawom. Być może los chciał mu powiedzieć, że odpowiedzi, których szuka, mogą znajdować się tutaj, w Anglii, a nie we Francji. Może tutaj uda mu się dowiedzieć, co naprawdę przydarzyło się Anthony'emu i jego dzielnym towarzyszom; kto i dlaczego ich zdradził. Takie sekrety były jednak strzeżone równie zazdrośnie, co fortuny bogaczy.

Znowu przyszedł mu na myśl lord Franklin Grayfield. Zamożny wdowiec dobiegający pięćdziesiątki miał w Indiach syna, którego nie widział od lat. Jak mówiono, wolał swoją kolekcję sztuki od damskiego towarzystwa.

Mimo to jednak uznał nieznaną młodą Francuzkę za swoją

krewną. Luke poznał tę dziewczynę dzisiejszego popołudnia. Gniewnie odpędził od siebie wspomnienie lekkiego zapachu lawendy, bijącego od jej kremowej skóry. Szybko odrzucił od siebie myśl o jej bezbronności i wspomnienie głębokiego smutku w jej oczach. Zamiast tego nakazał sobie zapamiętać, z jaką wprawą posługiwała się pistoletem, jakby drwiąc z jego kalectwa.

Caroline miała dziewczynski zwyczaj pisać z przerażenia na wszelkie wzmianki o wojnie i broni, tymczasem ta Francuzka trzymała w ręku ów niewielki pistolecik i najwyraźniej wiedziała, jak się nim posługiwać. Jak wyglądało jej życie, zanim przybyła do Anglii?

Luke jeszcze raz przypomniał sobie inskrypcję wygrawerowaną z boku pudełeczka, które upuściła; zdał sobie sprawę, że na samą myśl o tym przyspiesza mu puls. Dobrze pamiętał wyraz jej twarzy, kiedy wyrwała mu kompas. Nie dziwota, że tak bardzo chciała go odzyskać.

Kim ona naprawdę jest i co, u diabła, robi w Anglii, pod rzecką opieką lorda Franklina?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ellie także nie spała. Siedziała samotnie przy oknie w swojej ogromnej, lodowatej sypialni w Bircham Hall. Było po północy, ale nie mogła zasnąć po dniu, którego nigdy w życiu nie będzie mogła zapomnieć.

Po naprawieniu drogi powóz lorda Franklina gładko ruszył naprzód; stangret bardzo chciał nadrobić stracony czas. Zjechali z głównego traktu, minęli kilka bram i dobrze oświetloną stróżówkę, a następnie wjechali na długą, prywatną drogę. W świetle lamp przymocowanych do powozu widać było grupki nagich, zimowych drzew w parku.

Po raz pierwszy ujrzała Bircham Hall, kiedy przejechali przez most na rzece. Był to dostojny, czworokątny budynek; po obu stronach wspartego na kolumnach wejścia płonęły pochodnie, jakby na przekór styczniowej nocy.

Wiejska rezydencja lorda Franklina. Była wspaniała. Wyniosła i nieprzystępna.

- Och, spójrz! - krzyknęła panna Pringle, która także wyglądała przez okno. - Nareszcie jesteśmy na miejscu, Elise. I widzę, że... o mój Boże...! Cała służba czeka na zewnątrz, aby cię powitać.

Rzeczywiście: czarno odziane pokojówki i lokaje w granatowo-złoty liberach stali na zimnie, wyprostowani jak żołnierze.

I czekali na nią. Serce Ellie zamarło, a panna Pringle nie posiadała się z ekscytacji.

- Jaki to zaszczyt! - mamrotała, kiedy lokaje podbiegli, aby przytrzymać konie i rozłożyć schodki powozu. - Taki wielki zaszczyt! I zobacz, to pan Huffley, ochmistrz jego lordowskiej mości...

- Panno Pringle. *Mademoiselle*. - Ochmistrz skłonił się sztywno, kiedy wysiadły z powozu. - Mam przyjemność, *mademoisel-*

le – kontynuował, ponownie kłaniając się Ellie – najserdeczniej powitać panią w Bircham Hall. Pozwoli pani, że przedstawię naszą gospodynię, panią Sheerham. Nasza kucharka, pani Bevington. Starsza pokojówka, Joan...

Pokojówki dygały, a lokaje pochylali głowy, choć ich oddechy zamieniały się w mgiełkę w zimnym powietrzu. Przez wzgląd na nich Ellie odbyła tę ceremonię najszybciej, jak było to możliwe, po czym pospieszyła za panem Huffleylem po kamiennych stopniach do domu.

Dopiero wtedy przypomniała sobie, że musi poznać jeszcze jedną osobę.

– Lady Charlotte pewnie cię oczekuje – szeptała do niej panna Pringle. – Naprawdę nie mogę się doczekać, aż znowu ją zobaczę.

Hol wejściowy był rozległy i zimny. Jego ściany obwieszane były herbami i głowami jeleni. Po obu stronach stały różnego rodzaju posągi – leżące postaci z gładkiego, białego marmuru, kamienne popiersia na kolumnach, cenne zabytki, które, jak domyśliła się Ellie, musiały pochodzić ze starożytnych cywilizacji Grecji, Rzymu i Egiptu.

Wszystkie te bezcenne przedmioty z przeszłości zdawały się poświadczać historię, bogactwo i status społeczny jego mieszkańców. A pośrodku tego wszystkiego, jakby egzekwując swoje prawo do bycia częścią tego splendoru, zasiadała w fotelu na kółkach dama w wieku około siedemdziesięciu lat, w czarnej sukni i koronkowym czepku na srebrnoszarych włosach. Po obu jej stronach stali sztywno wyprostowani, czujni lokaje.

– Milady... – szepnęła panna Pringle, wykonując skomplikowany dyg.

Ellie również dygnęła, czując, że zaschło jej w ustach. Nikt jej nie powiedział o fotelu na kółkach.

Wyprostowała się, czując, że lady Charlotte przygląda jej się twardo.

– A więc ty musisz być Elise Duchamp – wyrzekła, nasycając każdą sylabę niesmakiem wobec cudzoziemskiego nazwiska. – Jestem matką lorda Franklina. Rozumiem, że postanowił zesłać cię do Bircham? Obawiam się, że tyle zostało z twoich nadziei

na wmanewrowanie mojego syna w małżeństwo...

Ellie była zszokowana nie tylko charakterem ataku, lecz także jego zjadliwą gwałtownością. Nigdy nie myślała w ten sposób o lordzie Franklinie. *Dieu du ciel*, przecież był od niej ponad dwukrotnie starszy!

- Zapewniam panią, milady, że nic nie mogłoby być dalsze od prawdy!

Lady Charlotte podjechała bliżej, zmuszając Ellie do cofnięcia się.

- Chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie chciałaś zrobić z niego swojego trofeum? Niektórzy być może ci wierzą, ale ja akurat nie. Pamiętaj, Elise, będę cię obserwować.

Milady podniosła wzrok na pannę Pringle.

- Jest już prawie piąta. Mam nadzieję, Pringle, że dla odmiany wykazałaś się zdrowym rozsądkiem i powiedziałaś tej dziewczynie, że jemy kolację o szóstej? Nie pozwalamy sobie tutaj na miejskie zwyczaje. - Skinęła dłonią na lokajów, którzy dotychczas stali, wpatrując się tępo w przestrzeń. - Zabierzcie mnie do mojego pokoju. Natychmiast.

Oniemiała Ellie patrzyła, jak służący odwożą starszą panią, i zastanawiała się, jak mogła pozwolić, aby ją tu przywieziono i uwięziono? Dlaczego powierzyła swój los tym obcym ludziom?

Z drugiej strony nie mogła jednak sprzeciwić się rozpaczliwej prośbie umierającego ojca.

- Ellie, musisz z nim jechać do Anglii. Musisz.

- Papo - tłumaczyła mu. - Nie znamy go. Nie możemy być pewni.

Ojciec jednak nalegał.

- Lord Franklin zapewni ci takie bezpieczeństwo, jakiego ja sam nigdy nie byłem w stanie ci dać. Obiecuj mi...

Panna Pringle stała obok cała w skowronkach.

- Jakiż to zaszczyt dla ciebie, Elise - mówiła radośnie. - Jak to cudownie, że sama lady Charlotte powitała cię w Bircham!

Jej dłonie jednak drżały i Ellie zrozumiała, że panna Pringle boi się lady Charlotte. Wtedy podeszła do nich gospodyni, pani Sheerham.

- Czy mogę zaprowadzić panią do jej pokoju? - powiedziała

do Ellie, która w milczeniu podążyła za nią.

Okazało się, że przydzielono jej przestronny apartament na drugim piętrze. Jej kufer i torbę podróżną już tam przyniesiono i pozostawiono w sypialni, przylegającej do prywatnego salonu.

Podeszła pospiesznie do torby, aby sprawdzić, czy nadal jest dobrze zamknięta. Rozejrzawszy się, stwierdziła, że wszystkie okna zasłonięto grubymi storami. W obu pokojach ogień buzował w kominkach, a ponad tuzin woskowych świec rozjaśniał mrok. Zaskoczył ją cały ten przepych.

- Mam nadzieję, że wszystko się pani podoba? - Pani Sheerham nadal stała w drzwiach.

- Tak. Dziękuję, jest... jest wspaniale.

- Doskonale, proszę pani. - Wyraz twarzy pani Sheerham minimalnie złagodniał na skutek pochwały. - Na pewno chciałaby pani napić się herbaty i przydałby się też ktoś do pomocy przy rozpakowywaniu. Zaraz przyślę pokojówkę.

Gospodyni wyszła, a Ellie zaczęła powoli zdejmować pelerynę. Zdążyła ledwie położyć ją na łóżku, gdy rozległo się pukanie do drzwi i weszła dziewczyna w czarnej sukience i białym fartuszku.

- Mam na imię Mary, panienko! - dygnęła. - Pani Sheerham prosiła, żebym się panią zajęła. I przyniosłam pani herbatę.

Mary wybiegła, a po chwili wróciła z tacą nakrytą do herbaty, którą postawiła na małym stoliku w salonie, podczas gdy Ellie stała z boku, mając nadzieję, że Mary nie domyśli się, że nigdy dotąd nie miała pokojówki.

- Kiedy będzie pani pić herbatę, ja rozpakuję pani suknie, dobrze? - Spojrzała na kufer i torbę Ellie; mina nieco jej zrzedła. - Ale... czy to wszystko?

Ellie wiedziała, że eleganckie damy podróżują zazwyczaj z taką ilością bagażu, że często potrzebny jest dodatkowy powóz.

- Obawiam się, Mary, że mam tylko ten jeden kufer - odrzekła pospiesznie. - Ale byłabym wdzięczna, gdybyś mogła go rozpakować.

- A co z torbą?

- Nie - ucięła natychmiast Ellie, a Mary spojrzała na nią z zaskoczeniem. - To znaczy - pospieszyła z wyjaśnieniem - w torbie jest bardzo mało rzeczy. Wszystkie moje suknie są w kufrze. Byłoby miło, gdybyś je przełożyła do szafy.

- Oczywiście, panienko!

Mary żwawo zabrała się do wypakowywania ubrań Ellie, które następnie wieszala w szafie lub wkładała do różnych komód, pachnących suszoną lawendą. W międzyczasie zachwycała się jedwabnymi sukniemi, aksamitnymi pelisami i wytworną bielizną.

- Och, panienko. Czy to wszystko z Paryża?

Ellie pokręciła głową.

- Z Londynu. Lord Franklin był tak łaskawy, że sprowadził krawcową, która je dla mnie uszyła.

Mary wpatrywała się tęsknie w różową suknię wieczorową.

- Nie wiem, kiedy będzie pani tu nosić te rzeczy, panienko. Tu, w Bircham Hall, jest bardzo zimno. A lady Charlotte właściwie nie przyjmuje gości i nie wydaje przyjęć...

- Nie szkodzi - odparła szybko Ellie. - Nigdy nie interesowały mnie przyjęcia ani suknie.

- Nie, panienko? Ale taka szkoda, że będzie pani tu siedzieć w takiej ciszy... Gdyby została pani w Londynie... Pan Huffley mówił nam, że w Londynie jest teraz bardzo dużo Francuzów takich jak pani, którzy musieli uciekać, żeby ujść z życiem, kiedy ten potwór Napoleon został cesarzem Francji. Rozesłał swoje wojska po całej Europie, prawda?

- Tak. - Głos Ellie brzmiał bardzo cicho. - Tak było.

Mary podziwiała przez chwilę jedwabną koszulkę, po czym ułożyła ją starannie w szufladzie. Następnie kiwnęła głową.

- Ale teraz Napoleona zamknęli na dobre na tej wyspie na Morzu Śródziemnym. Całe mile od świata. A nasi mądrzy politycy i lord Wellington dopilnują, żeby nigdy nie wyszedł na wolność. Jest pani pewna, że nie chce pani rozpakowywać tej torby, panienko?

- W zupełności. Myślę, że to na razie wszystko.

Oczy Mary nadal jednak badały pokój.

- Panienki peleryna! - powiedziała nagle. Okrycie nadal spo-

czywało na łóżku, gdzie Ellie je położyła. – Na pewno jest zakurzona po podróży. Czy mam ją zabrać na dół i wyczyścić?

– Nie! – Ellie zrobiła krok do przodu, aby ją powstrzymać. – Nie. To wszystko, Mary! – ledwie zachowała spokój. – Dziękuję ci bardzo.

– Nie ma za co, panienko. Nie wypita pani jeszcze herbaty! Ale to nic, później zabiorę tacę. – Mary z ociąganiem po raz ostatni omiotła wzrokiem pokój. – Wkrótce będzie pani musiała zejść na dół na kolację. Za dziesięć szóstą usłyszysz pani z dołu dzwonek. Ach, i lady Charlotte nie lubi, kiedy ktoś się spóźnia. – Jej rażny głos lekko przygasł. – Bardzo szczególna jest ta nasza pani. Bardzo.

Mary wyszła. Kiedy tylko jej zwinne kroki ucichły w oddali, Ellie oparła się o zamknięte drzwi. Nigdy, przenigdy nie powinna była pozwolić, aby mnie tu przywieziono, pomyślała. Spieszenie chwyciła pelerynę i wyciągnęła z głębokiej wewnętrznej kieszeni pistolet i pudełko z kompasem, po czym przycisnęła je do siebie.

Ten mężczyzna. Ten mężczyzna na drodze... Nadal pamiętała, co czuła, gdy stał tak blisko niej – potężny i niebezpieczny. Chyba nigdy nie zapomni, jak mocno zabiło jej serce, gdy się do niej uśmiechnął.

Musi jednak o nim zapomnieć i miała nadzieję, że on zapomni o niej. Odetchnęła głęboko i odłożyła pistolet i kompas na łóżko. Potem odpięła srebrny łańcuszek, który miała na szyi, zdjęła z niego niewielki kluczyk i otworzyła zamek torby. W środku było kilka starannie złożonych map i rysunków, a pod spodem inne przedmioty, owinięte w czarny aksamit. Ellie odwijała jeden po drugim.

Pryzmat geodezyjny. Miniaturowy, składany teleskop. Szło powiększające w hebanowej oprawie. Niewielki młoteczek geologiczny.

Zawinęła wszystko z powrotem i odłożyła do torby. Na wierzchu położyła pistolet i kompas, po czym przykryła wszystko mapami.

Wiedziała, że powinna z powrotem zamknąć torbę na kluczyk i schować ją gdzieś, lecz zamiast tego wyjęła jeden z dokumen-

tów i rozłożyła go ostrożnie.

Po cichu przetłumaczyła tytuł na język angielski: „Mapa Doliny Loary z uwzględnieniem cech geologicznych. Opracowana i wykreślona przez A. Duchampa w Paryżu, w roku Pańskim tysiąc osiemset dziewiątym...”.

Podniosła mapę z podpisem ojca i przycisnęła ją do piersi, pograżając się we wspomnieniach.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ojciec Ellie, André Duchamp, był geologiem, mierniczym i kartografem. Mieszkał wraz z żoną i córką w Paryżu, nieopodal kościoła Saint-Denis. Mieszkanie przy Rue Tivoli miało niewielki balkon, skąd Ellie wyglądała na główną ulicę. Pamiętała, z jaką fascynacją obserwowała jako pięciolatka szeregi maszerujących żołnierzy z trójkolorowymi rozetkami; dwa lata później widziała samego Napoleona, nowo koronowanego cesarza Francji, który przejeżdżał na czele kawalerii na pięknym koniu, przyjmując aplauz zebranego tłumu.

- To wielki człowiek - zwykł mawiać jej ojciec. - Przywróci Francji pokój i dobrobyt.

Ich mieszkanie nie było duże, lecz mimo to jeden pokój przeznaczono na pracownię ojca. Ellie obserwowała go przy kreśleniu map. Fascynowały ją także znajdujące się tam teleskopy i mapy nieba - ojciec był bowiem także zapalonym astronomem.

- Dlaczego miałbym przenosić na mapy tylko ziemię, po której stąpamy - mawiał - skoro możemy też odkrywać niebo nad naszymi głowami?

Najbardziej ze wszystkiego Ellie lubiła oglądać kolekcję eksponatów geologicznych, które ojciec trzymał w gablotce.

- Te różowe kryształki to skaleń, Ellie. Bardzo delikatny kolor, nie uważasz?

- Och, tak! A ten zielony, papo?

- To oliwin. A to kawałek hematytu... tak ciemnoczerwony, że prawie czarny.

Ellie gorliwie przytaknęła.

- A to musi być złoto!

- Złoto głupców, niestety - ojciec śmiał się z jej podniecenia. - Nazywa się piryt i zwiódł już wielu poszukiwaczy skarbów.

Ellie żarliwie wpatrywała się w ojca.

- Ty tyle wiesz, papo.

- Ach, zawsze jest coś, czego jeszcze można się nauczyć, ma-
lutka. - Ojciec potargał jej włosy.

- Czy to dlatego tyle podróżujesz?

- To moja praca, Ellie. Mam szczęście, że robię coś, co ko-
cham.

Ellie zawsze było smutno, kiedy ojciec wyjeżdżał. Znikał na
wiele dni, a czasami nawet tygodni; dopiero w późniejszych la-
tach zorientowała się, dlaczego tak jest. Jego wiedza z zakresu
geologii i kartografii była nieoceniona podczas planowania i bu-
dowy nowych dróg, które miały połączyć wszystkie miasta
i porty we Francji dla podróżnych i kupców.

Pod nieobecność ojca Ellie czekała na niego i tęskniła, wypa-
trując przez okno jego powrotu. Miała jedynie blade pojęcie
o wojnach toczonych przez cesarza Napoleona u granic Francji
i poza nimi. Z upływem lat ojciec wyjeżdżał coraz częściej i na
coraz dłużej, a wracał zawsze w ponurym nastroju, choć nie-
odmiennie uśmiechał się na widok córki.

Kiedy Ellie skończyła siedemnaście lat, po krótkiej chorobie
umarła jej matka. Ojciec był zdruzgotany, a ich dawne życie
skończyło się. Kilka tygodni po pogrzebie Ellie zastała ojca pa-
kującego wszystkie cenne rzeczy do skórzanej torby. Z twarzą
naznaczoną zmartwieniem położył drżące ręce na ramionach
córki i powiedział:

- Ellie, kochanie, musimy uciekać z Paryża. Nie jesteśmy już
tutaj bezpieczni.

Niemal uśmiechnęła się na wspomnienie lorda Franklina, któ-
ry w Brukseli wyraził obawę, że podróż do Anglii mogłaby ją
zbyt wyczerpać; Ellie była przyzwyczajona do takich podró-
ży, jakich lord Franklin zapewne nie potrafiłby sobie nawet wy-
obrazić. Podróżowała pod fałszywym nazwiskiem, niekiedy
nocą; dylizansem pocztowym, jeśli mieli pieniądze, a jeśli ich
brakowało, chłopskimi wozami albo pieszo.

Z początku skierowali się do Hawru, gdzie ojciec Ellie miał
kiedyś krewnych, lecz okazało się, że już dawno temu pochłone-
ła ich rewolucyjna i wojenna zawierucha. Po kilku zimnych i sa-
motnych tygodniach ojciec wrócił do domu z wiadomością, że
nadal są ścigani. Ponownie wyruszyli więc w drogę, tym razem

na północ. Spali w stodołach albo na wpół zburzonych domach – pamiątkach po latach wojny.

Ellie musiała być silna, ponieważ ojciec już wtedy podupadał na zdrowiu. Robiła rzeczy, które wcześniej nie przyszłyby jej do głowy – była zmuszona kłamać, kraść, a nawet walczyć. Ojciec nauczył ją posługiwać się małym, lecz śmiertelnie niebezpiecznym pistoletem, a choć nigdy nie było konieczności z niego strzelać, Ellie dawała do zrozumienia wszystkim, którzy zagrażali ich bezpieczeństwu, że potrafi zabijać.

Musiała planować trasę, podejmować decyzje i znajdować lekarstwa dla ojca, który słabł z każdym dniem.

– Wkrótce będziemy bezpieczni, Ellie – mamrotał ojciec co wieczór, ostrożnie rozpakowując torbę i sprawdzając swoje cenne instrumenty. – Wkrótce nie będziemy już musieli uciekać.

Dla papy ucieczka rzeczywiście się skończyła. Umierał w Brukseli na zapalenie płuc, kiedy pojawił się lord Franklin Grayfield, zamożny angielski arystokrata w średnim wieku, doświadczony podróżnik, jak wyjaśnił Ellie płynną francuszczyzną. Podkreślał, że fascynuje go europejska kultura i sztuka i koniecznie chce uzupełnić swoją kolekcję malarstwa i rzeźby. Ku jego zmartwieniu wojna kazała mu odłożyć te plany.

– Dlatego teraz – wyjaśnił – nadrabiam stracony czas.

Bez wątpienia był bogaty, ale też niesamowicie bystry. Ellie nigdy w życiu nie była tak zaskoczona, kiedy na brukselskim strychu, gdzie mieszkała z umierającym ojcem, powiedział jej, że jej matka była jego daleką krewną.

Ellie osłupiała. Nie mogła w to uwierzyć. Przecież matka mówiła, że jej angielska rodzina wydziedziczyła ją, kiedy oświadczyła, że wychodzi za francuskiego kartografa.

– Tak bardzo żałuję, że nie wiedziałem o tym wcześniej – powiedział żarliwie lord Franklin. – Dopiero kilka tygodni temu, podczas pewnych genealogicznych poszukiwań rodzinnych, dowiedziałem się, że twoja matka nie żyje i że miała córkę. Przyśiągłem sobie, że cię odnajdę, chociaż nie byłem pewien, jak tego dokonam. Gdy moje kolekcjonerskie poszukiwania zawiodły mnie do Brukseli i dowiedziałem się na targu, że mieszka tu wraz z córką pewien dżentelmen z Paryża o nazwisku Du-

champ, postanowiłem to sprawdzić.

Ellie słuchała tego wszystkiego z mocno bijącym sercem. Po przyjeździe do miasta nie zmienili nazwiska, ponieważ wielu miejscowych nazywało się Duchamp; dołożyli jednak wszelkich starań, aby ukryć fakt, że pochodzą z Paryża. Nie przypominała sobie, aby mówiła komukolwiek, nawet ich gospodyni, madame Gavroche, skąd przyjechali.

Lord Franklin był bardzo uprzejmy. Zapłacił za kosztowną wizytę lekarską dla ojca, choć było już o wiele za późno, aby mu pomóc. Zapłacił za pogrzeb i pochówek, potem zaś ujął Ellie za rękę i oświadczył:

- Musisz jechać ze mną do Anglii, Elise. Obiecuję, że wynagrodzę ci to cierpienie, którego musiałaś samotnie doświadczać.

Ani razu nie zapytał, dlaczego ona i jej ojciec musieli uciekać z Paryża. Był taktowny i hojny, Ellie jednak nie miała zaufania ani do jego hojności, ani do niego samego. Instynkt podpowiadał jej, aby zostać w Brukseli w małym mieszkanku nad piekarnią, gdzie madame Gavroche i jej syn byli dla niej tacy dobrzy. Umierający ojciec błagał jednak, aby pozwoliła lordowi Franklinowi wziąć się pod opiekę.

Nie mogła się nie zgodzić.

Ellie wyruszyła więc do Anglii - najpierw kosztownym powozem do Calais, potem prywatnym jachtem lorda Franklina do Tilbury. Stamtąd zaś powozem lorda do Londynu, który oszołomił ją okazałością budynków. Po przybyciu do wspaniałej, eleganckiej rezydencji lorda na Clarges Street w Mayfair, nowy opiekun zapewnił Ellie wszelkie wygody.

Przydzielono jej osobistą pokojówkę. W krótkich odstępach czasu odwiedziły ją fryzjerka, modystka i krawcowa; wkrótce zaczęto dostarczać jej kolekcję kosztownych, modnych sukien. Pomimo swej hojności lord Franklin nie zdradzał jednak ochoty, aby ją komukolwiek przedstawić czy pozwolić jej wyjść. Kiedyś zapytała go, czy ma kontakt z innymi krewnymi matki, lecz odrzekł:

- Och, moja droga, większość z nich nie żyje albo mieszka

gdzieś na północy. Nie powinnaś zawracać sobie nimi głowy.

Ellie była otoczona luksusem, jakiego do tej pory nie zaznała, lecz nie znosiła zamknięcia w tym wielkim domu. Mimo to postanowiła dotrzymać obietnicy złożonej ojcu. Jej zaufanie do lorda zostało jednak poważnie zachwiane, gdy któregoś dnia wróciła do swego pokoju po lunchu i zorientowała się, że pod jej nieobecność ktoś bardzo dokładnie przeszukał wszystkie jej rzeczy.

Zrobiło jej się słabo z zaskoczenia i strachu, których miała nadzieję nigdy już nie doświadczyć. Dla osoby postronnej w pokoju nie było żadnych śladów interwencji, lecz Ellie, przyzwyczajona do uciekania i ukrywania się, dostrzegła to od razu. Ktoś przejrzał wszystko: ubrania, a także osobiste rzeczy w szafie i szufladach. Ellie miała wrażenie, że nawet książki na półkach nie stały już na swoich miejscach.

Z mocno bijącym sercem wyciągnęła z dna szafy starą, czarną torbę ojca.

Zamek był nadal nietknięty, lecz po bliższych oględzinach Ellie dostrzegła wokół niego nieznaczne zadrapania. Ktoś usiłował dostać się do środka.

Zeszła na dół, aby znaleźć lorda Franklina. Często bywał nieobecny – spędzał czas w klubie lub na aukcjach sztuki – lecz szczęśliwie akurat tego dnia siedział w swoim gabinecie i rozmawiał z człowiekiem o nazwisku Appleby. Gospodyni poinformowała Ellie, że jest to zarządca Bircham Hall, wiejskiej posiadłości lorda.

Ellie zapukała i weszła.

– Elise! – powitał ją lord Franklin ze swoim zwykłym uprzejmym uśmiechem. – Co mogę dla ciebie zrobić?

Obok niego stał pan Appleby. Był nieco starszy od lorda Franklina, nosił czarny surdut i spodnie; miał krótko obcięte siwe włosy i okulary zsunięte na czubek nosa. Spojrzała na niego, po czym zwróciła się do lorda Franklina.

– Milordzie, mój pokój został przeszukany. – Chciała, aby jej głos brzmiał spokojnie, lecz nie potrafiła opanować jego drżenia. – Byłabym zobowiązana, gdyby przesłuchał pan swoją służbę.

Pan Appleby był tak zszokowany, jakby Ellie wyzwała właśnie lorda na pojedynek. Sam lord z troską zmarszczył brwi.

- To poważne oskarżenie, moja droga - wymamrotał. - Czy jesteś tego pewna?

- Całkowicie, milordzie.

- Może wątpisz w lojalność mojej służby, Elise? W ich lojalność wobec mnie? Czy coś zginęło?

- Nie! Ale...

Lord Franklin spojrział na zarządcę.

- Zostaw nas na chwilę samych, dobrze?

- Posłuchaj, Elise - odezwał się, kiedy pan Appleby wyszedł. - Tak sobie ostatnio myślałem, że może Londyn ci nie służy? Zastanawiam się, czy nie wolałabyś zamieszkać na pewien czas w mojej wiejskiej posiadłości w Kent. To spokojna, nadmorska okolica. Tam na pewno wypoczniesz po tych wszystkich straszliwych przejściach lepiej niż w Londynie. Czy masz coś przeciwko temu?

Przez jeden krótki moment Ellie planowała ucieczkę z domu w Mayfair, ale nie miała pojęcia, dokąd mogłaby się udać.

Jego lordowska mość otworzył drzwi, dając do zrozumienia, że to koniec rozmowy.

- Bircham jest oddalone jedynie o sześćdziesiąt mil od Londynu, więc można tam wygodnie dojechać w dwa dni - poinformował ją. - Naprawdę będzie ci tam wygodniej.

Stał przy otwartych drzwiach, czekając na jej zgodę. Ellie usłyszała w głowie głos ojca. „Lord Franklin zapewni ci bezpieczeństwo”.

- Jak pan sobie życzy, milordzie - skłoniła głowę.

Tak trafiła do Bircham Hall.

Dochodziła szósta; wkrótce pora będzie zasiąść do kolacji. Ellie niespokojnie spacerowała po pokoju i powtarzała sobie, że na pewno jest tu bezpieczniej niż we Francji i w Londynie, gdzie ktoś przeszukał jej pokój. Wcale to jednak nie oznaczało, że nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo.

Mimo panującego w pokoju ciepła zadrżała na myśl o spotkaniu w drodze ciemnowłosym mężczyźnie w czarnej rękawiczce

na dłoni, trzymającym tak nonszalancko kompas jej ojca.

Ellie popatrzyła na swoje odbicie w lustrze; dostrzegła duże, zielone oczy, ciemne loki i jeszcze ciemniejsze rzęsy. Czy naprawdę jest ładna? Nigdy się nad tym nie zastanawiała. Przez wiele miesięcy ukrywała się przed ludźmi, którzy ich ścigali, osłaniała kobiecą figurę szerokimi ubraniami i zawsze trzymała się w cieniu.

Teraz jednak przypomniała sobie, jak patrzył na nią ów napotkany przy drodze mężczyzna. Była zmęczona podróżą i pełna złych przeczuć co do swojej przyszłości; nagle i bezszelestne pojawienie się kogoś, kto – jak natychmiast wyczuła – stanowił poważne zagrożenie, powinno uruchomić dzwonek alarmowy w jej głowie. Głupio zrobiła, nie uciekając natychmiast z powrotem do powozu. Przecież nie odważyłby się za nią pobiec?

A mimo to, kiedy tylko go zobaczyła, z przydługimi włosami, wysokimi kośćmi policzkowymi i z jedną dłonią w czarnej rękawiczce, jej serce zamarło, a oddech przyspieszył. Nie była w stanie zapomnieć, jak jego wyjątkowo niebezpieczne błękitne oczy przeszywały ją na wylot, napawając uczuciem, że nigdy dotąd nie spotkała jeszcze kogoś takiego. I że może kiedyś nawet marzyła o poznaniu kogoś takiego.

Głupia jesteś, zganiła się w duchu i zadrzała, choć dreszcz ten nie miał nic wspólnego z chłodem. Poczowała go na wspomnienie szczupłego, muskularnego ciała i schrypniętego głosu. Wzięła głęboki oddech i rozejrzała się po swym apartamencie. Wszędzie cisza i spokój. Ale co dalej? Była sama, znowu nie mogła nikomu ufać.

Na dole głośno zadźwięczał gong wzywający na kolację. Panna Pringle zjawiała się, aby zaprowadzić Ellie do jadalni, a raczej po to, aby upewnić się, że Ellie nie zapomni zejść do jadalni. Biedna panna Pringle wydawała się jeszcze bardziej zdenerwowana niż Ellie.

- Cóż to za zaszczyt – wykrzyknęła – być zaproszonym na kolację w towarzystwie lady Charlotte. Ale... - z przerażeniem przyjrzała się spłowiałej sukni Ellie.

- Tak? - spytała uprzejmie Ellie.

- Sądzę... sądzą, że lady Charlotte spodziewa się, że włożysz

coś bardziej odpowiedniego na kolację...

- W tej sukni jest mi naprawdę wygodnie - odrzekła Ellie cicho, lecz stanowczo.

- Tak, oczywiście.

Panna Pringle kiwnęła głową, lekko wykręcając sobie dłonie. Potem poprowadziła ją korytarzem i w dół po schodach.

Kolacja trwała ponad dwie godziny. Pod koniec ostatniego dania lady Charlotte wyraziła głębokie rozczarowanie towarzystwem Ellie.

- Myślałam, że Francuzi są znani z dowcipu i wesołego usposobienia - rzekła. - Miałam zamiar zaprosić cię, Elise, do mojego salonu. Sądzę jednak, że lepiej będzie, jeśli wrócisz do swojego pokoju i uznasz za wielkie szczęście fakt, że znalazłaś się pod opieką mojego syna.

Ellie, wdzięczna za możliwość ucieczki, poszła na górę i zamknęła za sobą drzwi. Wiedziała jednak, że nie będzie jej łatwo zasnąć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przez kilka następnych dni, kiedy bezustannie padał deszcz, a ciemność bezlitośnie zapadała o czwartej po południu, Ellie ogarniała coraz większa rozpacz. Z monotonną regularnością spożywała codzienne posiłki z panną Pringle i lady Charlotte. Co wieczór o szóstej schodziła do ogromnej jadalni, gdzie na wyłożonych boazerią ścianach wisiały onieśmielające portrety członków rodu Grayfieldów.

Lady Charlotte zawsze była tam przed nią; lokaje dowozili ją do jadalni w fotelu na kółkach z jej apartamentu na parterze dokładnie. Usadowiwszy się u szczytu stołu, lady Charlotte nadzorowała czujnym wzrokiem kolejne dania podawane na delikatnej porcelanie z herbem lorda Franklina.

Wkrótce Ellie знаła już na pamięć portrety przodków i rzeźby zdobiące każdą alkowę i niszę w tym wielkim domu. Co za kosztmar dla służby, myślała. Trzeba je ciągle odkurzać – kolejny powód do narzekania dla lady Charlotte. Narzekanie było bowiem jej głównym zajęciem, zwłaszcza podczas posiłków.

Lady Charlotte krytykowała każdą podawaną potrawę, wytykając nieszczęsnemu ochmistrzowi, panu Huffleypowi, że zupa była zbyt gorąca albo że cielęcinę niedostatecznie dosolono. Nigdy jednak nie narzekała na wino; miała słabość do madery oraz sherry i lubiła mieć zawsze pełny kieliszek.

Panna Pringle nie piła wina i pochłaniała jedzenie małymi, łapczywymi kąskami, jednocześnie uważnie słuchając każdego słowa lady Charlotte. Ulubionym tematem pani domu, zaraz po krytykowaniu jedzenia, był jej syn. Uwielbiała rozprawiać o jego podróżach i rozlicznych wspaniałych znajomych z wyższych sfer. Nigdy jednak nie wspominała o jego zmarłej żonie ani o synu, który – jak przypuszczała Ellie – piastował jakiś urząd kolonialny w Indiach.

Pewnego razu po kolacji panna Pringle nieśmiało napomknę-

ła, że Ellie potrafi grać na fortepianie.

- Na fortepianie? Czy to prawda?- zapytała lady Charlotte.

- Tylko trochę, milady - odrzekła Ellie. - W Paryżu matka uczyła mnie grać i...

- Nie mogę znieść dźwięku tego instrumentu - przerwała jej lady Charlotte - chyba że gra na nim prawdziwy muzyk. Wiem, czym cię dziś zabawić, Elise. Możesz przyjść do mojego prywatnego salonu i obejrzeć kilka miniaturowych portretów lorda Franklina, namalowanych przez pewnego artystę z Londynu, kiedy mój syn miał dwadzieścia jeden lat. Są bardzo piękne. Przyjdź za godzinę, najpierw muszę trochę odpocząć.

Ellie nie sądziła, że przyszła zbyt wcześnie, lecz tak chyba było. Zapukawszy do drzwi, weszła i ujrzała lady Charlotte samą. Stała przy kredensie, nalewając sobie spory kieliszek sherry.

Lady Charlotte usłyszała ruch i odwróciła się do niej. Z kamienną twarzą wróciła na swój fotel na kółkach bez widocznych trudności, usiadła i odezwała się lodowatym tonem:

- W niektóre dni jest mi trochę łatwiej chodzić. Przez większość czasu jednak jestem zupełną inwalidką. Po co tu przyszłaś?

Przez chwilę Ellie nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Pragnęła pani pokazać mi kilka miniatur, milady.

- Ach, miniatury. Pringle je wyjęła, są gdzieś tutaj...

Ellie rozejrzała się gwałtownie w poszukiwaniu służącej albo lokaja - kogokolwiek, kto mógł być świadkiem tej sceny. Czy ktoś oprócz niej wiedział, że lady Charlotte może chodzić?

Lady Charlotte najwyraźniej zupełnie zapomniała o tym incydencie i nadal przy każdej okazji usiłowała sprowokować Ellie.

- Słyszałam - ogłosiła któregoś wieczoru - że w ostatnich latach Londyn zmienił się nie do poznania.

Panna Pringle nerwowo podniosła wzrok na Ellie, która milczała, zdając sobie sprawę ze skierowanego na nią złowrogiego spojrzenia lady Charlotte.

- Wiem z zaufanego źródła - ciągnęła - że miasto jest pełne ubogich włóczęgów.

Panna Pringle kiwała głową.

- To prawda.

- Szczególnie często - lady Charlotte podniosła głos - słyszy się okropne historie o cudzoziemcach, którzy codziennie przybywają łodziami w poszukiwaniu pracy i okazji do intryg. Chodzi oczywiście o Francuzów. Mam nadzieję, że teraz, kiedy wojna się skończyła, nasz premier i jego rząd odeślą ich wszystkich tam, skąd przybyli.

Panna Pringle jęknęła cicho. Ellie wstała gwałtownie z krzesła.

- Proszę mi wybaczyć, milady, ale nie zostanę do końca posiłku.

Lady Charlotte spojrzała na nią gniewnie.

- Co takiego? Co? To niesłychane wstawać od stołu, gdy nie zaczęłam jeszcze deseru.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Czuję się jednak wyjątkowo zmęczona i naprawdę muszę wrócić do mojego pokoju. Proszę przyjmując moje przeprosiny, milady.

Dygnęła krótko i wybiegła z jadalni. Za drzwiami stali dwaj lokaje, którzy pchali fotel lady Charlotte. Rozmawiali, stojąc plecami do Ellie. Poczowała, że robi jej się zimno, kiedy zrozumiała, o kim rozmawiają.

- Co sądzisz o tej Francuzce? - spytał jeden.

- Jakby mnie kto pytał, to nie jest taka cicha, na jaką wygląda. Zdecydowanie ma jakąś iskrę w oczach. - Drugi lokaj zachichotał. - Szkoda, że to wszystko się tu marnuje. Ale może coś przeszkobiła w Londynie...

Ellie przeszła obok nich, minęła antyczne posągi i z płonącymi policzkami weszła na drugie piętro do swojego apartamentu. Czowała się tu uwięziona, w ogromnym, zimnym angielskim domu, gdzie lokaje plotkowali o niej jadowicie, a wyrazy ostrej dezaprobaty ze strony lady Charlotte zdawały się stale rozbrzmiewać w jej uszach.

Była tutaj niemal od tygodnia i sama myśl o kolejnym wydawała się nie do zniesienia. Odejście jednak oznaczałoby złamanie przysięgi danej ojcu - obietnicy, że pojedzie do Anglii i rozpocznie tam nowe, bezpieczne życie. Zawierzenie zupełnie ob-

cym ludziom szybko okazało się błędem.

Musi stąd uciec, a jedynym miejscem, które przychodziło jej do głowy, była Bruksela. Bruksela i mieszkanko nad piekarnią, gdzie spędziła wraz z ojcem ostatnie tygodnie jego życia. Może dobra gospodyni pozwoliłaby jej znowu wynająć ten pokój i z pewnością znalazłaby jakąś pracę w pobliżu. Wtedy mogłaby codziennie odwiedzać grób ojca obok małego kościółka Sainte Marie.

Odsunęła ciężkie zasłony i wyjrzała w noc. Po wielu dniach ulew aksamitne niebo było wreszcie bezchmurne, a w oddali, za lasem otaczającym ogrody Bircham Hall, widziała światło księżyca odbijające się w morzu. Nagle Ellie przypomniała sobie wioskę rybacką. Mary powiedziała, że zwie się Bircham Staithe i leży niecałą milę od granicy majątku lorda Franklina.

Już wkładała na stopy trzewiki i pelerynę z kapturem; już chwytła czarną, skórzaną torbę. Po chwili wysunęła się po cichu z pokoju i zaczęła nasłuchiwać. W wielkim domu panowała zupełna cisza. Zwinnie zeszła więc na dół wąską klatką schodową dla służby i bocznymi drzwiami wymknęła się w nieprzeniknioną ciemność ogrodu.

Wolność. Ellie wdychała głęboko zimne, nocne powietrze, lecz nadal wahała się, czy wejść pomiędzy krzewy. Wiedziała, że lord Franklin, jak większość właścicieli ziemskich, posiada pół tuzina wielkich mastifów, psów stróżujących, które psiarczyk wypuszczał z zagród po zmroku.

Czasami psy wypuszczano jedynie na pół godziny, choć rozmyślnie czyniono to codziennie o innej porze. Teraz jednak Ellie przypomniała sobie, że dziś słyszała psy już wcześniej, podczas kolacji, więc teraz są już pewnie z powrotem w zagrodach. Z bijącym mocno sercem ruszyła ścieżką wśród krzaków. Nie goniły jej ani psy, ani służba. Wszędzie panowała miłosierna cisza.

Podczas podróży z ojcem Ellie nauczyła się dokładnie planować trasę, a następnie podążać nią bez wahania. Już pierwszego dnia w Bircham Hall zauważyła, że rozciągające się za żywopłotami trawniki i rabaty kwiatowe sięgają granic posiadłości, gdzie można było z łatwością wspiąć się po kamiennym murze. Stamtąd, jak sądziła, był już tylko kawałek do drogi wiodącej do

portu w Bircham Staithe.

W ciemności przeszła przez ogród i zwinnie wspięła się na mur. Teraz pozostawało tylko nasłuchiwać, czy nikt jej nie goni. Myślała o tym przez cały czas, spiesząc drogą prowadzącą do morza. Nagle wydało jej się, że z lasu po prawej stronie dobiegł ją stłumiony odgłos kroków. Zatrzymała się, a oddech uwiązał jej w gardle.

W jej myślach pojawił się człowiek w długim, szarym płaszczu, trzymający w dłoni kompas ojca i wpatrujący się w nią świdrującym wzrokiem. Serce biło jej jak młotem, lecz teraz nie słyszała już nic – żadnego dźwięku poza szeptem wiatru i dalekim szumem morza. Może to jakieś małe zwierzę albo ptak trzepocący się w krzakach... – przeszło jej przez myśl, gdy nagle z ciemności wychynęło czterech mężczyzn w zniszczonych rybackich strojach i zagrodziło jej drogę ucieczki.

– No, no – powiedział jeden z nich, podchodząc bliżej. Miał na sobie krótką kurtkę, a wokół szczupłej twarzy powiewały kosmyki cienkich włosów. – Co my tu mamy? Wygląda na to, że dziś nam się poszczęściło, chłopcy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Luke Danbury siedział w zadymionej tawernie w Bircham Staithe, pijąc *ale* i grając w kości z grupką miejscowych rybaków. Duchem był jednak daleko. Minęło już kilka dni, odkąd Jacques odpłynął do Francji, kierując się na południe, do La Rochelle. Teraz powinien być w trakcie poszukiwań, powinien proponować łapówki albo rzucać groźby – wszystko to w płonnej, być może, nadziei, że brat Luke'a nie zginął tak jak inni.

Nagle zorientował się, że jeden z rybaków trąca go w łokieć.

- Pana kolej, kapitanie.

Luke kiwnął głową i wziął kości do ręki, po czym rzucił je niezgrabnie. Lewą ręką wszystko robił zresztą niezgrabnie. Przypomniał mu się pusty, jesienny wieczór w ubiegłym roku, kiedy po raz pierwszy zdjęto mu opatrunek, on zaś, przygnębiony tygodniami przymusowej bezczynności, powiedział do Jacques'a:

- Następnym razem pojedę z tobą do Francji. Nie potrafię tu czekać bezczynnie, kiedy mój brat może mnie potrzebować.

Wtedy dostrzegł wyraz twarzy przyjaciela, który zdawał się powątpiewać w to, że ktoś z okaleczoną tak paskudnie ręką będzie zdolny do takiej podróży. W końcu nie mógłby się posługiwać pistoletem ani szablą.

Kości opadły jednak szczęśliwie i stosik monet obok Luke'a wreszcie urósł. Wtedy Luke wstał i zamówił piwo dla wszystkich.

Nie zdążył usiąść, kiedy podszedł do niego Tom Bartlett, a za nim potężni bracia Wattersonowie.

- Jest pan proszony na zewnątrz, kapitanie.

- Przez kogo?

- Paru miejscowych rzezimieszków. Sam Snaith jest ich szefem.

Gwar w gospodzie przycichł.

- Czego chce?

- Mówi, że chce panu przedstawić kogoś interesującego. Dziewczynę...

Luke zerwał się na nogi. Nie musiał już pytać o nic więcej. Wyszedł na tyły gospody, gdzie światło z okien padało na brudne podwórze.

Sam Snaith i jego kompani wyglądali tak samo podejrzanie jak zwykle. Podobno wszyscy byli rybakami, ale Luke sądził, że nigdy w życiu nie przywieźli do domu uczciwego połowu. Tym razem jednak naprawdę mieli ze sobą wartościowy łup.

Luke westchnął ciężko. Przeczucie nie myliło go, była to dziewczyna z kompasem. Rozpoznawszy go teraz, zaczęła się jeszcze mocniej szarpać.

- Puśćcie ją - warknął do nich. - Zabierzcie od niej swoje brudne łapy. Już.

Posłuchali niechętnie. Dziewczyna wówczas pochwyciła skórzaną torbę, która upadła na ziemię, i rzuciła się do ucieczki.

- Tom - polecił Luke. - Złap ją.

Watterssonowie pobiegli razem z Tomem i przyprowadzili dziewczynę. Luke zauważył, że przyciska swoją skórzaną torbę do siebie tak, jakby ceniła ją bardziej niż własne życie.

- A więc znowu się spotykamy - odezwał się. - Ewidentnie lubi pani przygody?

Spojrzała na niego z najwyższą pogardą, a Luke poczuł się tak, jakby otrzymał cios w żołądek. Była dumna i dzielna, lecz pod maską odwagi kryła się czysta desperacja. Jeżeli wpakowała się w kłopoty, to na pewno z własnej winy, pomyślał.

- Kapitanie, za panem! - Tom trącił go w łokieć, a Luke zorientował się, że Sam Snaith, ze swoimi cienkimi włosami i krzywymi zębami, podchodzi do niego chyłkiem.

- Dobra, kapitanie - zaczął Sam. - Przede wszystkim to nasza zdobycz. Ufam, że nas pan uczciwie wynagrodzisz, he?

- Zastanawiam się, co masz na myśli... - odrzekł Luke z namysłem. - Czy mam na przykład połamać wam wszystkie kości za to, że zaatakowaliście bezbronną dziewczynę?

- Ona? Bezbronna? Ha! Ta dziewczka wie, jak się walczy, widziałeś ją!

Tom i Josh trzymali ją za ramiona, ona jednak stała bez ruchu, jakby instynkt podpowiadał jej, że Luke jest o wiele niebezpieczniejszy niż Sam i jego kumple. W dodatku miała rację.

- Dałeś słowo, kapitanie! - warknął Sam, a następnie oparł zaciśnięte pięści na biodrach i wpatrywał się wojowniczo w Luke'a. - Powiedziałeś, że będzie nagroda za wiadomości o dziewczynie z Bircham Hall. A my zrobiliśmy jeszcze więcej, nie? Przyprowadziliśmy ją do pana!

- No, prawie - odrzekł Luke. - Zdaje się, że parę minut temu widziałem, jak wam ucieka. Porwaliście ją z domu?

- Co?! Mieliśmy sobie ściągnąć na głowę ludzi lorda Franklina? Nic z tego. Staliśmy z chłopakami na drodze do Bircham, zajmowaliśmy się swoimi sprawami...

- Czyli okradaniem ludzi... A może kłusownictwem?

Sam nachmurzył się.

- Swoimi sprawami się zajmowaliśmy, już mówiłem. I nagle zobaczyliśmy tę dziewczynę. Zasuwała drogą z tą torbą w ręce, ale Nathan ją rozpoznał. „To ta nowa, z Bircham Hall! Ta Francuzka, o której wszyscy gadają!”, powiedział, to żeśmy ją zatrzymali.

Luke spojrzał na dziewczynę, której drobne piersi unosiły się i opadały w krótkich gwałtownych oddechach. Strach nadal zasnawał jej wielkie, czujne oczy.

- Wyobrażam sobie, że nie była zachwycona - rzucił.

- Dobrze ją potraktowaliśmy! Spytałismy grzecznie: „Dokąd to, panienko?”, a ona powiedziała, że da nam pieniądze, nieźle pieniądze, jeśli znajdziemy jej statek, który zabierze ją do Francji! Ale skoro obiecałeś pan nagrodę, to ją do ciebie przyprowadziliśmy.

Luke odwrócił się do dziewczyny.

- Czy to prawda?

Musi być przerażona, pomyślał, ale kiedy mu odpowiedziała, jej głos był pewny, zaprawiony jadowitą pogardą.

- Tak, to prawda. I to nie pańska sprawa.

- Obawiam się, że jednak moja. Proszę mi powiedzieć, dlaczego i dokąd chce pani uciekać.

- *Je ne comprends pas* - oświadczyła, przechylając buntowni-

czo głowę w bok.

Luke westchnął w myślach. Powiedziała, że nie rozumie, ale był całkowicie pewien, że jest inaczej. Rozumiała każde słowo. Teraz zaś znowu zaczęła się szarpać jak dzika kotka, ponieważ Sam Snaith podszedł do niej, przyglądając jej się obłeśnie.

- Pomyśleliśmy, że będziesz nią pan zainteresowany, kapitanie. Trzeba dotrzymywać obietnic. Chcemy naszą nagrodę, nie?

Wyciągnął ku niemu nadstawioną dłoń, lecz Luke odepchnął ją na bok.

- Prosiłem o wiadomości, nie o brankę.

- Och, kapitanie - odrzekł cicho Sam. - Dumny jesteś, co? A wiesz, co mówią o dumnych. Rozejrzyj się.

Luke spojrział wokół i dostrzegł, że kolejni kamraci Sama wyszli z gospody i stoją w mroku, ponad trzykrotnie przewyższając liczebnie jego ludzi.

Cholera, zaklął w duchu Sam i szybko rzucił okiem na dziewczynę, która ze strachu zastygła w bezruchu.

Sam stanął tuż przy nim.

- Jeśli nie masz zamiaru wypłacić nam nagrody, kapitanie, to łaskawie oddaj nam dziewczynę. Przynajmniej zabawimy się z nią dziś w nocy.

Trzask odbezpieczanego pistoletu odbił się echem po podwórzu. Wszyscy patrzyli z osłupieniem na dziewczynę, która celowała z broni prosto w serce Sama.

Luke jęknął w duchu. Powinien był o tym pamiętać. Większość dziewcząt już dawno by zemdląła, ale nie ona.

- Odsuń się - powiedziała do Sama. - Odsuń się, ale już.

Sam podniósł ręce, ale nadal próbował z niej szydzić.

- Myślisz, że mnie przestraszysz? Założę się, że ta pukawka nie jest nawet naładowana.

Dziewczyna nadal trzymała go na muszce.

- Zapewniam cię, że jest. Wystarczy jedna kula, żeby cię wykończyć.

Wtem - jakby jeszcze było mało, pomyślał Luke - usłyszeli tętent koni, nadjeżdżających od strony zatoki. Z tylnych drzwi gospody zaczęli wysypywać się miejscowi, krzycząc wszyscy naraz.

- Celnicy! Szybko, uciekajcie!

Luke skoczył ku dziewczynie, wyrwał jej pistolet i podał go Tomowi. Następnie chwycił Ellie za ramię. Tom i Wattersonowie byli tuż obok.

- Uciekaj - szepnął do niej. - Tędy...

Dziewczyna stała zdeorientowana.

- Moja torba...

Luke zaklął siarczyście, porwał nieszczęsny bagaż i rzucił Jo-showi.

- Trzymaj to... A ty - zwrócił się do dziewczyny i wskazał ręką wąską alejkę: - Uciekaj!

Pierwsi jeźdźcy wdzierali się już na dziedziniec, wypatrując z siodeł potencjalnych więźniów. Ellie posłuchała go i ruszyła biegiem przed siebie.

Dla Ellie koszmar zaczął się, gdy czterech mężczyzn wychy-
nęło z ciemności na drodze do Bircham Staithe. Początkowo
myślała, że to ludzie lorda Franklina, lecz język, jakiego używa-
li, oraz bezczelne spojrzenia i pytania, co tu robi i dokąd zmie-
rza, natychmiast powiedziały jej, że jest inaczej.

- Idę do zatoki - odrzekła, usiłując zachować spokój. - Potrze-
buję statku, muszę się dostać do Calais albo do jakiegokolwiek
francuskiego portu. Mogę wam zapłacić...

Gapili się na nią z niedowierzaniem.

- To Francuzka - mówili. - To ta francuska panienska z Bir-
cham Hall. I wiemy, że jest tu ktoś, kto zechce nam za nią do-
brze zapłacić, chłopaki...

Pochwycili ją tak szybko, że nie miała szans wyciągnąć broni,
i poprowadzili do gospody w wiosce. Nie wiedzą, że mam pisto-
let, powtarzała sobie. Nie wiedzą o tym.

Lecz jej serce mocno przyspieszyło, kiedy zatrzymali się na
podwórzu i pojawił się ten człowiek. Mężczyzna w długim, poła-
tanym płaszczu i czarnej rękawiczce na prawej dłoni. Kiedy do
niej przemówił, jego głos był spokojny i opanowany, niemal roz-
bawiony.

- Lubi pani przygody, prawda? - powiedział, a ona poczuła
się, jakby stała na krawędzi bezdennej otchłani.

Naiwnie wierzyła, że wyciągnięcie pistoletu pozwoli jej się uwolnić, lecz pojawienie się celników pokrzyżowało jej plany. A teraz straciła pistolet, jeden z ludzi tego człowieka, zwanego kapitanem, niósł jej torbę, a on sam ciągnął ją w ciemność, z dala od wioski.

- Chodź - pospieszał ją szorstko.

Jego trzech zbirów też uciekało razem z nimi. Jeden miał jej torbę, drugi - przysadzisty, z nastroszonymi włosami - jej pistolet. Kapitan mocno trzymał ją za nadgarstek lewą ręką.

Kierowali się w stronę przeciwną do zatoki, ku wyboistej drodze wiodącej w głąb lądu. Wspinając się, Ellie widziała czarną powierzchnię morza rozciągającą się poniżej. Księżyc srebrzył łagodne fale; słona bryza pieściła jej twarz, drażniąc wspomnieniem wolności.

Co teraz? - myślała gorączkowo. Kapitan Luke uratował ją przed łotrzykami. Czy jednak ten chłodny, niedostępny człowiek nie był jeszcze bardziej niebezpieczny niż oni? Wiedział, że jest pod opieką lorda Franklina, od którego uciekła.

Było jasne, że nie zamierza pozwolić jej tam wrócić. Nagle przyszło jej do głowy, że być może będzie żądał okupu - była jednak niemal pewna, że Lady Charlotte wolałaby mu zapłacić, aby ją zatrzymał. O mało nie potknęła się na kamieniach, usiłując stłumić rozpaczliwy chichot.

Mężczyzna wzmocnił uścisk na jej nadgarstku.

- Pospiesz się - warknął. - Może nadal nas gonią.

- Mogłabym iść szybciej, gdybyś mnie tak nie ciągnął!

- Doskonale. Będę szedł trochę wolniej.

- Nie ma takiej potrzeby - potrząsnęła głową. - Po prostu mnie nie dotykaj.

Skinął głową i ją puścił. *Dieu*, przez chwilę jej ciało tęskniło za uściskiem jego silnej dłoni... Głupia, zgaśniła się w myślach Ellie, owinęła się szczelniej peleryną i pospieszyła za nim.

Wioska zniknęła im z oczu i teraz szli ścieżką biegnącą wzdłuż krawędzi klifu. W dole widać było długi pas plaży i mokre kamienie połyskujące w ciemności. Tu, na górze, sprężysty torf był porośnięty kępami kolcolistu i zawciągu. A przed nimi...

Oddech uwiązał jej w gardle, kiedy ujrzała oświetlone złowieszczo blaskiem księżycy dachy i wieżyczki tajemniczego, starego domu, który widziała w drodze do Bircham Hall. Dom stał samotny i opuszczony, jakby rzucał wyzwanie potencjalnym intruzom. Jaki stąd musi być piękny widok za dnia, pomyślała Ellie. Wyglądał jednak na częściowo zrujnowany. Z pewnością nikt tam nie mieszkał.

Kapitan dotknął jej ramienia.

- Chodź ze mną - powiedział cicho.

Ruszyli ścieżką wiodącą pomiędzy drzewa i zdziczałe krzaki otaczające dom. Ludzie kapitana szli za nimi. Luke poprowadził ją na tyły domu, gdzie wszystko wyglądało inaczej. Dziedziniec był czysto zamieciony, a ze stajni dolatywał zapach świeżego siana. Blask wiszącej przy drzwiach latarni wzmacniało jeszcze światło padające z okien.

- Stójcie na straży - rzucił kapitan do swoich ludzi.

- Tak jest.

Trzej mężczyźni zniknęli w ciemnościach razem z torbą Ellie. Zanim zdążyła zaprotestować, drzwi otworzyły się i stanęła w nich niewysoka kobieta w średnim wieku, ubrana w spłowiałą, czarną suknię i długi, biały fartuch. Popatrzyła na nich z niepokojem, szczególnie na Ellie.

- Przyproceedził pan nowego gościa, kapitanie... och...

Luke podszedł bliżej.

- Proszę się nie martwić, pani Bartlett.

Zwracał się do niej łagodnie, lecz kiedy spojrzał na Ellie, jego twarz znowu spochmurniała.

- Tędy - powiedział, prowadząc ją do środka. Gospodyni podążyła za nimi.

- Rozumiem, że w jadalni jest napalone, pani Bartlett? - zapytał Luke.

- Oczywiście, proszę pana. Czy czegoś pan potrzebuje?

- Zawołam panią w razie czego.

- Doskonale.

Pani Bartlett obrzuciła Ellie szybkim, pełnym niepokoju spojrzeniem i pospiesznie się oddaliła.

Ellie zadrżała, kiedy kapitan znowu położył dłoń na jej ramie-

niu. Weź się w garść, powiedziała sobie.

Tymczasem wyłożonym kamiennymi płytami korytarzem przeszli do ogromnej jadalni, której sufit wspierał się na dębowych belkach, a jedyne źródło światła stanowił świecznik z dwiema świecami oraz ogień pełgający w kominku.

Luke zamknął potężne drzwi i stanął do nich plecami.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ellie znalazła się w pomieszczeniu długim na przynajmniej trzydzieści stóp i szerokim na dwadzieścia. Kominek był dostatecznie wielki, aby zmieścić się w nim cały wieprz na rożnie, a wokół grubo ciosanego dębowego stołu stał ponad tuzin różnych krzesel i ławek. Na stole pyszniła się bateria na wpół opróżnionych butelek i kieliszków.

Nie było tam dywanów ani ozdób, choć ciemne ślady na pobielonych ścianach wskazywały, gdzie niegdyś znajdowały się obrazy i meble. Łojowe świece osadzono w cynowych świecznikach. Bircham Hall zdawał się krzyczyć o swojej dumie i bogactwie, ten zaś dom zdradzał jedynie ubóstwo swego właściciela. Kiedyś jednak, pomyślała Ellie, musiał być bardzo piękny.

Czy to dom kapitana? Czy to on tu mieszka? Ten dom pasowałby do niego. Jest równie dziki i nieporządny jak on.

Ellie spojrzała na swego porywacza. Kapitan zrzucił płaszcz z szerokich ramion i przewiesił go przez oparcie krzesła. Gest ten był pozbawiony wszelkiej próżności, lecz Ellie nie mogła się powstrzymać, aby nie popatrzeć na jego wybitnie męską sylwetkę, odzianą w luźną białą koszulę, spodnie do jazdy konnej i wysokie buty. Poruszał się naturalnie, lecz mimo to Ellie czuła ostrzegawcze bicie serca i zaschło jej w ustach.

- Może byłoby ci wygodniej, gdybyś zdjęła pelerynę - zaproponował beznamiętnie.

- Tak myślisz? - spytała, owijając się nią ciasniej.

Luke zacisnął usta.

- Masz coś przeciwko temu, żeby usiąść? - spytał, wskazując jej krzesło przy kominku. - Naprawdę wolałbym, żebyś mi tu nie zemdlała.

Ellie usiadła po chwili wahania. Luke zajął miejsce naprzeciwko, pochylając się, aby się jej przyjrzeć.

W jego mocy... Ta myśl niemal ją powaliła. Jednak zamiast

planować ucieczkę, była w stanie myśleć tylko o jego oczach i ustach...

Nadal się jej przyglądał; jej serce waliło jak oszalałe.

- Powiedz mi - odezwał się - naprawdę chciałaś, żeby celnicy cię znaleźli?

- Wolałabym, żeby nikt mnie nie znalazł. A już na pewno nie ty!

Luke ciągnął dalej, jakby tego nie usłyszał.

- Zastanawiam się, co celnicy by z tobą zrobili. To był ich rutynowy objazd, podczas polowań na przemytników lubią od czasu do czasu pokazać swoją władzę. Dopiero by mieli uciechę, gdyby znaleźli młodą uciekinierkę z Francji. Chociaż sędzę, że lepiej byłoby, gdybyś wpadła w ich ręce, zamiast w brudne łapska Sama Snaitha i jego kompanów.

- Mam pistolet do obrony!

Luke kiwnął głową.

- I mówiłaś, że umiesz się nim posługiwać. Zabiłabyś go?

Ellie oblizwała wyschnięte wargi.

- Chciałam go tylko przestraszyć... Żeby móc uciec... - głos jej się załamał.

- Postawiłaś się w wyjątkowo niebezpiecznej sytuacji - odrzekł cicho. - Czy nie zdajesz sobie sprawy, jak lekkomyślnie, żeby nie powiedzieć głupio, postąpiłaś, samotnie wychodząc w nocy?

Serce podskoczyło Ellie do gardła, ponieważ Luke miał rację. Nie wiedział jednak, jak bardzo była zdesperowana. Zadrżała lekko, kiedy przechylił się nonszalancko przez stół, sięgając lewą ręką po butelkę i dwa kieliszki. Wszystko robił lewą ręką.

- Brandy pomoże ukoić nerwy - rzucił krótko, stawiając przed nią pełny kieliszek. - Napij się. Trochę cię uspokoi.

Ellie oderwała wzrok od czarnej rękawiczki.

- Dziękuję, ale nie chcę alkoholu.

Luke opróżnił swój kieliszek jednym haustem, po czym podszedł do kominka, aby dołożyć drewna do ognia. Co mu się stało? Co robi w tym niesamowitym, na wpół zrujnowanym domu? - zastanawiała się. Pewnie jest przemytnikiem. Ale czy przemytnicy poruszają się z taką arogancką pewnością siebie i mówią

jak dżentelmeni?

Luke wrócił do stołu i znowu usadowił się naprzeciw niej.

- A więc nie napijesz się.

Ellie się wyprostowała.

- Nie potrzebuję alkoholu - odrzekła spokojnie. - Ale myślę, że bardzo by nam pomogło, kapitanie, gdybyśmy byli ze sobą szczerzy.

- Szczerzy - powtórzył niemal z rozbawieniem. - Doskonale. Proszę, możesz zacząć.

- Wyszłam dziś w nocy - zaczęła Ellie - bo chciałam przepłynąć statkiem do Francji.

Luke przyglądał się jej uważnie.

- Zaskakujesz mnie, *mademoiselle*. Z mojego doświadczenia wynika, że większość francuskich uchodźców zdecydowanie woli zostać w Anglii.

Ellie pomyślała, że Luke bez wątpienia ma szerokie doświadczenie w wielu dziedzinach, a szczególnie jeśli chodzi o kobiety. Poczwała, że coś ściska jej wnętrzości. Zmusiała się jednak do zachowania spokoju.

- Zrozumiałam, że popełniłam błąd, opuszczając mój kraj - dodała.

- A więc odrzucasz łaskawą gościnność twojego krewnego, lorda Franklina? - Głos Luke'a ociekał sarkazmem. - Ale czy nie mogłabyś po prostu wyjaśnić mu, że nie jesteś tu szczęśliwa, i poprosić, aby zapewnił ci wygodny i bezpieczny powrót do domu? Wojna się skończyła, powrót do Francji nie jest już ryzykowny. Pod warunkiem - dodał - że czeka tam na ciebie dom i przyjaciele.

Ellie zamarła.

- Oczywiście, że tak.

- Oczywiście - powtórzył uprzejmie.

- Jednak z powodów, których nie będę ci wyjaśniać - ciągnęła Ellie - po prostu wolę wyjechać bez wiedzy Bircham Hall. Muszę wrócić do domu i wątpię, abyś miał prawo mnie przed tym powstrzymać. Zwłaszcza że jesteś jakimś przemytnikiem...

Luke wybuchnął śmiechem.

- Przemytnikiem! Jesteś o tym przekonana, prawda?

- Oczywiście! - Ellie zająknęła się nieco. - Z jakiego innego powodu miałbyś się ukrywać w tym starym domu nad morzem? Dlaczego twoi ludzie mieliby cię nazywać kapitanem?

- Może dlatego że służyłem w brytyjskiej armii?

Ellie poczuła się nieco zbита z tropu.

- Ale skoro nie jesteś... *malfaiteur*...

- Złoczyńcą - odpowiedział cicho.

- Jeśli nie jesteś złoczyńcą, to dlaczego tak się wystraszyłeś celników?

- Nikogo się nie boję - odrzekł, lecz jego wzrok wyraźnie spochmurniał.

- Ale uciekałeś przed nimi - upierała się. - Musisz być przemytnikiem. Słyszałam, że tacy jak ty walczą między sobą. Z tymi, którzy w przeszłości mieli nad nimi przewagę...

- Skąd to wiesz?

Powinna była przerwać. Powinna była dostrzec, że Luke ma coraz groźniejszą minę. Jednak zamiast tego brnęła nierozsądnie dalej.

- Twoja ręka. Jest okaleczona...

Spojrzała mu w oczy i głos jej się załamał.

- Mów dalej - zachęcił ją.

- Nie - pokręciła głową.

- Obawiam się, że wyciągasz zbyt pochopne wnioski, *mademoiselle* - odrzekł z zaciśniętymi ustami. - Ostrzegam cię, że bardzo tego nie lubię.

Ellie nieznacznie wzruszyła ramionami.

- Zapewniam cię, *monsieur*, że nie obchodzi mnie to, co robisz. Interesuje mnie jedynie to, co stanie się tu i teraz. Jak widzę, oboje jesteśmy zaradni.

- Zauważyłem - odrzekł z namysłem. - Masz pistolet. Oraz, o ile dobrze pamiętam, dość intrygujący kompas.

Dieu, miała nadzieję, że zapomniał o kompasie. Instynktownie poszukała wzrokiem torby, lecz nigdzie jej nie dostrzegła. Oczywiście zabrali ją jego ludzie.

Jej serce znowu zaczęło bić bardzo szybko, ponieważ Luke wstał i podszedł bliżej.

- Och, *mademoiselle* - powiedział. - Muszę przyznać, że cię

podziwiam. Udało ci się jakoś wkraść do domu lorda Franklina i spowodować, że ulitował się nad tobą i przywiózł cię do Anglii. – Założył ręce na piersiach i przechylił głowę, jakby się nad czymś zastanawiał. – A jednak teraz uznałaś, że możesz zakończyć swój krótki pobyt pod jego dachem, nie informując o tym nikogo. Dlaczego?

Ellie wzruszyła ramionami, choć serce podeszło jej do gardła.

– Może Anglia nie okazała się taka, jak sobie wyobrażałam.

– Doskonale – odparł chłodnym tonem. – Ale z pewnością zdajesz sobie sprawę, że postąpiłaś bardzo nierozważnie, uciekając dziś w nocy? Jak myślisz, co by z tobą zrobili ci ludzie, gdybyś rzeczywiście weszła na pokład ich kutra?

Spojrzała mu w oczy, usiłując zachować spokój.

– W takim razie – odrzekła – może to lepiej, że przyszedłeś mi z pomocą, *monsieur le Capitaine*. Może to ty mógłbyś zabrać mnie do Francji.

Dlaczego to powiedziałam? *Dieu*, jak mogłam zaproponować coś tak szalonego? Czyżby odebrało mi rozum? – zrugła się w duchu.

Najwyraźniej tak właśnie pomyślał, sądząc po sposobie, w jaki uniósł ciemne brwi.

– Co oferujesz w zamian?

– Coś niezwykle cennego, kapitanie. Moje przekonanie, że jesteś zaiste szlachetnym Anglikiem. A także moją dozą wdzięczność.

Luke roześmiał się.

– Twoją wdzięczność! *Mademoiselle*, jesteś niezrównana. Wydajesz się zapominać – intencjonalnie, jak się domyślam – że możesz zaoferować mi coś innego niż wdzięczność.

Mroczna insynuacja kryjąca się w tych słowach sprawiła, że policzki Ellie zapłonęły, a dziwne gorąco rozlało się po całym ciele. Tymczasem Luke otworzył drzwi i zawołał:

– Tom! Przynies torbę milady.

Chwilę później służący postawił na stole jej torbę i wyszedł. Kapitan zamknął drzwi.

– Czy ma pani klucz do torby, *mademoiselle*?

Ellie ogarnęła panika.

- Nie! Nie mam...

- W takim razie będę musiał się włamać - odrzekł ze spokojem, po czym wziął do ręki korkociąg i zbliżył go do zamka torby.

- Stój!

Luke znieruchomiał.

Z uczuciem całkowitej porażki Ellie odpięła kluczyk ze srebrnego łańcuszka na szyi. Z niepokojem obserwowała, jak wyjmuje z torby całą jej zawartość i układa na stole. Zapasową koszulę i szal, które zapakowała na podróż. Starannie złożone mapy ojca. Skrzyneczkę z jego cennymi instrumentami. Teodolit. Pryzmat. Szkło powiększające. Kieszonkowy teleskop. I kompas.

Oczywiście widział go już wcześniej.

Luke spojrzał na nieznaną. Jej hipnotyzująco zielone oczy były utkwione w rozłożonych na stole przedmiotach. Błada siedziała w napięciu, przyciskając ręce do boków.

Z niezrozumiałej dla siebie przyczyny był na nią wściekły za to, że tak ryzykowała. Przecież musiała zdawać sobie sprawę z tego, co mogłoby ją spotkać ze strony byle łajdaka napotkanego podczas tej wariackiej eskapady?

Starła się ukryć swoją niezwykle kobiecą figurę pod znoszoną peleryną. Spod bonetu wymykały się kosmyki czarnych włosów. Mimo to jej uroda niezaprzeczalnie nadal zapierała dech w piersiach, co zauważył już przy pierwszym spotkaniu.

Wówczas, tak jak i teraz, dostrzegł w niej zarówno bezbroność, jak i odwagę, co wzmagало jego ciekawość. Jakie sekrety skrywa jej przeszłość? Dlaczego desperacko ucieka z Bircham Hall, skoro przybyła tam tak niedawno?

Jego dłoń na chwilę zatrzymała się nad kompasem, lecz postanowił zostawić go na koniec. Zamiast tego wskazał jej jedną z na wpół ukończonych map.

- To jest mapa północnej Francji - wyjaśnił. - Wszystkie drogi wiodące do Brukseli zostały starannie oznaczone. Dlaczego?

- To moje mapy. - Ellie podeszła o krok. - Będę ich potrzebowała w drodze do domu...

Chciała wyrwać mu mapę z ręki, on jednak cofnął dłoń. Dosłyszał cichy jęk zawodu i przytrzymał ją spojrzeniem.

- To wyjątkowo dobrze opracowane mapy, prawda? Dobre mapy są cenne, szczególnie w czasie wojny. Niektórzy wojskowi eksperci mówią, że w pewnych okolicznościach są warte więcej niż tysiąc ludzi.

Usłyszał, jak Ellie bierze gwałtowny oddech. Odłożył mapę na stół, odwrócił się do niej i zapytał:

- Po czyjej stronie byłeś w czasie wojny, *mademoiselle*? A raczej: po czyjej stronie był twój ojciec?

Natychmiast dostrzegł jej zdenerwowanie.

- Po niczyjej, *monsieur*! - odparła gwałtownie. - Mój ojciec był dobrym człowiekiem, który ponad wszystko pragnął pokoju! A ja chcę wrócić do Brukseli, ponieważ tam został pochowany...

Głos jej zamarł, ponieważ Luke sięgnął po małe pudełeczko z kompasem.

- Jest tu wiele interesujących przedmiotów - odezwał się. - Ale ten jest najciekawszy ze wszystkich.

Dostrzegł, że Ellie stara się ze wszystkich sił zachować spokój.

- To kompas mojego ojca - odparła. - Jedna z jego ulubionych rzeczy.

- Nie wątpię.

Luke powoli wyjął kompas z pudełka i obracał go w dłoniach, przez chwilę perfidnie pozwalając jej mieć nadzieję, że może nie umie odczytać wygrawerowanej na nim francuskiej inskrypcji.

- Nie podejrzewam - ciągnął - że twój ojciec chciałby, aby ktokolwiek dowiedział się, że był oddanym sługą Napoleona. Jego zaufanym kartografem. Nie sądzę także, abyś ty tego chciała.

Ellie rzuciła się, aby wyrwać mu kompas, on jednak uniósł go wyżej i z pamięci wyrecytował inskrypcję:

- „Mojemu oddanemu słudze, André Duchampowi, twórcy moich map. Prezent od Napoleona Bonaparte”. - Spojrzał jej prosto w oczy. - I to należało do twojego ojca?

Ellie była blada jak ściana.

- Nie masz prawa...

Luke nadal trzymał kompas w powietrzu.

- Oczywiście - powiedział - pamiętasz, że widziałem ten kompas, kiedy twój powóz zatrzymał się na drodze. Wtedy odczytałem inskrypcję.

Widział, jak drży.

- Odczytałeś?

- Z początku nie mogłem uwierzyć własnym oczom... Prezent od samego Napoleona Bonaparte...

Mówiąc to, wsunął kompas do kieszeni, po czym wziął do ręki kolejną niedokończoną mapę, opatrzoną obliczeniami i notatkami.

Luke odczytał je na głos, tłumacząc na angielski.

- „Od Reims do Dinant. Całkowita odległość: sto dwadzieścia kilometrów. W Rethel należy zbudować most na rzece Aisne. Wyszczególniona poniżej trasa uwzględnia obszary skaliste, gliniaste i bagniste, odpowiednio zaznaczone. Drogę należy kłaść na podbudowie z większych kamieni, pokrytej mniejszymi kamieniami. Nie należy stosować żadnej substancji wchłaniającej wodę, co prowadziłoby do uszkodzeń powodowanych przez mróz...”.

Przebiegł wzrokiem resztę mapy i odczytał podpis:

- „Sporządził André Duchamp. Paryż, trzynastego kwietnia tysiąc osiemset dziesiątego roku”.

Spojrzał na Ellie.

- Twój ojciec zbudowałby lepszą drogę do Bircham niż ta, na której musiał zatrzymać się twój powóz, prawda?

Patrzyła na niego spokojnym wzrokiem, lecz jej piersi pod peleryną wznosiły się i opadały gwałtownie. Dostrzegł, że spogląda w stronę drzwi. Nie zamierzał pozwolić jej uciec.

- Kreślił mapy dla Napoleona - ciągnął niemal ze zdumieniem. - Projektował drogi dla jego armii. Twój ojciec.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Na chwilę zapadła cisza, w której Ellie słyszała daleki odgłos fal rozbijających się o brzeg. Płomień świecy zatańczył w nagłym podmuchu powietrza. Ten człowiek chyba słyszy bicie mojego serca, pomyślała.

- Mój ojciec pracował dla Francji - odrzekła w końcu, dumnie unosząc głowę. - Dla dobra wszystkich jej obywateli. Był zatrudniony przez państwo, jak wielu innych...

- Dobry Boże! Czy masz mnie za głupca? - przerwał jej niecierpliwie. - Próbujesz udawać, że był urzędnikiem państwowym? Nawet ja słyszałem o twoim ojcu. André Duchamp był jednym z najlepszych kartografów naszych czasów! Słyszałem, że to dzięki niemu nowe drogi Napoleona były tak doskonałe. To one pozwoliły żołnierzom Napoleona przemaszerować z Paryża przez Francję do Prus, Włoch, Hiszpanii i prawie całej Europy i pokonywać armię za armią.

- Mój ojciec nie żyje! - głos Ellie nabrzmiał emocjami. - A Napoleon jest w więzieniu! Przeszłość jest już za nami...

- Przeszłość, historia ma niemiły zwyczaj powracania, *mademoiselle*. - Mówiąc to, uśmiechnął się lekko. - Czy lord Franklin wie, dla kogo pracował twój ojciec?

- A po co chcesz to wiedzieć?

- Wie czy nie wie?

Ellie powoli pokręciła głową. Luke spacerował po pokoju, lecz nagle odwrócił się do niej.

- Splot ostatnich wydarzeń z twojego życia wydaje się trochę zaskakujący. Wyglądało na to, że z wdzięcznością przyjęłaś ofertę lorda Franklina, lecz teraz uciekasz nocą z jego domu i ogłaszasz - wszystkim oprócz niego - swoje gorące życzenie powrotu do Francji. Przychodzi mi do głowy tylko jedno wyjaśnienie.

Uderzył o stół jedną z map.

- *Mademoiselle*, jestem zmuszony założyć, że szpiegujesz dla Napoleona. - Usłyszał, jak Ellie gwałtownie wciąga powietrze. - Jestem zmuszony przyjąć, że służysz mu - naciskał - być może tak samo lojalnie, jak twój ojciec. Wnioskuje więc, że pragniesz przedostać się do Francji, ponieważ podczas swojego pobytu tutaj udało ci się odkryć coś bardzo ważnego, co musisz przekazać jego zwolennikom we Francji. Jak wiemy, nadal jest ich wielu.

Ellie kręciła głową. Usta miała rozchylone, oddech szybki i płytki.

- Napoleon się poddał. Wojna się skończyła...

Luke przeglądał pozostałe mapy.

- Nie udawaj głupiej. Nikt nie spodziewa się, że Napoleon będzie potulnie siedział na Elbie. Francuzi zaczynają już mieć dość grubego króla Ludwika, narzuconego im przez Brytyjczyków i ich sprzymierzeńców. Wiesz o tym, *mademoiselle*, prawda?

Przez chwilę wpatrywała się w niego oniemiała, po czym powoli skinęła głową.

- Spora część ludności Francji - ciągnął - zaczyna się zastanawiać, kiedy ich cesarz w końcu powróci. I, niech pomyślę, jeśli miałby wypłynąć z Elby, to gdzie mógłby wylądować? - Opuścił wzrok na mapy, przeglądając jedną po drugiej. - Może na przykład w Nicei. Tak, czemu nie w Nicei? Wtedy mógłby zgromadzić ludzi, zwołać armię i ruszyć na północ, do Paryża, może przez Lyon i Clermont? Twój ojciec wiedziałby, które drogi powinno wybrać wojsko, ponieważ bez wątpienia pomagał je budować.

Ellie rzuciła się do stołu, rozpaczliwie próbując pochwycić mapy, lecz po drodze potknęła się, przewracając jedno z ciężkich krzesel. Luke złapał je prawą ręką, okrytą czarną rękawiczką, i syknął z bólu.

Z hałasem postawił krzesło z powrotem i zgrzytając zębami, przykrył okaleczoną dłoń lewą ręką. Przerazona Ellie cofnęła się. Zrozumiała, że to świeża rana. Nadal bolesna... W chwilę później ludzie kapitana wdarli się do jadalni i chwycili ją mocno za ramiona.

Musieli usłyszeć upadające krzesło i okrzyk bólu Luke'a; zapewne pomyśleli, że go zaatakowała.

Ellie szarpała się, krzycząc po francusku do kapitana:

- Możesz wziąć moje rzeczy. Sam teodolit jest wart pięćdziesiąt liwrów. Możesz go wziąć, jeśli zawieszysz mnie do Francji. Możesz wziąć wszystko...

- Wszystko oprócz kompasu, jak mniemam? - odparł łagodnie.

Luke zdążył już odzyskać równowagę. Minął palący ból, który przeszył jego prawą dłoń, kiedy chwycił krzesło. Nakazał swoim ludziom wyjść z jadalni, co uczynili raczej niechętnie, rzucając dziewczynie ostrzegawcze spojrzenia.

- Obawiam się, *mademoiselle* Duchamp - odezwał się, gdy wyszli - że nie mam najmniejszego zamiaru pomagać ci uciec z kraju. Widzisz, na miejscu przydasz mi się bardziej.

Ellie skamieniała, lecz po chwili wzruszyła ramionami. Luke podziwiał ją za to, bowiem widział, ile wysiłku kosztuje ją zachowanie spokoju.

Podniosła na niego wzrok, pozwalając mu przyjrzeć się swojej twarzy, która oprócz buntu wyrażała nieskrywany strach. I te pełne wargi... Zapomnij o tym, ostrzegł sam siebie. Jest zbyt niebezpieczna. Poza tym mnie nienawidzi.

- A więc mam być użyteczna, tak? - odezwała się cicho. - *Monsieur*, niezależnie od tego, jakie masz zamiary, dopilnuję, abyś pożałował dnia, w którym mnie spotkałeś. Nie będę łatwą zakładniczką, zapewniam cię. A kiedy dowie się o tym lord Franklin...

Luke o mało się nie roześmiał.

- A więc teraz lord Franklin ma być twoim wybawcą? Nie jestem pewien, czy to by mu pochlebiło. Proszę, *mademoiselle*, nie pozwól się zanadto ponosić wyobraźni. Widzisz, ja wcale nie chcę cię tu trzymać.

- Nie... nie chcesz?

- Wprost przeciwnie. Zamierzam odesłać cię do Bircham Hall. Twarz Ellie wyrażała szczere zdumienie.

- Z powrotem do Bircham Hall?

- Dokładnie tak - odparł rzeczowo Luke. - Sądziś, że ktoś już

się zorientował, że zniknęłaś?

- Nie. Raczej nie. Powiedziałam, że jestem zmęczona i chcę się wcześniej położyć.

- Doskonale. A teraz posłuchaj mnie uważnie, *mademoiselle*. Nie powiesz nikomu ani o ucieczce, ani o naszym spotkaniu, i zostaniesz w Bircham Hall, jakby nigdy nic. A wkrótce coś dla mnie zrobisz jako nad wyraz bystra i spostrzegawcza osoba. Na pewno widziałaś prywatną bibliotekę lorda Franklina?

W oszołomieniu skinęła głową.

- W tej bibliotece - ciągnął Luke - znajduje się wiele prywatnych dokumentów lorda, łącznie z jego korespondencją i dziennikami co najmniej z ostatnich pięciu lat.

- Skąd o tym...?

- To nie ma najmniejszego znaczenia. Posłuchaj mnie. Chcę, abyś weszła do tej biblioteki i przyniosła mi wszystko, co ci się uda znaleźć, wszelkie papiery, dokumenty i listy dotyczące jesieni tysiąc osiemset trzynastego i miejscowości La Rochelle we Francji. Rozumiesz?

Na chwilę zapadła zupełna cisza, przerywana jedynie trzaskaniem ognia w kominku.

- Myślałam, że jesteś przemytnikiem - odrzekła, wpatrując się weń uważnie. - A okazuje się, że najprawdopodobniej jesteś zwykłym złodziejem. To, co proponujesz, jest śmieszne. Ta biblioteka jest zawsze zamknięta na klucz.

- Do każdego zamka jest i klucz - odparł niewzruszenie. - Jestem pewien, że z twoim sprytem i przedsiębiorczością dasz sobie radę, *mademoiselle*. A w międzyczasie zatrzymam ten kompas, aby mieć pewność, że zechcesz ze mną współpracować.

- Nie...

- Biorę go jedynie na przechowanie. - Luke wstał. - A teraz pozwolę ci stąd wyjść. Musisz jednak zrobić dokładnie to, co powiedziałem, rozumiesz? I nie wolno ci puścić pary z ust na temat naszego spotkania.

Ellie także wstała.

- A co, jeśli cię nie posłucham? Jeśli jakoś uda mi się uciec? - zapytała bardzo cicho.

Kapitan w zamyśleniu obracał kompas w dłoni, by nagle spoj-

rzec jej prosto w twarz swoimi zimnymi, błękitnymi oczami.

- Jeśli mnie nie posłuchasz, jeśli znowu uciekniesz, dopilnuję, aby twój rysopis wraz z tym kompasem trafił do władz portowych. Wiesz, co to znaczy? Że ta część wybrzeża zaroi się od ścigających cię ludzi, którzy, jeśli cię złapią, wpakują cię do więzienia za szpiegostwo na rzecz Napoleona. Więzienie to nie-
zbyt przyjazne miejsce dla dziewczyny. Na pewno potrafisz wyobrazić sobie pewne rzeczy, które mogłyby cię spotkać, chociaż mam szczerą nadzieję, że nie wszystkie.

Zapadła długa cisza. Ellie zajęła się badaniem zapinki przy pelerynie, a kiedy podniosła głowę, była blada, lecz opanowana.

- Wiesz... kiedy wyjechałam z Londynu, nie zdawałam sobie sprawy, że wywołam takie *excitement* w tej prowincjonalnej dziurze. Muszę stanowić niezwykłą rozrywkę dla ciebie i twoich przyjaciół...

Urwała i krzyknęła ze strachu, ponieważ Luke podszedł do niej, ujął ją lewą dłonią pod brodę i przysunął jej twarz do siebie.

Ellie ze strachu wstrzymała oddech. Jego ubranie było zbyt obszarpane nawet jak na przemytnika. Ciemne włosy, niestrzyżone od tygodni, wyglądały tak, jakby cesał je palcami, a nie grzebieniem. Na policzkach ciemniał dwudniowy zarost. Z zaskoczeniem zorientowała się, że Luke delikatnie gładzi knykcia-
mi jej policzek. Jak on śmie? - pomyślała z oburzeniem, a mimo to czuła, że szaleją w niej emocje. Niemożliwe. Niemożliwe, że poczuła, jak budzi się w niej pragnienie...

Kapitan lekko pochylił głowę.

- To nierozsądne tak mi się sprzeciwiać, *mademoiselle* Duchamp - wyszeptał.

Spojrzenie jego błękitnych oczu niemal paliło, a na dźwięk szorstkiego głosu zadrżała tak samo, jak drżały teraz jego palce. Luke wolną ręką objął ją w talii, przyciągając lekko do siebie - a może to ona sama wtuliła się w to kuszące ciepło? Czy on zamierza ją pocałować? Wstrzymała oddech w oczekiwaniu, po jej plecach przebiegł przyjemny dreszczyk.

Wargi kapitana wygięły się we wszystkimowiedzącym półuśmiechu, kiedy przesunął lekko opuszką kciuka po jej ustach. Wów-

czas opuścił dłoń, a Ellie o mało nie upadła.

- Podoba ci się lord Franklin? - spytał cicho.

- Co takiego?

- Czy taki miałś plan? Przyjechać do Anglii, aby go uwieść?
Zostać jego kochanką?

Policzki Ellie zapłonęły.

- Nie. Nigdy nie planowałam niczego podobnego. Nigdy.

- Ale wszyscy o tym plotkują.

Ellie zmusiła się do wzruszenia ramionami.

- Jest dla mnie trochę zbyt dojrzały, nie sądzisz?

- Skoro tak twierdzisz... Większość kobiet, które znam, nie jest zbyt wybredna, gdy w grę wchodzi tytuł i dużo pieniędzy. Domyślam się, że wiedziałabyś, jak posłużyć się swoją kobiecością, podobnie jak potrafisz posługiwać się pistoletem. - Pochylił się w jej stronę z nikłym uśmiechem. - Słówko ostrzeżenia, *mademoiselle*. Radzę, abyś nie próbowała na mnie swoich sztuczek.

Oślupiała Ellie stała bez słowa, wsłuchując się w gwałtowne bicie swego serca.

Luke zdjął płaszcz z oparcia krzesła i narzucił go na siebie, po czym zaczął pakować do skórzanej torby rozłożone na stole mapy i instrumenty.

- Proszę - powiedział, wręczając jej torbę. - Lepiej będzie, jeśli wrócisz do Bircham Hall, zanim zamkną drzwi na noc. A kiedy spotkamy się następnym razem, spodziewam się, że będziesz miała dla mnie jakieś wiadomości. Mam nadzieję, że pamiętasz, na czym mi zależy?

Ellie wzięła głęboki oddech, aby się uspokoić.

- La Rochelle.

- A data?

- Wrzesień tysiąc osiemset trzynastego - odrzekła bezbarwnym tonem.

- Dobrze.

Kompas jej ojca nadal leżał na stole.

- Muszę mieć z powrotem ten kompas - powiedziała.

- O nie. - Luke pokręcił głową. - Zatrzymam go.

Otworzył drzwi i zawołał:

- Tom! Powiedz Joshowi, żeby osiodłał dwa konie. Jeden dla niego, jeden dla *mademoiselle*.

- Mam jechać konno?

- Owszem. Szłaś pieszo aż z Bircham Hall, więc na pewno jesteś zmęczona. Tak będzie wygodniej. Potrafisz jeździć konno, prawda?

- Oczywiście, że potrafię!

- W takim razie zgodzisz się ze mną, że im szybciej wrócisz do Bircham, tym lepiej.

Ellie zaklęła cichutko po francusku, sądząc, że nie usłyszy, lecz Luke rzucił przez ramię:

- Słyszałem to. Mój francuski jest daleki od biegłości, ale wiem, co powiedziałaś.

To rzekłszy, poprowadził ją w stronę stajni.

Luke z zadowoleniem skonstatował, że konie już czekają. Przyglądał się, jak Ellie, odrzuciwszy pomoc ze strony zwałistego, kędzierzawego Josha Wattersona, wchodzi na schodek i sadowi się zręcznie w damskim siodle. Chwycała wodze i zdążyła już niemal wyjechać z dziedzińca, zanim Josh, mamrocząc coś do siebie, wskoczył na swojego konia i ruszył za nią.

Do rozbawionego Luke'a podszedł Tom; obserwował tę scenę z założonymi ramionami.

- Będzie z nią jeszcze niezgorszy kłopot - odezwał się. - Mam nadzieję, kapitanie, że nie dałeś się zwieść jej ładnej buzi...

- Naprawdę sądzisz, że jest ładna, Tom? - przerwał mu Luke.
- Bo ja nie.

Tom odkaszlnął i mruknął, że robota na niego czeka. Kiedy zniknął we wnętrzu domu, Luke przeszedł przez dziedziniec, po czym odwrócił się, aby spojrzeć na dom. Poganiane wiatrem chmury przesłaniały księżyc; w jego srebrnym świetle wieżyczki i kominy wydawały się zupełnie czarne. Z dołu słychać było odgłos fal uderzających o kamienistą plażę.

Kiedy Luke i Anthony byli mali, wyprawiali się czasem na ryby po zachodzie słońca. Wypływali łódką tak daleko, że wyobrażali sobie, że mogą dopłynąć do Francji i z powrotem. Kiedyś jednak podstępny prąd zniósł ich na otwarte morze. Antho-

ny miał wówczas jedenaście lat i bardzo starał się nie okazywać strachu, podczas gdy Luke walczył z łodzią, aby bezpiecznie powrócić na ląd.

Czy Anthony bał się, kiedy prawie półtora roku temu został wraz ze swoimi towarzyszami zdradzony i uwięziony we Francji? Czy Luke zdołałby uratować brata, gdyby tam był?

Miał tyle niezłaławionych spraw, a teraz jeszcze doszła do nich ta dziewczyna. Luke zacisnął dłoń na kompasie. Przypominał sobie, jak wstrzymała oddech, kiedy gładził ją po policzku, jak jej wargi rozchyliły się w zaproszeniu do pocałunku. Kiedy pochylił ku niej głowę, dostrzegł w jej zielonych oczach niepokój. I pragnienie...

Nie uważał, że jest ładna. Była piękna. Uderzająco piękna. Nie miał jednak wyboru, musiał się nią posłużyć, ponieważ dzięki niej zyskał długo oczekiwaną szansę odkrycia prawdy o losie brata.

Ellie w milczeniu podążyła za Joshem Wattersonem do Bircham Hall. Okazało się, że Josh nawet w ciemnościach zna wszystkie ścieżki i przejścia jak własną kieszeń. Wiedział, jak omijać gospodarstwa i wiejskie chaty, a także jak poruszać się cicho i wypatrywać czujnie innych podróżnych. W końcu, przejechawszy nie więcej niż milę, dotarli do muru, przez który już dzisiaj przeszła. Wydawało jej się, że to było całe wieki temu.

Josh uwiązał konie w lesie, po czym przyjrzał się uważnie ciemnej otchłani ogrodu lorda Franklina i zaproponował Ellie pomoc w przejściu przez mur.

- Wygląda na to, że jest czysto, proszę pani.

- Psy - przypomniała mu ostro. - Czasami po zmroku wypuszczają psy.

Josh potrząsnął głową.

- Wypuszczą je dopiero po północy. Jesteśmy bezpieczni.

Ellie patrzyła na niego przez moment, zastanawiając się, skąd on to wie. W chwilę później Josh przesadził ją przez mur i odprowadził do drzwi, które Ellie widziała już kiedyś podczas przechadzki po ogrodzie.

- Będą zamknięte... - zaczęła.

Josh sięgał już jednak pewnym ruchem do klamki. Otworzył je i przytrzymał.

- Proszę wejść, tylko cicho.

Ellie posłuchała go, lecz po chwili stanęła jak wryta na widok jednego z lokajów lorda Franklina, ukrytego w ciemnościach za drzwiami.

Serce waliło jej jak młotem. Rozpoznała w nim Josepha. Widywała go już podczas posiłków - był jednym z najmłodszych służących, zawsze odnosił się do niej w sposób grzeczny i pełen szacunku. Na pewno podniesie alarm na widok jej nieokrzesanego towarzysza!

Joseph jednak odezwał się uprzejmie:

- Wybrała się pani na nocny spacer po ogrodzie? Obawiam się, że jest nieco zbyt chłodno, nawet jak na tę porę roku. - Podszedł do Josha i zamienił z nim kilka słów, po czym wrócił do Ellie. - Teraz zamknę te drzwi, a potem, za pani pozwoleniem, odprowadzę panią na górę.

Oszołomiona Ellie poszła za nim.

Joseph poprowadził ją do drzwi jej pokoju. Ellie weszła do środka i usiadła na łóżku.

Jésu, westchnęła. On na pewno zna człowieka o imieniu Luke i jest na jego usługach.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ellie była zszokowana wydarzeniami wieczoru. Jej próba ucieczki zakończyła się żalosną porażką i sprawiła, że znalazła się w jeszcze gorszej sytuacji niż poprzednio. Kapitan i jego kamracy byli prawdopodobnie przemytnikami, od których roiło się w tej części angielskiego wybrzeża. Nocami przewozili z Francji kontrabandę – tytoń, brandy, wina i jedwabie – które wyładowywali w zacisznych zatokach, aby uniknąć płacenia podatków.

Dlaczego jednak kapitan nalegał, aby znalazła dla niego te dokumenty w bibliotece lorda Franklina? Czyżby lord posiadał jakieś notatki dotyczące miejscowych konkurujących ze sobą szmuglerów? Może w jego bibliotece znajdowały się jakieś obciążające kapitana dokumenty, które zamierzał zniszczyć?

Luke wspominał jednak o portowym mieście La Rochelle, położonym na południowo-zachodnim wybrzeżu Francji, które z punktu widzenia przemytników było zupełnie nieatrakcyjne, jako że położone bardzo daleko od wybrzeży Francji. O co tu chodzi? Dlaczego poszukuje wiadomości o La Rochelle? Nie miała wątpliwości, że już wkrótce pozna odpowiedź na to pytanie...

Kapitan Luke. Nie musiał nawet podnosić głosu, aby zapanaować nad swoimi zbirami, a choć jego prawa ręka była okaleczona, nikt rozsądny nie wątpił, że nie należy mu się sprzeciwiać. Stanowił wyjątkowe zagrożenie. Kiedy ją objął i dotknął twarzy, poczuła zaskakującą potrzebę sprawdzenia, co by się stało, gdyby jego usta dotknęły jej skóry i ust...

Ellie uniosła dłonie do policzków, czując, jak ze wstydu pali ją skóra. Nigdy nie sądziła, że jakiś mężczyzna wyrze na niej takie wrażenie. A jeśli kapitan się tego domyślił, to znajdzie się w jeszcze większych opałach niż teraz.

Powoli przebrała się w koszulę nocną i weszła do łóżka, drząc

na wspomnienie zimnego wyrachowania, z jakim Luke badał ten nieszczęsny kompas. W głowie wirowały jej desperackie pomysły. Może powinna jak najszybciej porozmawiać o tym z lordem Franklinem? Mogłaby wyruszyć jutro do Londynu i powiedzieć mu, że... No właśnie... Co właściwie miałyby mu powiedzieć? Usiłowała sobie wyobrazić, jak staje przed lordem w jego wytwornym gabinecie w Mayfair, a na jego arystokratycznej twarzy maluje się niedowierzenie.

- Milordzie, powinnam była wyznać to panu na samym początku. Mój ojciec pracował dla cesarza Napoleona. Kreślił dla niego mapy i pomagał projektować i budować drogi, aby cesarskie wojska mogły wyruszyć z Paryża na podbój świata...

Lord Franklin wpadłby w furję.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? To zagraża mojej reputacji, podważa moją pozycję w towarzystwie!

Ellie pokręciła głową, aby odegnać tę niepokojącą wizję. Czuliła, że nie będzie w stanie zasnąć. Ze znużeniem wstała z łóżka i podeszła do okna, aby zasunąć zasłony. Wiatr rozwiął chmury, odsłaniając świetlisty baldachim z gwiazd. Przypomniały jej się książki ojca o astronomii i mapy nieba, które uwielbiał rysować. Często zabierał notatnik i wychodził na nocne przechadzki poza mury Paryża, na pobliskie tereny wiejskie. Od kiedy Ellie skończyła siedem lat, często ją ze sobą zabierał, zwłaszcza zimą, kiedy zmrok zapadał wcześniej.

Ellie nazywała te wyprawy „gwiezdnyymi spacerami papy” i klaskała z radości w małe rączki, kiedy matka opatulała ją w ciepłe ubrania. Nigdy nie towarzyszyła im podczas tych nocnych wypraw. Już wówczas pojawiły się pierwsze symptomy choroby, która ją zabrała - była coraz szczuplejsza, bledsza i nieustannie kaszlała. Ellie jednak nie zdawała sobie wtedy z tego sprawy. Wspomnienia zimowych wieczorów spędzanych z ojcem za miastem, kiedy wskazywał jej jaśniejące na niebie konstelacje, były dla niej niezwykle cenne.

Matka Ellie umarła późną wiosną 1813 roku, kiedy Napoleon wysłał swoje głodne i obdarte wojsko przeciwko połączonym armiom Brytanii, Austrii, Prus i Rosji. A w niecały miesiąc od pogrzebu ojciec wrócił z pracy i oświadczył Ellie, że muszą opu-

ścić dom.

- Nie mogę już dłużej pracować dla cesarza - powiedział. - Wysyła na śmierć tysiące ludzi drogami, które pomogłem mu zbudować. Nie chciałem stąd odchodzić ze względu na zdrowie twojej matki, ale teraz postanowiłem, że nie będę już przykładał ręki do jego planów zniszczenia całego świata ciągłymi wojnami. Nie będę karmił jego chorej ambicji.

Ellie oczywiście wiedziała już wcześniej, że kto nie opowiedział się po stronie Napoleona, był uważany za jego wroga. Tak zaczęła się ich podróż, a raczej ucieczka, która zakończyła się w Brukseli. Nawet tam jednak Ellie bardzo się bała; zdrowie ojca stopniowo się pogarszało, a poza tym była pewna, że ktoś podąża ich tropem.

Nieustannie czuła się obserwowana, nawet wychodząc po zwykłe sprawunki na targ. „Szpieczy Napoleona”, szeptała do siebie z przerażeniem. „Ludzie Napoleona nas wytropili. Nawet tu nie jesteśmy bezpieczni”.

Z drżeniem zmusiła się do powrotu do rzeczywistości, do Bircham Hall i swojej nieudanej próby ucieczki. Kapitan Luke z pewnością nie był wytworem jej wyobraźni.

Kiedy wraz z ojcem wyruszyła w tę ostatnią, rozpaczliwą podróż z Francji ku bezpieczeństwu, musiała stawiać czoło mężczyznom, którzy uważali ją za łatwą zdobycz - oberżystom, stangretom i innym przypadkowym podróżnym. Musiała z góry założyć, że wszyscy są jej wrogami, i bez wahania wyciągać mały pistolet, którym ojciec nauczył ją się posługiwać.

Była przyzwyczajona do radzenia sobie z wrogami, lecz kapitan stanowił o wiele poważniejsze zagrożenie. Usiadłszy w fotelu przy oknie, Ellie założyła ręce na piersiach. Na przykład jego głos. Pomimo znoszonych ubrań miał głos angielskiego dżentelmena, a jego nieco schrypnięty ton sprawiał, że czuła coś ciepłego i niebezpiecznego w dole brzucha. A co do jego twarzy i tych kusząco wygiętych warg... Chciała go pocałować i on o tym wiedział.

Co za koszmar, zganiła się w duchu Ellie. Znalazła się w mocy kapitana i była tym przerażona.

Luke siedział w jadalni przed dogasającym kominkiem, w zamysleniu obracając w lewej dłoni kompas. Zerwał się jednak na nogi, gdy tylko usłyszał kroki powracającego Josha Wattersona, i wyszedł mu na spotkanie.

- Dowiozłeś dziewczynę bezpiecznie do domu? - spytał.

- Tak, kapitanie.

- Spotkałeś kogoś po drodze?

Josh grzebał w kieszeni.

- W Bircham Hall spotkałem Josepha. To bystry chłopak - zorientował się, że jej nie ma, i pomyślał, że dowiezie ją pan bezpiecznie z powrotem, więc na nas czekał. A potem, w drodze powrotnej, spotkałem Daveya Patchetta.

Luke kiwnął głową. Davey Patchett był miejscowym rybakiem i przemytnikiem. Często wyprawiał się nocą do Francji po nielegalny alkohol.

- Dziś wieczorem zawinął do Bircham Staithe, przyплыł właśnie z Calais. Wybierał się tutaj, kapitanie, bo w Calais ktoś podszedł do niego w porcie i poprosił o dostarczenie panu listu. Powiedziałem, że go wezmę.

Davey czasami przywoził Luke'owi listy od Jacques'a. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Tym razem jednak Luke poczuł w piersiach chłód. Wyciągnął rękę po list; był poplamiony solą, ale zapieczętowany. Z bijącym sercem rozerwał kopertę, przebiegając wzrokiem po znajomej bazgraninie Jacques'a.

Mon ami,

udało mi się potwierdzić, że twój brat uciekł w kilka tygodni po zdradzie w La Rochelle, po czym wpadł w ręce ludzi Napoleona. Co działo się z nim później - nie wiem, ale spotkałem kogoś, kto dobrze znał twój brata. Mam nadzieję, że zobaczę się z tobą już niedługo.

Luke przeczytał list jeszcze raz, jakby mógł w ten sposób zmienić jego treść. Anthony został pojmany? W takim razie nie było już wiele nadziei. Luke wiedział, w jak potwornych warunkach przetrzymuje się Anglików podejrzanych o szpiegostwo.

- Złe wieści, kapitanie? - zapytał z wahaniem Josh. Tom kręcił

się nieopodal nich.

Luke nagle zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech.

- Nie wiem - odrzekł. - Jacques pisze, że mój brat dostał się do niewoli.

- A więc może nadal żyje? - odezwał się Tom.

Luke nie odpowiedział, choć przysięgał sobie w duchu, że nigdy nie porzuci nadziei. Josh i Tom wyszli po cichu, sądząc najwyraźniej, że kapitan potrzebuje samotności. Luke wrócił do jadalni i dolał sobie brandy. Jedynym jego towarzyszem w tym wielkim pokoju był list i delikatny zapach lawendy, pozostawiony przez pannę Duchamp.

Elise. Elise Duchamp. Luke upił spory łyk brandy. Była kolejnym narzędziem w jego ręku, to wszystko. Kolejnym tropem. Nic dla niego nie znaczyło to, że jej ojciec był człowiekiem Napoleona. Przez lata spędzone w brytyjskim wojsku widział po obu stronach setki ludzi ginących straszną śmiercią - i za co? Czy naprawdę była taka wielka różnica pomiędzy imperatorskimi ambicjami Napoleona a niewzruszoną wolą Brytanii, aby utrzymać kontrolę nad handlem i drogami morskimi?

Teraz liczyła się dla niego tylko sprawiedliwość dla brata. Nic innego. Właśnie dlatego ta dziewczyna nie może dla niego nic znaczyć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przez następne kilka dni Ellie obserwowała z okna swego pokoju, jak styczniowe mrozy ściskają Bircham Hall żelazną obręczą. Trawniki i strzyżone żywopłoty całymi dniami błyszcząły od delikatnych kryształków lodu; słońce niemal nie podnosiło się ponad linię lasów na tyłach ogrodu, a z nadejściem zmierzchu wielkie stada gęsi przelatywały przez niebo w schludnym szyku, kierując się na nocny odpoczynek na bagnach w świetle czerwonej łuny zachodu.

Nadal towarzyszyła lady Charlotte i pannie Pringle podczas posiłków. Lady Charlotte jak zwykle monopolizowała rozmowę. Panna Pringle jadła szybko i zgadzała się ze wszystkimi jej oburzającymi opiniami, natomiast Ellie starała się przez cały czas milczeć.

- To jasne - orzekła lady Charlotte - że żaden mężczyzna nie poślubi cię ze względu na twoją rozmowność, Elise.

Każdego popołudnia, pomimo dotkliwego chłodu szczypiącego jej dłonie w rękawiczkach, Ellie wybierała się na przechadzkę po ogrodach i myślała o mężczyźnie imieniem Luke. Jak wyglądała jego przeszłość? Sam powiedział jej, że był wojskowym, a ona musiała założyć, że jego dłoń została okaleczona w jakiejś bitwie w Hiszpanii - ale skąd jego zainteresowanie dalekim portem La Rochelle, gdzie nie toczyły się żadne bitwy z udziałem Brytyjczyków?

Były też inne sprawy, które starała się na razie odsunąć na bok, jak na przykład fakt, że podczas spotkania Luke rzucił jej prawdziwie męskie wyzwanie, jakby rościł sobie do niej jakieś prawa.

Chciał zrobić ze mnie swojego szpiega, pomyślała z goryczą. To wszystko. Powinna była go uderzyć w momencie, kiedy jej dotknął... a teraz wspomnienie jego dotyku nadal paliło jej skórę.

Co za głupota. *Quelle idiote.*

Ellie przyzwyczajała się powoli do codziennej rutyny domu prowadzonego silną ręką przez panią Sheerham. Doskonale wiedziała, że służba musi zaczynać pracę bardzo wcześnie rano. Codziennie o siódmej pokojówka Mary wchodziła do jej sypialni, aby napalić w kominku. Mary zawsze wykonywała swe zadania z entuzjazmem, choć jej biedne palce były zaczerwienione i popękane.

- Mam wełniane rękawiczki, które możesz sobie pożyczyć, Mary - powiedziała kiedyś Ellie. Mary rozpałała w kominku, drżąc z zimna. Ellie wstała już z łóżka i opatuliła się szlafrokiem. Podeszła do komody i wyjęła rękawiczki. - Proszę, weź je. I mogę też pożyczyć ci tę flanelową koszulę. To niesprawiedliwe, że musisz tak cierpieć.

Twarz Mary rozjaśniła się na widok rzeczy, które podawała jej Ellie. W następnej chwili pokręciła jednak głową.

- Dziękuję, panienko! Ale pani Sheerham mówi, że nie wolno nam przyjmować żadnych prezentów od gości jego lordowskiej mości.

- W takim razie powiedz pani Sheerham, że i tak chciałam to wyrzucić - odparła Ellie. - Jeżeli cię oczywiście o to zapyta. - Wcisnęła wszystko w ręce Mary. - Proszę, używaj tych rzeczy. Ja naprawdę ich nie potrzebuję.

Mary z wdzięcznością przyjęła rękawiczki i koszulę, a Ellie pomyślała, że chętnie oddałaby jej także suknie i pelisy, które lord Franklin kupił dla niej w Londynie, ale Mary - rzecz jasna - miałyby z nich jeszcze mniej pożytku niż ona.

Pokojówka zresztą nadal była rozczarowana, że Ellie odmawia noszenia tych cudownych strojów. Czasami, przynosząc Ellie jedną z jej starych sukien, rzucała tęskne spojrzenia na różowe, turkusowe i bladozielone londyńskie kreacje z satyny i jedwabiu.

- Mogłaby pani włożyć którąś z nich na kolację z lady Charlotte, panienko - mówiła z nadzieją. - Taka szkoda, że się marnują.

Ellie o mało się nie roześmiała - strojenie się w jedwabie dla

lady Charlotte, która i tak uważała ją za wyjątkowo nieatrakcyjną, byłoby kompletnym szaleństwem.

Potrząsnęła głową.

- W moich starych sukniach jest mi bardzo wygodnie - odrzekła łagodnie.

Nadal każdego popołudnia spacerowała po ogrodach, ignorując zimowe chłody. Zauważyła, że co kilka dni lady Charlotte wyjeżdża z wizytą do przyjaciół mieszkających w sąsiedztwie; otulona w futra wsiadała do powozu z pomocą służby, a lokaj podawał jej termofor na stopy. Podczas tych wyjazdów lady Charlotte robiła jeszcze więcej hałasu niż zwykle na temat swojego inwalidztwa i bólu, jaki musi znosić.

- Szczególnie podczas chłodów jestem zakładniczką swojej choroby- mówiła.

Ellie nie mogła zapomnieć owej chwili, kiedy zastała ją stojącą pewnie na nogach i dolewającą sobie sherry. Zastanawiała się, czy służący wiedzą o tym, choć wszyscy wydawali się znosić narzekania lady Charlotte ze stoickim spokojem. Zauważyła także, że atmosfera w domu zmienia się nie do poznania w owe popołudnia, kiedy lady Charlotte wybiera się w gości. Bircham Hall wydawało się o wiele przyjemniejszym miejscem bez jej jadowitego języka i oceniającego spojrzenia.

Ellie jednak nadal żyła w napięciu. Już wkrótce, napominała się w duchu, kapitan Luke znajdzie sposób, aby przypomnieć mi, że muszę dostać się do biblioteki lorda Franklina...

Czy Luke odważy się osobiście stanąć przed nim, aby wyjawić sekret Ellie? Szczerze w to wątpiła. Była przekonana, że przez ostatnie lata swojego życia miał jakieś problemy z prawem i będzie postępował bardzo ostrożnie.

Było jednak wiele innych sposobów zdemaskowania jej. Mógłby na przykład sprawić, że ktoś ciekawski zobaczy kompas albo po prostu uruchomi lawinę plotek. Ellie wiedziała, że nie będzie dla niej ucieczki, jeśli tajemnica jej ojca wyjdzie na jaw.

Musiała jak najszybciej obmyślić jakiś plan.

Ellie poznała zarządcę majątku lorda Franklina, pana Appleby'ego, jeszcze w Londynie, a w Bircham Hall widywała go do-

syć często. Jak sam opowiedział jej nie bez dumy, miał w sąsiedztwie wygodny dom i własny gabinet w domostwie, w pobliżu pokojów gospodyni. Jego zadaniem było prowadzenie ogromnego majątku w hrabstwie Kent, zajmowanie się podatkami, wynagrodzeniami i poborem czynszu od dzierżawców gospodarstw.

- W całej Anglii nie ma sprawiedliwszego właściciela ziemskiego niż lord Franklin - podkreślił, kiedy któregoś dnia zaprosił Ellie do swojego biura, aby zapytać o jej zdrowie. - Praca dla niego to naprawdę przywilej. Często bywam w Bircham Hall, głównie po to, by uaktualnić księgi rachunkowe. Oczywiście odziedziczyłem też regularnie gospodarstwa dzierżawców. W ubiegłym tygodniu byłem jednak w Londynie na spotkaniu z jego lordowską mością, który poprosił mnie, abym poświęcił pani szczególną uwagę i dał mu znać, jeśli czegokolwiek by pani potrzebowała.

Jeżeli nawet pan Appleby pamiętał protest Ellie w sprawie przeszukania jej pokoju, w żaden sposób do niego nie nawiązał.

- Tak - ciągnął teraz, poprawiając binokle - więc jeśli ma pani jakieś życzenia, z przyjemnością przekażę je jego lordowskiej mości, kiedy tylko wróci z podróży.

- Wybiera się do Paryża, prawda? - Panna Pringle wspomniała o tym Ellie.

- Tak, to prawda. Zapewne zna pani to miasto, *mademoiselle*?

- Wychowałam się tam. - Ellie zniżyła głos niemal do szeptu, aby odepchnąć natrętne wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa. - Czy życie w Paryżu toczy się już normalnie, panie Appleby?

- Tak, dzięki Bogu. A Napoleon Bonaparte jest zamknięty w swoim ostatnim królestwie, na wyspie Elbie. Proszę się nie martwić, *mademoiselle* - korsykański potwór został pobity na dobre, a Paryż, jak mówią, jest znowu pełen radości i gwaru. Chociaż, jak pani zapewne wie - tu pan Appleby zachichotał - jego lordowska mość nie jest zbyt skłonny do zabaw. Jego prawdziwą pasją jest sztuka. Bez wątplenia będzie poszukiwał białych kruków do swojej kolekcji. Słyszałem, że teraz, kiedy nastał pokój, na rynku pojawiają się znowu cenne obrazy i rzeźby

ukryte jeszcze w czasach Rewolucji, na długo przed pani urodzeniem! Ach, Paryż. Cudowne miasto. A pewnego dnia... Kto wie! Może będzie pani mogła tam wrócić.

Ellie przypomniała sobie Paryż z bolesną wyrazistością, pałac Tuileries, gdzie zabrał ją kiedyś ojciec i gdzie widziała samego Napoleona, oraz wspaniałe uroczystości towarzyszące zaślubinom cesarza, kiedy uliczne fontanny płynęły winem, a oświetlone fajerwerkami miasto tonęło w kwiatach.

Pan Appleby nadal mówił, lecz Ellie myślami była zupełnie gdzie indziej.

Powoli mijały szare, lodowate dni lutego, a Ellie nie miała żadnych wiadomości od kapitana. Może wyjechał, a może obawiał się, że powie komuś o jego groźbach...

Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mógłby się bać kogokolwiek lub czegokolwiek, lecz mimo to pozwalała sobie zachować nadzieję. A jednak któregoś dnia po śniadaniu, kiedy deszcz ze śniegiem bębnił w okna, rozległo się pukanie do drzwi jej saloniku.

Ellie siedziała zwinięta w kłębek przy kominku z tomikiem wierszy należącym do jej matki. Teraz powoli odłożyła książkę. Nie była to jednak ani Mary, ani panna Pringle.

- Przyniosłem węgiel do kominka, proszę pani.

Był to Joseph. Widywała go dość często, lecz nigdy dotąd nie próbował się z nią porozumieć ani też w żaden sposób nie zasygnalizował swojego związku z kapitanem.

Ellie stała z bijącym sercem, patrząc, jak Joseph ostrożnie dokłada węgla do ognia. Potem odwrócił się do niej i rzekł:

- Kapitan prosił, abym powiedział pani, że czeka na wiadomość.

W sercu Ellie zapłonął nagle ostry sprzeciw. Jakie on ma prawo? Jakie? Joseph tymczasem uklonił się i już chciał wychodzić - najwyraźniej nie oczekiwał odpowiedzi. Ellie zatrzymała go jednak.

- Poczekaj. Napiszę do twojego kapitana.

Pośpiesznie podeszła do biurka, spoglądając w przelocie na nagie drzewa, niskie chmury i deszcz ze śniegiem siekący wy-

blakłe liście w ogrodzie. Przypominał jej ucieczkę z Francji i ostatnie miesiące spędzone z ojcem. Owszem, straciła wszystko, lecz nie podda się niebezpiecznemu mocodawcy Josepha. Nigdy nie wybaczyłaby sobie, gdyby kompas ojca przepadł.

Szybko nakreśliła kilka zdań.

Kapitanie,

to, czego pan żąda, jest niemożliwe do wykonania. Muszę nalegać, aby oddał mi pan to, co do mnie należy.

Starannie zapieczętował list, wręczyła go Josephowi.

- Proszę. Dostarcz ten list kapitanowi.

Joseph, z zaskakującą uprzejmością i spokojem, wziął list i skłonił się ponownie.

- Może pani być pewna, że to zrobię, *madame*.

Wyszedł, a Ellie wróciła na fotel, wyobrażając sobie wyraz twarzy Luke'a, kiedy przeczyta list.

Tego wieczoru zaczął padać śnieg tak gęsty i intensywny, że następnego dnia Ellie nie mogła wyjść na przechadzkę. Wyglądała przez okno, myśląc o Luke'u w tym dziwnym starym domu nad morzem. Dlaczego interesuje się francuskim portem La Rochelle? Przecież walczył chyba w Hiszpanii, a nie we Francji. Dlaczego odszedł z wojska i żyje tu w izolacji z kilkoma przyjaciółmi?

Czy został zwolniony, ponieważ stał się bezużyteczny na skutek odniesionej rany? Wyobrażała sobie, że mógłby być rozgoryczony takim losem i pragnąć zemsty.

W każdej chwili spodziewała się wiadomości zwrotnej. Ellie zmagala się ze świadomością, że kapitan wtargnął w jej życie i niebawem przejmie nad nim kontrolę.

Następnego dnia śnieg przestał padać, lecz niska temperatura utrzymywała się. Lady Charlotte miała tego popołudnia odwiedzić przyjaciółkę w Hythe, lecz wizytę odwołano, a sama lady Charlotte postanowiła wrócić do swych apartamentów, przypomniawszy przedtem Ellie, że naprawdę powinna zająć się jakąś rozrywką godną damy.

- Mogłabyś zabrać się do jakiegoś haftu, Elise - powtarzała nieustannie. - A może muzyka? Mówiłaś mi, że grasz na fortepianie.

- Tak, mówiłam. Ale... - urwała. Wolała nie wypominać lady jej przykrych słów.

- Ale co? W pokoju muzycznym jest doskonały instrument. Naprawdę powinnaś pokazać lordowi Franklinowi, kiedy następnym razem zaszczyci nas swoją obecnością, że z pożytkiem korzystasz z jego gościnności.

Ellie spróbowała więc zagrać na fortepianie, lecz instrument był tak rozstrojony, że po kilku minutach pochyliła głowę nad klawiaturą, wspominając, jak pięknie grała jej matka. Nagle poczuła taką tęsknotę za domem, że niemal nie mogła złapać tchu.

Wybiegła z pokoju muzycznego i pospieszyła do swojej sypialni po pelerynę i trzewiki. Było już późne popołudnie i zaczynał zapadać zmierzch, ale to jej nie przeszkadzało. Musi opuścić ten dom, choćby tylko na godzinę.

Kryjąc się przed służbą, wyszła tylnymi drzwiami i skierowała się zaśniewoną ścieżką w stronę bujnych krzewów. Często tędy chodziła; dróżka prowadziła do ozdobnego pawilonu z dala od domu, gdzie mogła posiedzieć sobie w spokoju. Czasami zabierała ze sobą skórki od chleba i karmiła nimi ptaki. Z pobliskich zarośli często obserwował ją bowiem bystrooki rudzik.

Księżyc w pełni wschodził już nad drzewami. Światła domu migotały w mroźnym powietrzu, a jej oddech zamieniał się w mgiełkę. Niedaleko znajdowało się kamienne poidło dla ptaków; ruszyła ku niemu, chcąc rozbić lód na powierzchni wody. Nagle zamarła.

Zza drzew dobiegł ją przytłumiony szelest.

Przypomniała sobie strach, który odczuwała w Brukseli, przecucie, że ktoś ją śledzi. Zaraz dostrzegła, że jakaś postać wyłania się z ciemności za pawilonem i idzie w jej stronę. Gdzieś blisko zaskrzeczała sójka; na widok znajomej sylwetki Ellie aż podskoczyła i upuściła chleb.

Był to kapitan Luke.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Miał na sobie swój długi płaszcz i znoszone buty, lecz nawet to nie umniejszało siły bijącej z jego potężnej postaci. Gracja i zwinność, z jaką się poruszał, przywodziła na myśl drapieżnika, który tropił bezbronną ofiarę. Ją.

Przez chwilę obawiała się, że serce wyskoczy jej z piersi. Cofnęła się o krok, wpatrując się w jego błękitne, wszystkowidzące oczy, rysujące się ukośnie kości policzkowe i hipnotyzujące usta. Luke pewnym krokiem podszedł bliżej.

Ellie przycisnęła dłoń do szyi. Gdyby spróbowała uciec do domu, natychmiast by ją pochwycił. Jest zbyt niebezpieczny, przyznała z rozpaczą. Zbyt niebezpieczny, aby go drażnić.

Kapitan szorstko skłonił głowę.

- Przepraszam, że przestraszyłem panią, *mademoiselle*, ale muszę z panią pomówić.

- Skąd pan...

Miała zamiar zapytać go, skąd wiedział, że ją tu spotka, lecz urwała. Joseph, oczywiście. To Joseph musiał mu powiedzieć, że często tutaj przychodzi.

- Zakładam, że otrzymał pan mój list - podjęła.

Chciała, aby jej słowa zabrzmiały wyniośle, lecz nie udało jej się to. Oddech wiązał jej w gardle, słowa plątały się ze sobą.

Luke przechylił lekko głowę, jakby się namyślał, co powiedzieć.

- Otrzymałem pani list - odrzekł w końcu. - Ale obawiam się, że pani odpowiedź jest niezadowolająca.

Mówiąc to, przez cały czas zbliżał się ku niej. Ellie starała się zachować spokój, lecz jej serce ścisnęła strach.

- Nie mogę tego zrobić - wyszeptała. - Nie umiem dostać się do tego pokoju.

Kapitan uniósł brwi.

- Nie przypominam sobie, abym dał pani wybór, *mademoisel-*

le.

Ellie wbrew własnej woli wykonała nagły ruch w stronę ścieżki wiodącej do domu, lecz Luke błyskawicznie zastąpił jej drogę i położył dłonie na jej ramionach.

Jego dotyk palił jej skórę. *Dieu du ciel*, płonęła żywym ogniem. Chyba nie zamierza mnie porwać? Nie, przecież jest dla niego o wiele bardziej użyteczna w domu lorda Franklina. Na pewno przyszedł tutaj, aby jej o tym przypomnieć.

Spróbowała wyrwać mu się z drżeniem; Luke opuścił ręce i westchnął lekko.

- Nie chcę zrobić pani krzywdy - powiedział. - Ale radziłbym nie próbować żadnych sztuczek. A jeśli ma pani ze sobą swój pistolet, nie poprawi pani swojej sytuacji, strzelając do mnie.

Ellie wpatrywała się w niego, blada ze strachu.

- Nie mam pistoletu.

- To dobrze. Czy daje mi pani słowo, że nie ucieknie ani nie zacznie krzyczeć?

- Czego pan chce? - wyszeptała.

Luke obserwował ją uważnie.

- To proste, *mademoiselle*. Proszę przynieść mi te papiery z biblioteki lorda Franklina. O nic więcej nie proszę.

- I co pan wtedy zrobi?

- Oddam pani kompas ojca.

Ellie wyprostowała się.

- Dlaczego nie poprosi pan swojego przyjaciela Josepha, aby wszedł do biblioteki?

- Ponieważ jestem niemal pewny, że znalezienie dokumentów, których szukam, wymaga znajomości francuskiego, której to umiejętności Joseph nie posiadał.

- Kim jest ten Joseph? Ile mu pan płaci za szpiegowanie?

- Nic mu nie płacę. Mój dziadek, po którym odziedziczyłem dom, w którym teraz mieszkam, wziął Josepha z przytułku, kiedy ten był jeszcze dzieckiem. Zatrudnił go jako podkuchennego - marna praca, ale dziadek dobrze go traktował... Joseph wciąż jest za to wdzięczny.

- Ja również będę panu wdzięczna, kiedy zwróci mi pan kompas.

- Dostanie go pani - odrzekł cicho - kiedy tylko przyniesie mi pani te papiery.

Ellie pokręciła głową.

- To niemożliwe. Biblioteka jest zawsze zamknięta na klucz...

- A ja jestem bardzo cierpliwy. Nie chce pani chyba powiedzieć, że lojalność wobec lorda Franklina nie pozwala pani na to? Chyba nie po tej rozpaczliwej próbie ucieczki?

- Lord Franklin przyjął mnie pod swój dach, kiedy nie miałam się gdzie podziąć!

- Czy kiedykolwiek zastanawiała się pani dlaczego?

- Ponieważ jest moim krewnym.

- A pani uwierzyła we wszystko, co powiedział, kiedy jak gdyby nigdy nic zjawił się w Brukseli?

- Oczywiście! - Ellie spojrzała mu prosto w oczy. - Jest szlachetnym człowiekiem i nie potrafię sobie wyobrazić, że pan kiedykolwiek mógłby zachować się równie szlachetnie!

- Z tego, co wiem, wynika, że lordowi Franklinowi rzadko zdarzają się takie gesty wspaniałomyślności i dobroci.

Ellie nie odpowiedziała. Kapitan wypowiedział na głos jej własne wątpliwości. Nie potrafiła zaufać lordowi Franklinowi. Gdyby tylko ten mężczyzna nie patrzył na mnie w ten sposób, pomyślała, zaciskając pięści. Jakby słyszał szaleńcze bicie jej serca...

Luke wpatrywał się w nią niewzruszenie.

- Chce pani dostać z powrotem kompas ojca, prawda? W takim razie musi pani przynieść mi z biblioteki lorda Franklina dokumenty, o które prosiłem.

- Jak mam to zrobić? Klucze są w biurze zarządcy.

- Ach, pana Appleby'ego. - Luke spojrzał na nią bystro. - *Mademoiselle*, może pani przecież użyć swojego uroku, aby odwrócić jego uwagę. Domyślam się, że podczas swoich licznych przygód nauczyła się pani posługiwać swoją kobiecością równie sprawnie, jak tym swoim pistolecikiem...

Ellie zamachnęła się, aby go spoliczkować, lecz Luke w ostatniej chwili chwycił ją za nadgarstek i odepchnął jej dłoń.

Niech to diabli, pomyślał, ależ z niej zmija. Wydawała się krucho i delikatna, wręcz naiwna w swym beznadziejnym buncie,

lecz się nie poddawała. Kaptur peleryny zsunął jej się z głowy, ukazując ciemne, wijące się włosy bezpretensjonalnie związane bladozieloną wstążką. Wiedział, że oskarżenie Ellie o wykorzystywanie swej urody było niesprawiedliwe. Nie stosowała żadnych sztuczek, nie malowała się ani nie nosiła biżuterii. I miała na sobie tę samą znoszoną pelerynę i zwykłą szarą suknię, w których widział ją poprzednim razem.

Żadnej próżności. Była to jedna z jej cech, które budziły w nim dawno zapomniane, głęboko ukryte uczucia. Współczucie i szacunek. Pragnął wziąć ją w ramiona i odegnąć jej zmartwienia. A potem...

Przed wstąpieniem do wojska Luke zyskał sławę uwodziciela. Piękne dziewczęta z towarzystwa wzdychały do niego, a znużone żony bogaczy entuzjastycznie konkurowały o jego względy. Doskonale wiedział, jak je zadowolić.

Trzy lata temu nawiązał romans, a właściwie zaręczył się, z Caroline Fawley. Jej zamożny ojciec bardzo się temu sprzeciwiał; sprawa skończyła się źle i poważnie zaszkodziła reputacji Luke'a. Stojąc teraz przed młodą Francuzką w zaśniewanym ogrodzie, wiedział, że nie wolno mu jej tknąć, ponieważ stał się potępianym przez towarzystwo wyrzutkiem.

Musi jednak za wszelką cenę dowiedzieć się, co stało się z jego bratem. A ta dziewczyna jest nieodłączną częścią jego planu; jeśli będzie trzeba, zmusi ją do współpracy.

Luke wcisnął ręce do kieszeni płaszcza, postanowiwszy odtąd trzymać je przy sobie.

- Sądzę - odezwał się ze spokojem - że jest pani całkowicie zdolna spełnić moją prośbę. Proszę nie nadużywać mojej cierpliwości, Elise...

- Ellie - wyszeptała. - Mam na imię Ellie.

W tej samej chwili, zanim kapitan zorientował się, co się dzieje, odwróciła się i ruszyła biegiem. Oddaliła się o kilkanaście metrów, zanim ją pochwycił i obrócił twarzą do siebie.

- Puść mnie! - Ellie wrywała się tak, że musiał wzmocnić uścisk.

- A więc - wycedził - nadal nie zamierza pani ze mną współpracować. Pomimo że nie jest pani w stanie ze mną wygrać.

- Tylko dlatego że gra pan nie fair.

Drżała lekko w przenikliwym chłodzie, lecz jej głos był opanowany. Jest odważna, pomyślał ze zdumieniem Luke. Zaskakująco odważna. Westchnął. Przez ostatnie dni myślał o niej stanowczo zbyt często, nie tyle z powodu jej niewzruszonego oporu, co właśnie ze względu na jej bezczelną odwagę.

- *Mademoiselle*, to nie jest gra. A życie nie jest fair.

- Sądzi pan, że o tym nie wiem? - W jej oczach pojawił się nagle wyraz niewypowiedzianego smutku. - Mówi pan o sprawiedliwości, *monsieur*. O sprawiedliwości?! A jednak chowa się pan w tym swoim na wpół zrujnowanym domu. Otwarcie przyznaje pan, że ma wszędzie swoich szpiegów, a wstydzi się pan poprosić lorda Franklina o to, czego pan chce, jak zrobiłby to człowiek honoru...

- Ellie - przerwał jej. - Mówisz trochę za dużo.

- I nie pozwolę, abys mnie uciszył!

- Czyżby?

Ellie głośno nabrała powietrza, ponieważ Luke przesunął opuszkami palców lewej dłoni po jej pełnych wargach, strząsając z nich płatki śniegu, po czym dotknął jej uroczonego podbródka.

Nachylił się i ją pocałował.

Początkowo Luke nie zamierzał zrobić nic więcej poza lekkim muśnięciem jej ust. Lecz dotyk jej warg, owej nieziemsko gładkiej skóry, wzbudził falę tak intensywnych uczuć, że stracił nad sobą panowanie. Dostrzegł, że Ellie zamknęła oczy i lekko rozchyliła usta. Serce waliło mu jak młotem, czuł pulsowanie krwi. Była cudownie zmysłowa, a przy tym tak niewinna. Zatrzymaj się, nakazał sobie Luke. Boże, na pomoc. Z całej jej postaci emanowało ostrzeżenie, aby trzymać się od niej jak najdalej.

Zamiast jednak się cofnąć, kapitan objął ją w talii drugą ręką i przyciągnął do siebie; jej szczupłe ciało przylgnęło do niego rozkosznie; poczuł, jak zalewa go fala pożądania. Spojrzał w jej zielone oczy, poznaczone bursztynowymi plamkami; teraz były szeroko otwarte i wyrażały jednocześnie pragnienie i strach. Pocałował ją znowu.

Tym razem jednak nie cofnął ust. Usłyszał, że Ellie cicho jęk-

nęła, po czym przywarła do niego mocniej, rozchylając nieśmiało wargi. Smakowała jak miód i topniejące płatki śniegu; Luke pogłębił pocałunek i przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej, odkrywając językiem zmysłową miękkość.

Wtedy Ellie oderwała się od niego, unosząc dłoń do szyi z wyrazem głębokiego szoku malującym się na twarzy.

- Przestań - wyszeptła. - Proszę cię, przestań.

Luke westchnął i przeczesał ręką włosy. Cofnął się z rezygnacją, pragnąc przywrócić biciu serca jego zwykle tempo. Nie powinien był tego robić. Nie powinien był jej dotykać, a co dopiero całować.

- Szkoda, *mademoiselle* - odparł chłodno. - Sądziłem, że być może znaleźliśmy sposób, aby się porozumieć. Ale obawiam się, że kompas twojego ojca pozostanie w moich rękach, dopóki nie zdobędziesz dla mnie owych dokumentów z biblioteki lorda Franklina.

Ellie była zdruzgotana. Cała krew odpłynęła jej z twarzy; jedynie usta miała nadal zaróżowione i nabrzmiałe od jego pocałunku.

- Jesteś wstrętny - wysyczała. - Wstrętny.

Luke patrzył na nią z kamienną twarzą. Boleśnie odczuł jej słowa. Ma rację, jestem wstrętny. Ale mój brat... Muszę dalej prowadzić swoje śledztwo...

Schylił się, aby podnieść z ziemi zieloną wstążkę, która wypadła jej z włosów.

- Wiesz - odezwał się cicho - do twarzy ci w zielonym. Powinnaś częściej nosić ten kolor, pasuje do twoich oczu.

Ellie bez słowa wyrwała mu wstążkę z ręki i wcisnęła ją do kieszeni.

Czego się spodziewałeś, głupcze? Że spodoba jej się twoje pochlebstwo? Że poprosi o więcej? - zrugął się w myślach.

- Myślę, że czas już iść - powiedział. - Joseph powinien być w pobliżu. Sprawdzę, czy możesz teraz bezpiecznie wrócić do domu.

- Nie ma potrzeby nic sprawdzać. Pójdę od razu. Często wychodzę na spacer do ogrodu. Służba nie będzie zaskoczona moim widokiem. Są przyzwyczajeni do...

- Nie w takim stanie - przerwał jej Luke, przyglądając jej się uważnie.

Ellie uniosła ręce do włosów, opadających jej w nieładzie na twarz i ramiona.

Kapitan bez słowa opuścił pawilon. Ellie zorientowała się, że choć była dopiero piąta po południu, ogród zaczął pogrążyć się w mroku i znowu zaczął padać gęsty śnieg. Usiadła na kamiennej ławce i poddała się wszechogarniającej rozpaczce.

Policzki paliły ją jeszcze na wspomnienie pocałunku - ciepła jego warg i siły przylgniętego do niej muskularnego ciała. Z jego strony był to tylko okrutny żart, ponieważ teraz widziała jasno, że nie miał zamiaru w niczym jej ustąpić. Udawał, że jej pożąda, chciał podstępnie złamać jej opór pieścizotami, aby tym bardziej dać jej do zrozumienia, że nią pogardza. Nienawidziła go!

Dlaczego więc poczuła gorącą falę pragnienia, ujrawszy w kilka chwil później, że jej dręczyciel wraca do pawilonu?

Jego ciemne włosy i ramiona były przysypane śniegiem, a na twarzy malował się nieprzenikniony wyraz. Ellie wstała i owinęła się szczelnie peleryną jak zbroją, patrząc mu buntowniczo w oczy.

- Mogę już iść?

- Obawiam się, że nie. - Kapitan strzepnął śnieg z płaszcza i butów. - Wypuścili psy.

- Nie! - Ellie nie była w stanie ukryć niepokoju. - Nie, jest za wcześnie...

- Być może wyczuły intruza. Będziesz musiała zostać tu przez jakiś czas...

Urwał, ponieważ szczekanie rozlegało się teraz bliżej, zagłuszając jego słowa. W milczeniu nasłuchiwał mroźnego krew w żyłach ujadania.

- Wytropią nas, Luke?

Po raz pierwszy wypowiedziała jego imię. Usiadł obok niej na kamiennej ławce i odrzekł spokojnym tonem:

- Wątpię. Świeży śnieg zasypie nasze ślady i rozproszy nasz zapach.

Ellie kiwnęła głową. Przycisnęła do siebie splecione dłonie,

a wówczas Luke dostrzegł coś jeszcze: była przerażona.

Kiedy zastąpił jej drogę w lesie, była uosobieniem buntu i niezależności. Podobnie było w ową noc, gdy Sam Snaith przypro-wadził mu ją do tawerny w miasteczku; pamiętał swoje niedo-wierzenie, kiedy upierała się przy samotnej podróży do Francji. Teraz jednak trzęsa się ze strachu.

- Boisz się psów? - spytał szybko.

- Takich psów... tak, boję się.

Nagle Luke zrozumiał.

- Już kiedyś uciekałaś przed psami, prawda?

- Tak - wyszeptała.

- Jesteś bezpieczna - zapewnił ją. - Masz moje słowo.

Skinęła głową, lecz jej twarz była papierowo blada. Psy ujada-ły gdzieś w oddali. Luke widział, jak Ellie toczy rozpaczliwą we-wnętrzną walkę ze strachem. Ktoś wysłał za nią gończe psy? Na litość boską, jakie jeszcze sekrety skrywa jej przeszłość? Jakie potworności?

Mów do niej, Luke, napomniał się gniewnie. Zlituj się nad nią. Odwróć jej uwagę. To w końcu tylko młoda dziewczyna. Spraw, żeby przestała wsłuchiwać się w szczekanie tych bestii...

Wskazał ręką opadające płatki śniegu.

- Jest śmiertelnie groźny, ale piękny, prawda? - odezwał się cicho. - Przypomina mi tamtą zimę, kiedy przeprawialiśmy się z Wellingtonem przez hiszpańskie Pireneje.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- A więc byłeś w wojsku? Słyszałam, jak twoi ludzie nazywają cię kapitanem, ale myślałam, że to...

- Że to żart? - spytał. - To nie żart, naprawdę byłem oficerem.

Jej oczy zaokrągliły się, po czym powędrowały ku jego prawej dłoni w rękawiczce.

- Ale zostałeś ranny.

Luke gwałtownie westchnął.

- Można to tak ująć. W każdym razie armia nie miała już ze mnie pożytku.

Ellie siedziała bez ruchu. Udało mu się zająć jej uwagę - to dobrze, bo choć starał się, aby jego głos brzmiał pewnie, kiedy mówił o psach, były to diabelskie bestie i nawet taki śnieg

mógłby nie przeszkodzić im w wytropieniu ludzi ukrywających się w ogrodzie.

- Luke... - Widział, że z wysiłkiem dobiera słowa. - Przykro mi z powodu twojej ręki. Ale byłeś oficerem. Spoczywała na tobie odpowiedzialność. Ludzie na pewno ci ufali. A tymczasem...

- Stałem się nicponiem i wyrzutkiem. Tak myślisz, prawda?

Ellie wstała i zaczęła spacerować tam i z powrotem.

- Nie rozumiem dlaczego... Czy nie mógłbyś prowadzić godniejszego życia?

Luke uśmiechnął się chłodno. Znowu zaczęła go obrażać.

- Myślisz, że po odejściu z wojska zszedłem na złą drogę i zostałem co najmniej przemytnikiem?

Wzięła głęboki oddech, po czym odrzekła cicho:

- Być może. Luke, dlaczego tak bardzo zależy ci na tych dokumentach? Czy grozi ci jakieś niebezpieczeństwo? Więzienie? Czy w tych papierach są jakieś dowody przeciwko tobie?

Kapitan podniósł się z ławki, znowu dostrzegając w jej oczach cień strachu.

- Ellie - powiedział. - Nie mogę ci tego wyjaśnić. Jeszcze nie teraz. Mogę ci tylko wyznać, że mam brata. On też był w wojsku, a teraz nikt nie wie, czy jeszcze żyje. Musisz przynieść mi te dokumenty.

- Mają coś wspólnego z twoim bratem? - Ellie usiłowała zrozumieć jego słowa. - A mimo to znajdują się u lorda Franklina?

- Nie mogę ci nic więcej powiedzieć - odrzekł. - Ale obawiam się, że muszę nalegać, abys mnie posłuchała...

Urwał, ponieważ jakaś postać wynurzyła się ze śnieżycy tuż obok pawilonu.

- To Joseph, nie bój się. - Luke położył jej dłoń na ramieniu uspokajającym gestem.

Podszedł do służącego i zamienił z nim kilka słów, po czym wrócił do Ellie.

- Psy są z powrotem w zagrodzie. Możesz bezpiecznie iść do domu.

Bezpiecznie? Ellie o mało się nie roześmiała. Owinąwszy się peleryną, wyszła w zimową ciemność z wysoko uniesioną głową. Luke podążył za nią. W ostatniej chwili odwróciła się do

niego.

- Prosisz o zbyt wiele, *capitaine* - szepnęła. - Pod wieloma względami. - Ścisnęła go za rękę. - Proszę cię, oddaj mi kompas ojca. Błagam cię...

Luke znowu poczuł przyływ emocji - gorzkiego żalu i nienawiści do samego siebie. Nie miał jednak wyboru. Anthony, robię to dla ciebie, powiedział sobie w duchu.

Wyrwał jej rękę i odrzekł:

- Dostaniesz kompas z powrotem, kiedy zrobisz to, o co prosiłem. Jesteś rezolutną osobą, *mademoiselle*. Daję ci tydzień. Ani dnia więcej.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wielki zegar w hallu wybił szóstą, kiedy Ellie wróciła do swojego pokoju. Słyszała, jak jego dźwięk odbija się echem po całym wielkim, majestatycznym domu, pełnym bezcennych dzieł sztuki.

Spóźni się na kolację. Nie obchodziło jej to.

Powoli zdjęła pelerynę i wilgotne od śniegu trzewiki, po czym usiadła na brzegu łóżka i uniosła dłonie do policzków.

Od pierwszego spotkania z Lukiem wiedziała, że powinna się go obawiać. Przypomniała sobie, że na chwilę przed ich pocałunkiem w jego oczach nie dostrzegała czułości, tylko twarde wyzwanie. Zadrzała na wspomnienie zuchwałego uśmiechu, który pojawił się na jego ustach, gdy wziął ją w ramiona.

Pamiętała także, że każdy miesiąc jej ciała wykrzykiwał ostrzeżenie, aby była ostrożna. Potem jednak dotknął jej ust i czuła już tylko słodycz; nogi niemal ugięły się pod nią, serce mocniej zabiło. Bez zastanowienia objęła rękami jego plecy i pozwoliła, aby ich języki splotły się ze sobą w sposób, o jakim nigdy nie marzyła.

Ledwie udało jej się utrzymać na nogach. Kapitan na pewno uznał ją za naiwną trzpiotkę i trudno go za to winić.

Nagle z zamyślenia wyrwało ją pukanie do drzwi i weszła Mary.

- Panienko, zaraz podadzą kolację... - urwała pokojówka, kiedy dostrzegła przemoczoną pelerynę i buty Ellie. - Och, panienko! Wychodziła pani na ten śnieg! Ale przecież wcześniej wypuścili psy, nie słyszała pani? Jeden z ogrodników zauważył jakiegoś intruza... Ma pani mokre włosy i przemoczone pończochy, napaliłabym w kominku, gdybym wiedziała... Pomogę pani się ubrać.

Dziewczyna pospieszyła suszyć jej włosy, szykować suche ubranie i buty.

- Mary... - przerwała jej Ellie, wkładając świeżą suknię. - Jakież dwie mile stąd nad morzem jest taki stary dom, wygląda na opuszczony...

- Ach, ma pani na myśli Higham House! To dom rodziny Danbury.

Serce Ellie zabiło nieco mocniej.

- Opowiedz mi o nich i o tym domu.

- Cóż, kiedy byłam małą, dom należał do starego pana Danbury'ego, są tam też gospodarstwa, nie tylko dom, chociaż przez ostatnie dwa lata mieli chyba bardzo słabe zbiory. Stary pan Danbury umarł w tysiąc osiemset dziesiątym roku i zostawił wszystko w spadku wnukowi.

- Luke'owi?

- Zgadza się. Ojciec Luke'a Danbury'ego już wtedy nie żył, a jego matka zmarła jeszcze wcześniej, więc to Luke odziedziczył majątek. Był też młodszy brat, Anthony, ale pojechał z wojskiem walczyć w Hiszpanii i nie wrócił. Nie wiadomo, czy zginął w boju, panienko, bo jego ciała nigdy nie odnaleziono. A ludzie gadają różne rzeczy.

„Mam brata. On też był w wojsku”. Tak mówił Luke.

- Co takiego mówią ludzie?

- Och, panienko... - Mary wyglądała na przestraszoną. - Mówią, że Anthony Danbury to zdrajca.

- Zdrajca?

- Tak, ale ja wiem tylko, że ten stary dom... kiedyś był taki piękny, a teraz obraca się w ruinę, a i gospodarstwa nie mają się najlepiej.

- Ale Luke Danbury nadal tam mieszka?

- Teraz tak, panienko, ale on też wstąpił do wojska, w tysiąc osiemset dwunastym, niedługo po swoim bracie. Niektórzy byli zaskoczeni, że zostawił majątek bez prawowitego gospodarza. Ale wie panienka, była też kobieta, dziedziczka. Jej ojciec miał majątek w Hythe, a ona była bardzo piękna. Ona i Luke zaręczyli się, ale mówią, że potem zerwała zaręczyny, a on był tak zrozpaczony, że nawet nie myślał o swoim majątku, tylko wstąpił do armii i wyjechał do Hiszpanii.

Ellie z przerażeniem słuchała, jak Luke Danbury zaręczył się

z dziedziczką, a potem postanowił zostać żołnierzem.

- Kiedy Luke Danbury wrócił z wojska, Mary? - zapytała z zaskakującym spokojem.

- Prawie rok temu i, po prawdzie, panienko, to nikt nie wie, co teraz robi, bo nie udziela się w towarzystwie. Pani Sheerham mówi, że wziął i zastawił ten śliczny stary dom i sprzedał z niego co tylko się dało, żeby mieć pieniądze na hazard i hulanki. Mało tego, miejscowi mówili, że gdy wrócił w zeszłym roku, to na początku nic, tylko pływał co noc do Francji.

- To może jego narzeczonej udało się uciec w ostatniej chwili - Ellie starała się, aby zabrzmiało to beznamiętnie.

- Och, tak, z pewnością! Szczególnie jej ojciec był bardzo zadowolony. Luke Danbury nie jest lubiany przez okoliczną szlachtę.

- Bo jest takim łajdakiem?

- Nie, co to, to nie - zawahała się Mary. - Szczerze mówiąc, panienko, dla miejscowych to on nie jest łajdakiem. Traktuje swoich dzierżawców i robotników lepiej niż inni właściciele ziemscy. Płaci im za pracę, ile tylko może, a często sam wychodzi w pole i pomaga ludziom przy owcach, jak się koca, przy strzyżeniu i przy żniwach też. Innym panom to się nie podoba. Nie lubią go. Mówią, że przez niego robotnikom przychodzą do głowy różne pomysły. Więc myślę, panienko, że... że może lepiej będzie, jeśli nie będzie pani rozmawiać o nim z lordem Franklinem, kiedy tu jutro przyjedzie.

Ellie powoli wstała z krzesła.

- Lord Franklin przyjeżdża jutro?

- Och, tak. Nie wiedziała pani? Wszyscy stają na głowie, to jasne, ale jego lordowska mość lubi od czasu do czasu tak się zmienacka pojawić. Kucharka mówi, że robi to po to, żebyśmy byli w ciągłej gotowości, z kolei pan Huffley twierdzi, że lord Franklin przyjeżdża, żeby podziwiać swoje malowidła i zimne rzeźby, na których zależy mu bardziej niż na żywych ludziach...

Mary urwała w pół zdania, jakby zorientowała się, że powiedziała zbyt wiele.

- Tak czy owak, po południu przyjechał z Londynu posłaniec i doniósł, że lord Franklin przyjedzie jutro po lunchu, nie zwa-

zając na ten śnieg. Zobaczy pani, że milady jest bardzo podekscytowana, bo oczywiście uwielbia swojego syna. A jak pani będzie na kolacji, panienko, to przejrzę te śliczne nowe suknie, których jeszcze pani nie nosiła, bo przecież będzie pani chciała wyglądać jak najlepiej na przyjazd lorda Franklina...

Po odejściu Ellie Luke zwawo ruszył przez ciemność ku mrowi otaczającemu posiadłość lorda Franklina i wdrapawszy się nań zwinnie, przeskoczył na drugą stronę. Psy zamknięte, nie ma strażników, a padający śnieg ukryje moje ślady, myślał. Niedługo później dotarł do przecinki w lesie, gdzie przywiązał swoją klacz, Diablo, która zarżała cicho i zaczęła trącać pyskiem kieszeń jego płaszcza w poszukiwaniu smakołyków.

- Przynajmniej ty się cieszysz na mój widok - mruknął Luke, gładząc konia po szyi i strzepując śnieg z siodła.

Przez jakiś czas nie będzie mógł się uwolnić od wyrazu twarzy tej małej Francuzki, kiedy wyłonił się zza pawilonu. Był to wyraz całkowitego przerażenia. Prawdopodobnie nie zasługiwał na nic innego.

Wsiadł na Diablo i ruszył ku traktowi wiodącemu na wybrzeże, zacisnąwszy usta w cienką linię. Śnieg prawie przestał już padać, lecz droga była śliska i niebezpieczna, jechał więc stępa, spoglądając na pojawiające się na niebie gwiazdy. Po niedługim czasie skierował się na wąską, zarośniętą ścieżkę prowadzącą do małego kościółka na szczycie klifu.

Ta dziewczyna powinna już być w domu, w Bircham Hall, pomyślał. Z pewnością nienawidzi go za to, co każe jej uczynić wobec opiekuna. A mimo to... ten pocałunek.

Chciał ją nim uciszyć, ukarać. Nie był przygotowany ani na jej reakcję, ani na własne pragnienie, które wzbudził. Mógłby przysiąc, że jej wargi rozchyliły się z własnej woli i że objęła go mocniej, kiedy przycisnął ją do siebie... Poczuł rodzące się w niej pożądanie.

To nie tak. To wszystko nie tak - lecz jej szczupłe, zmysłowe ciało kazało mu myśleć o zakazanych rzeczach, które powinien wyrzucić ze świadomości. Zachował się jak głupiec, pozwalając sobie w przypiływie jakiegoś szaleństwa zapomnieć o żelaznej

samokontroli. Wydawała się nieświadoma swojego powabu. Jej ewidentna niewinność zupełnie go oszołomiła.

Luke zaklął pod nosem i potarł twarz dłonią. Wykorzystał ją i zasłużył sobie na jej pogardę.

Dojechał już do niewielkiego saksońskiego kościółka i przylegającego doń cmentarza otoczonego starymi cisami. Zsiadł z konia, patrząc na zasypany śniegiem pejzaż, dziwnie kontrastujący z czernią nieba i morza. Ruszył dobrze sobie znaną ścieżką, aż w końcu znalazł się przed marmurowym nagrobkiem.

Strzepnąwszy z kamienia nieco śniegu, przeczytał w świetle księżyca: „Tu spoczywają zjednoczeni w śmierci John Danbury i jego żona Elizabeth, ukochani rodzice synów Luke’a i Anthony’ego, obdarzeni spokojem przez miłosiernego i sprawiedliwego Boga”.

Spokojem? Luke prawie nie pamiętał matki – zmarła przed dwudziestoma sześcioma laty, wydając na świat Anthony’ego. Ojciec umarł, kiedy Luke miał dziesięć lat, a Anthony osiem – obaj przebywali wówczas w szkole z internatem, lecz Luke zachował żywe wspomnienia o swoim postawnym, hałaśliwym ojcu – pijaku i fanfaronie.

Obok znajdował się grób jego dziadka. Edward Danbury zmarł przed pięcioma laty i to jemu Luke wszystko zawdzięczał. Był człowiekiem wielkiej prawości; robił, co w jego mocy, aby zachować majątek dla obu wnuków i zapewnić im stabilizację, której potrzebowali. Ich ojciec prowadził bowiem w Londynie żywot utracjusza.

Luke spojrzał jeszcze raz na nagrobek rodziców. Miłosierny, sprawiedliwy Bóg? Nie znał nikogo takiego. Inaczej Anthony nie zostałby ogłoszony zdrajcą i byłby tu razem z nim.

W kieszeni nadal miał list od Jacques’a, przywieziony przez rybaka Daveya Patchetta. Nie musiał go już czytać – pamiętał każde słowo. Popatrzył na morze. Anthony był oficerem, przez lata służył dzielnie na Półwyspie. Potem jednak wezwano go do Londynu i poproszono o współpracę z brytyjskim wywiadem we Francji.

- To dlatego że tak dobrze mówię po francusku - oświadczył

beztrosko, kiedy mówił o tym Luke'owi. – To wszystko.

– To będzie niebezpieczne – ostrzegł go Luke.

Anthony wzruszył ramionami.

– Chyba nie bardziej niż udział w walce.

Było to w roku 1812, kiedy Luke także wstąpił do wojska i walczył pod dowództwem Wellingtona w Hiszpanii. Tylko raz otrzymali przepustki w tym samym czasie – latem roku 1813. Wędrowali wówczas całymi kilometrami po plaży, rozmawiając o dawnych czasach i starych przyjaciółach, aż w końcu Anthony powiedział:

– Ma się stać coś nowego, Luke. Planują coś w południowo-zachodniej Francji. To ryzykowne, ale jesteśmy dobrze przygotowani. Opowiem ci o tym, kiedy przyjadę do domu następnym razem.

Ale już do domu nie wrócił.

Kiedy Luke odszedł z armii, zaczął szukać wieści o Anthonym i jego towarzyszach. Nigdy nie zaprzestał prób ujawnienia w taki czy inny sposób tego, co z goryczą podejrzewał: że Anthony wraz z przyjaciółmi został zdradzony i porzucony przez swoich przełożonych, ponieważ jacyś ludzie na wysokich rządowych posadach zmienili zdanie i uznali, że nie są oni im już potrzebni.

W końcu Luke opuścił cmentarz. Wsiadłszy na konia, przypomniał sobie, że odwiedziło go dzisiaj kilku dzierżawców z prośbą o przesunięcie terminu płatności czynszów. Wyjaśnili, że przy takim mrozie kończy im się pasza dla zwierząt; obawiali się, że wiosną będą mieli trudności z nabyciem ziarna.

– Zapomnijcie na razie o czynszu – powiedział im. – Zapłacicie mi po żniwach.

Ale co będzie, zastanawiał się teraz, jeśli tegoroczne zbiory będą równie słabe jak poprzednie? Jeśli ceny pszenicy nadal będą katastrofalnie spadać, jak to się działo od upadku Napoleona? Wzruszył ramionami. Jakoś sobie poradzi. Nie ma wyjścia, musi to zrobić dla dobra ich wszystkich. Od ponad roku jedynym jego dochodem był czynsz za wynajem niewielkiego domu w Londynie, który odziedziczył po dziadku, lecz obecny najem-

ca poinformował go niedawno, że zamierza się wyprowadzić. Dom wymagał natychmiastowego remontu. Z ponurym uśmiechem wspominał radę, daną mu przez ukochanego dziadka na łożu śmierci:

- Nic z tego nie będzie, Luke. Będziesz musiał znaleźć sobie dziedziczkę. Ale, na Boga, upewnij się, że ma dobre serce.

Caroline w pewnym sensie posiadała serce, lecz była również niezwykle dumna, a jej ojciec, zamożny właściciel ziemski z hrabstwa Kent, sir Graham Fawley, zemścił się na nim po swoim: kiedy Luke był w wojsku, nakazał miejscowym bankierom zażądać zwrotu wszystkich pożyczek zaciągniętych przez rodzinę Danbury. Okazał się kolejnym niebezpiecznym wrogiem.

Luke nie zamierzał się jednak poddać. Będzie walczył dalej. Żałował tylko, że musi wciągnąć w tę walkę dzielną młodą Francuzkę, której usta tak słodko rozchyliły się pod jego pocałunkiem, a zielone oczy niemal błagały go, aby powiedział, że może mu zaufać.

Byłoby dla niej lepiej, pomyślał ponuro, gdyby nigdy go nie poznała. Jego majątek popadał w ruinę, a on sam z dużym prawdopodobieństwem zmierzał ku piekłu, na które zresztą zasłużył.

Ruszył ku domowi na wybrzeżu. Siedziba Danburych jak zawsze wyglądała na zaniedbaną i opuszczoną, choć od strony podwórza dziedziniec był odśnieżony i oświetlony latarniami. Luke poczuł, że nastrój nieco mu się poprawia. Może ten stary dom da się odremontować, a Anthony któregoś dnia powróci.

Josh Watterson okrywał właśnie konia derką, ale na widok Luke'a zawołał:

- Kapitanie, przyjechał *monsieur* Jacques!

Luke zwinnie zeskoczył z konia, wręczył Joshowi wodze i ruszył ku tylnym drzwiom.

W wielkiej jadalni ogień płonący na kominku oświetlał twarze mężczyzn siedzących wokół stołu - Toma Bartletta, Pete'a Wattersona i ich gościa, Jacques'a. Pochylali się nad rozłożonymi na stole mapami. Na drugim brzegu stołu stały pozostałości posiłku - chleb, ser i kawałek szynki.

- Luke, *mon ami*! - Jacques dostrzegł go pierwszy i już szedł

ku niemu z wyciągniętą dłonią. - Jestem, zgodnie z obietnicą. Tak mi przykro, że w liście nie mogłem przekazać ci lepszych wiadomości. Ale jest coś bardzo ważnego...

Spojrzał w stronę na wpół otwartych drzwi.

- Znalazłem ich - ciągnął - w małym miasteczku, dziesięć mil od La Rochelle. Są wyczerpani długą podróżą, ale zapewniłem panią - ma na imię Monique - że znajdą u ciebie schronienie. I...

Urwał, bo w drzwiach pojawiła się piękna młoda kobieta w czerni, trzymając za rączkę małego chłopczyka.

Luke spojrzał na nich, czując, jak buzują w nim różne emocje.

- To żona Anthony'ego - powiedział cicho Jacques. - I ich dwuletni synek.

Luke poczuł się jak rażony gromem.

Mój brat nie żyje, pomyślał. Albo zabili go Francuzi, albo zginął w niewoli - inaczej walczyłby na śmierć i życie, aby być z rodziną. Nigdy, przenigdy by ich nie porzucił.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kiedy Ellie obudziła się następnego poranka, Mary nalała jej herbaty, po czym otworzyła szafę, z zapalem wskazując kolejno wykwintne suknie.

- Może włoży pani dziś którąś z nich, panienko? Pani Sheerham mówi, że lord Franklin przyjedzie około drugiej po południu. Może tę niebieską? Ta zielona też jest bardzo ładna...

Ellie, owinięta jedwabnym szlafrokiem, siedziała przed lustrem, a Mary, paplając bezustannie, rozczesywała jej włosy. Przypomniała sobie, jak Luke powiedział, że do twarzy jej w zielonym i powinna częściej nosić ten kolor, bowiem pasuje do jej oczu.

Poruszyła się gwałtownie, sprawiając, że Mary upuściła szczotkę.

- Przepraszam - powiedziała natychmiast Ellie. - Przepraszam, Mary. Ale włożę moją zwykłą szarą suknię.

Dieu, pomyślała z roztargnieniem, to chyba gorsze niż długie tygodnie ucieczki z ojcem z Paryża ze świadomością, że prześladowcy ciągle depczą im po piętach.

Tutaj groziło jej jeszcze większe niebezpieczeństwo ze strony Luke'a Danbury'ego, nieznanego o ciemnych włosach i intensywnie niebieskich oczach, który wczorajszego śnieżnego popołudnia ją pocałował. Wspomnienie dotyku jego warg nadal ją prześladowało, lecz wiedziała, że dla niego tamto zdarzenie nie miało żadnego znaczenia. Poddając się jego dłoniom, zauważyła, że dla Luke'a pocałunek był tylko kolejnym sposobem okazania nad nią swojej wyższości; postąpiła nierozsądnie, ulegając mu. Poczuła wówczas nieznaną dotąd przyjemność połączoną z przyływem niepokojąco dobrego nastroju, a później długo jeszcze odczuwała wewnętrzną tęsknotę.

Ellie opuściła głowę i zamknęła oczy. Nie chciałyby się tak czuć już nigdy więcej.

- Panienko, którą dzisiaj wiążemy? - spytała Mary, wyciągając ku niej naręczce aksamitnych wstążek.

- Którąkolwiek - odrzekła szybko. - Wszystko mi jedno. Może być czarna.

- Och, panienko. Nawet nie będzie jej widać na pani ciemnych włosach...

- Czarna - powtórzyła.

Luke Danbury dał jej tydzień na spełnienie swojego żądania. Inaczej poinformuje lorda Grayfielda, że jej ojciec pracował kiedyś dla Napoleona.

Lord Franklin przyjechał krótko po czternastej. Ellie słyszała ze swojego pokoju na piętrze, jak jego powóz wjeżdża z dużą szybkością na podjazd. Zimowa aura najwyraźniej nie stanowiła problemu dla jego stangreta. Okna jej saloniku wychodziły na starannie odśnieżony frontowy dziedziniec, widziała więc, jak czterech stajennych czekało, aby zająć się końmi, a pan Huffley i trzech lokajów stało sztywno przed wejściem do domu.

Kiedy lord Franklin wysiadał z powozu, pan Huffley podszedł bliżej i ukłonił się; w tym samym czasie panna Pringle stuknęła już do drzwi pokoju Ellie.

- Elise! - wykrzyknęła podekscytowana. - Elise, jego lordowska mość przyjechał. Zejdiesz na dół, aby go powitać, prawda?

Panna Pringle była zdenerwowana i jednocześnie niezwykle podniecona. Kilka minut później Ellie zeszła głównymi schodami i ujrzała lady Charlotte z dwoma lokajami u boku. Panna Pringle tymczasem gorliwie wpatrywała się w drzwi wejściowe.

Wówczas wkroczył lord Franklin, jowialny i serdeczny, odziany w podróżną pelerynę i wyglansowane do połysku wysokie buty. Wyglądał, jakby właśnie wyszedł ze swojej rezydencji w Mayfair, aby wybrać się na przejażdżkę po parku, a nie w długą podróż po zaśnieżonych drogach. Pochylił się nad ręką matki, która zdawała się pękać z dumy. Wyprostowawszy się, rozejrzał się po sali wejściowej, przyglądając się posągom i malowidłom, aż w końcu jego wzrok spoczął na Ellie.

Ostatni raz widziała go w Londynie tego ranka, kiedy wyruszyła w podróż do Bircham Hall. Lord Franklin odnosił się do

niej wówczas z chłodną dezaprobatą z powodu jej oskarżenia, jakoby ktoś z jego domu przeszukał jej pokój.

- Czyżbyś wątpiła w uczciwość moich służących, Elise? - zapytał wtedy. - W ich lojalność wobec mnie?

Chciała odpowiedzieć, że wątpi. Dzięki Bogu, torba jej ojca była zamknięta na klucz, lecz świadomość, że ktoś przeglądał wszystkie jej rzeczy - ubrania, książki, kilka osobistych drobiazgów - głęboko nią wstrząsnęła.

Wtedy oświadczył, że wysyła ją do Bircham Hall, co w gruncie rzeczy równało się banicji. Teraz jednak podszedł do niej z uśmiechem i na krótką chwilę położył jej dłonie na ramionach.

- Moja droga Elise! - powitał ją wylewnie. - Obawiam się, że to będzie bardzo krótka wizyta. Przyjechałem tylko załatwić kilka spraw gospodarskich z panem Applebym. Muszę jednak przyznać, że bardzo jestem rad cię widzieć. Matka pisała, że już się tu zadomowiłaś.

Było tak, jakby znowu stał się hojnym dobroczyńcą, który wziął ją pod swoje skrzydła w Brukseli, zapewniając bezustannie, że uważa za swój obowiązek zaopiekować się odnalezioną krewną.

- Jest mi bardzo wygodnie w Bircham Hall, milordzie - odrzekła szybko Ellie. - Dziękuję bardzo.

Przez cały czas miała świadomość, że jego matka bacznie ją obserwuje. Teraz lady Charlotte odezwała się z naciskiem:

- Sądzę jednak, drogi Franklinie, że Ellie nudzi się nieco w naszym towarzystwie po tych wszystkich atrakcjach zagranicznych miast.

Lord Franklin podał lokajowi pelerynę i kapelusz, po czym zwrócił się do Ellie.

- A więc nudzi ci się tutaj? Bardzo mi przykro z tego powodu.

- Cieszy mnie tutejsza cisza i spokój - zapewniła go pośpiesznie.

- Nie było żadnych kłopotów ze służbą?

A więc jednak. Subtelna aluzja do jej oskarżenia o przeszukanie pokoju w Londynie. Nie zapomniał o tym.

- Absolutnie żadnych, milordzie. - Uśmiechnęła się szeroko. - Wszyscy są dla mnie wyjątkowo uprzejmi.

- Dobrze - odrzekł. - Doskonale.

Wtedy dołączył do nich pan Appleby.

- Ach, Appleby - powitał go kordialnie lord Franklin, ściskając mu dłoń. - Zaraz przejrzymy rachunki, dobrze? Zawsze znajdzie się tu dla nas coś do zrobienia. A podczas wizyty w Paryżu nabyłem kilka pięknych obrazów. Przywiozłem część z nich i zastanawiam się nad małym przemeblowaniem galerii na pierwszym piętrze, żeby znaleźć dla nich miejsce...

Lord poprowadził pana Appleby'ego dalej, nie przestając mówić, a lady Charlotte nakazała lokajom odwieźć się do pokoju. Ellie także miała już odejść, lecz nagle usłyszała ostry głos starszej pani.

- Ellie? Pójdiesz ze mną, chcę z tobą porozmawiać. Ale najpierw przynieś mi mój szal z jadalni, musiałam go tam zostawić po lunchu.

- Milady. - Ellie dygnęła i pospieszyła do jadalni po wykwintny kaszmirowy szal, udrapowany na poręczy krzesła. Skierowawszy się w stronę drzwi, zorientowała się, że lord Franklin i pan Appleby nadal rozmawiają poważnymi, przyciszonymi głosami; słyszała każde ich słowo.

Zamarła, ponieważ dotarło do niej, że wcale nie rozmawiają o sztuce.

- Jesteś pewien, Appleby - mówił lord Franklin - że on znowu bezczelnie włóczy się po okolicy? Śmie się tu pokazywać razem ze swoją bandą renegatów? Bardzo się cieszę, że mi o tym napisałeś, dlatego właśnie przyjechałem. Nie możemy tolerować Danbury'ego na wolności, szczególnie w obecnych okolicznościach. Trzeba coś z tym zrobić...

Skierowali się do biura pana Appleby'ego. Zszokowana Ellie stała przez chwilę bez ruchu.

Wiedziała już od Mary, że lord Franklin nienawidzi Luke'a. Ellie poczuła nagły chłód; wydało jej się, że marmurowe posągi w sali wejściowej wpatrują się w nią szyderczo.

Przez niemal godzinę Ellie musiała siedzieć z lady Charlotte i słuchać po raz kolejny o genialnym intelekcie lorda Franklina, jego osiągnięciach naukowych w Eton i Oksfordzie oraz sławie

kolekcjonera sztuki europejskiej. Towarzyszyła im panna Pringle, gotowa na każdy kaprys i wezwanie lady Charlotte. Ellie znosiła to w milczeniu, dopóki nie nadeszła w końcu pora popołudniowej herbaty, którą starsza pani miała wypić z synem.

Ellie poszła do siebie na górę. Prawie nie tknęła podwieczorku przyniesionego na tacy przez Mary, usiłując zrozumieć sens ostrych słów lorda Franklina. „Nie możemy tolerować Danbury’ego na wolności, szczególnie w obecnych okolicznościach”.

Skąd ta wrogość pomiędzy nimi? Ellie pomyślała, że być może dokumenty, które Luke chciał wydobyć z biblioteki lorda, zawierały dowody jakiegoś przestępstwa popełnionego przez niego albo jego brata.

Luke jednak zdawał się nie obawiać lorda Franklina. Sprawiał wrażenie człowieka niedbającego ani na jotę o to, co mówi się o nim w towarzystwie ani też o samo towarzystwo. Tylko raz widziała, jak maska, pod którą skrywał emocje, zaczyna lekko się zsuwać – było to wówczas, kiedy powiedział jej o swoim zaginionym bracie. Mówił bez emocji, opanowanym tonem, lecz cień w jego oczach i sposób, w jaki zaciskał okaleczoną dłoń, wyrażał niewypowiedziany smutek. Przepęłniał każde jego działanie.

Nawet ten pocałunek, który tak nią wstrząsnął, wydawał się niemal aktem zemsty.

Podczas kolacji lady Charlotte promieniała w obecności syna. Ellie ubrała się w skromną szarość, lecz lady miała na sobie wytworną brokatową suknię i sporo biżuterii; niemal flirtowała z panem Applebym, a ten odpowiadał jej służalczymi pochlebstwami.

Trudno uwierzyć, myślała Ellie, że to ta sama kobieta. Na co dzień była szorstka i nieprzyjemna. Syn najwyraźniej był światłem jej życia. Przy stole siedziała także panna Pringle, koncentrując całą uwagę na licznych przysmakach, przygotowanych przez kucharkę na cześć lorda Franklina.

Ellie nie miała zbyt wielkiego apetytu, a już zupełnie przestała jeść, kiedy lord Franklin zaczął opowiadać o swojej ostatniej wizycie w Paryżu.

- Ach, Paryż - powiedział. - Sądzę, że to moje ulubione miasto

w całej Europie.

- Dzięki Bogu - wtrąciła się lady Charlotte - że Francuzi odzyskali zdrowy rozsądek i pozbyli się tego potwora Bonapartego. Rozumiem, Franklinie, że nadal jest więziony na Elbie?

- Jak najbardziej - zapewnił ją syn. - A teraz, kiedy król Ludwik z powrotem zasiada na tronie i w całej Francji zapanował pokój, Paryż jest taki jak dawniej! Moja droga - zwrócił się do Ellie - wychowałeś się w Paryżu, prawda? Zastanawiam się, czy ty albo twój ojciec kiedykolwiek widzieliście Napoleona?

Ellie zamarła.

- Jak pan wie, milordzie - odrzekła w końcu - Napoleon miał wspaniały dwór w La Tuileries. Ale ja nigdy tam nie byłam. Moja rodzina żyła w Paryżu w odosobnieniu.

- A gdzie dokładnie mieszkaliście?

- Przy Rue Tivoli, milordzie. Niedaleko kościoła Saint-Denis.

- Ach, znam to miejsce - odparł lord. - Nieopodal znajduje się droga, którą Napoleon kazał swoim inżynierom zbudować z Paryża do Orleanu.

Ellie z brzękiem upuściła widelec.

Lord Franklin patrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym zaczął rozmawiać z panem Applebym o jakichś sprawach związanych z posiadłością. Przez resztę posiłku Ellie nie była w stanie wydusić słowa.

To jej ojciec zaprojektował drogę z Paryża do Orleanu, ale lord Franklin nie mógł o tym wiedzieć! Przecież gdyby miał pojęcie, że jej ojciec pracował dla Napoleona, nie chciałby mieć z nią nic wspólnego, nawet mimo pokrewieństwa z jej matką.

Dieu, westchnęła w duchu. Nigdy, przenigdy nie powinna była przyjeżdżać z nim do Anglii. Ale z drugiej strony uroczyście obiecała to swojemu umierającemu ojcu. Czowała, jak ogarnia ją przerażenie. Tymczasem posiłek dobiegał końca, lecz nie mogła uciec do siebie, ponieważ lady Charlotte poklepała syna po ramieniu i oświadczyła:

- Elise gra na fortepianie, Franklinie. Mogłaby zagrać coś dla nas po kolacji.

- Fortepian jest trochę rozstrojony... - zaczęła Ellie.

- Och, to tylko wymówki - zwrócił się do niej lord Franklin

z dobrodusznym uśmiechem. – Cudownie byłoby posłuchać muzyki. Nie wiedziałem, że jesteś taka utalentowana.

– Będę musiała pójść po nuty – poddała się Ellie i powoli udała się na górę.

Schodząc, usłyszała, że lord Franklin rozmawia z matką w pokoju muzycznym. Nagle zrozumiała, że przedmiotem konwersacji jest ona sama. Zatrzymała się na schodach.

– Ta dziewczyna jest taka męcząca, Franklinie! – oświadczyła gniewnie lady Charlotte. – Taka powolna. Będzie z rozmysłem marnować swój i twój czas. Jest w niej zła krew. Mówiłam ci, że przyjmowanie jej pod nasz dach było błędem...

Urwała, bo lord Franklin uniósł ostrzegawczo dłoń.

– Zabraniam ci wypowiadać się na temat jej pochodzenia – powiedział. – Pamiętaj, ona naprawdę wierzy, że jest z nami spokrewniona.

Zaskoczona Ellie cofnęła się w cień. Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Czy to znaczy, że... nie jest?

W jakiś sposób udało jej się wejść do pokoju muzycznego i zagrać kilka utworów ku entuzjastycznemu zachwytowi lorda Franklina, choć lady Charlotte kiwała tylko pogardliwie głową. Po koncercie Ellie pobiegła do siebie i usiadła na łóżku. Kiedy znalazła się sama, nagle wróciły do niej wspomnienia strasznych dni i nocy rozpaczliwej ucieczki z ojcem z Paryża. Była przerażona. Ten dom, który miał stać się jej schronieniem, wydawał się teraz mrocznym i zimnym więzieniem.

Naraz wspomniała słowa Luke'a. Wyglądało na to, że wie on o lordzie Franklinie więcej niż ona. Musi się z nim znowu zobaczyć, nawet jeśli to oznacza spełnienie jego żądania. Postanowiła, że dostanie się jakoś do biblioteki lorda Franklina.

Tej nocy Ellie leżała w łóżku, słuchając wiatru w gałęziach drzew i myśląc o tym, co czuła, gdy Luke przyciągnął ją do siebie i pocałował. Wyobrażała sobie, co by się stało, gdyby wtuliła się w niego i pozwoliła mu kontynuować.

Drżała na całym ciele, ponieważ wiedziała, że musi za wszelką cenę ponownie spotkać się z Lukiem Danburym.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Lord Franklin zatrzymał się w Bircham Hall na trzy noce, a jako że śnieg szybko topniał, codziennie wyprawiał się konno z panem Applebym na obchód posiadłości. Potem zamykał się z nim w bibliotece, żeby rozmawiać o interesach.

Ellie widywała lorda Franklina co wieczór przy kolacji i nieodmiennie zachowywał się wobec niej szarmancko. Czuła jednak, że już nie może mu ufać. Nie mogła mu powiedzieć nic o sobie, nie ryzykując zdradzenia swoich sekretów.

Nie rozumiała też, po co kłamał, że jest z nią spokrewniony, ani dlaczego przywiózł ją do Anglii. Była przekonana, że tylko Luke Danbury może pomóc jej znaleźć odpowiedzi na te pytania.

W dniu odjazdu lorda Franklina jego kareta i konie już o dziesiątej stały przygotowane na dziedzińcu. Lady Charlotte pożegnała się z nim czule, a potem prawie od razu wezwała do siebie kamerdynera i ochmistrzynię, żeby dokładnie podsumować wszystkie niedociągnięcia służby podczas wizyty syna. Mary powiedziała Ellie o tym tuż przed obiadem.

- Pani dosłownie rozdarła ich na strzępy - stwierdziła ze smutkiem. - Parę osób to słyszało. Ja nie wiem, czemu oni z nią wytrzymują, naprawdę nie wiem.

Przez kilka następnych dni lady Charlotte dręczyła służbę przy każdej okazji. Atmosfera w domu zrobiła się okropna, Ellie codziennie widywała pokojówki zalane łzami. Czwartego dnia przy obiedzie lady Charlotte rzuciła się na nerwowego młodego lokaja, który upuścił łyżkę do serwowania.

- Lady Charlotte, jestem przekonana, że nie zrobił tego specjalnie - wstawiła się za nim Ellie.

Wszyscy w jadalni - lady Charlotte, panna Pringle i służba wokół - spojrzeli na nią ze zdumieniem. Lady Charlotte spaso-

wiała i zaraz zawołała swoich dwóch lokajów, żeby zaprowadzili ją do pokoju.

- Dosyć - powiedziała dramatycznie. - Nie mam zamiaru tego dłużej znosić.

Zaraz rozeszła się wieść, że lady cierpi na ból głowy i przez resztę dnia pozostanie w zaciemnionej sypialni. Pani Sheerham prawie natychmiast obwieściła, że na popołudnie należy jej się wychodne i że wybiera się bryczką do Folkestone w odwiedziny do siostry, a kucharka zabierze się z nią do miasta na drobne zakupy, korzystając z okazji.

Ellie była w bawialni, gdy podeszła do niej panna Pringle.

- Ojej - powiedziała. - Ojej. Nie chciałabym być niewdzięczna. Ale jakże bym też chciała...

- Chciałabyś mieć wychodne na popołudnie? Dlaczego nie, panno Pringle.

Twarz panny Pringle rozpogodziła się.

- Poszłabym na plebanię, tam spędziłam dzieciństwo. Ale co będzie, jeśli lady Charlotte będzie mnie potrzebować?

- Podobno masz asystować mnie, a nie jej - powiedziała łagodnie Ellie. - A ja ci udzielam pozwolenia.

I tak oto Ellie została w bawialni sama. Myślała o Luke'u i o jego poleceniu. Igrał z nią, musiał ją uważać za głuptaskę i zapewne miał rację. Dopiero po chwili dotarło do niej, że do pokoju wszedł Joseph. Pewnie pukał, ale go nie słyszała.

- Proszę pani - powiedział swoim cichym głosem. - Przyszedłem powiadomić, że biblioteka nie jest zamknięta.

Serce zamarło jej w piersi.

- Skąd wiesz?

- Bo - odpowiedział cierpliwie - pani Sheerham poprosiła mnie o wyczyszczenie okuć pod jej nieobecność i dała mi klucz.

Ellie od razu zerwała się na nogi. Musiała się dowiedzieć, co się tu dzieje.

- Joseph, daj mi pięć minut. Już tam idę.

Najpierw poszła sprawdzić, czy lady Charlotte rzeczywiście leży w swoim pokoju, a potem ruszyła wprost do biblioteki. Drzwi były otwarte, lampy paliły się, a Joseph energicznie polewował mosiężną oprawę kominka. Ujrawszy Ellie, podszedł do

niej i odprowadził ją do stolika na drugim końcu pomieszczenia.

- Sądzę, że ma pani godzinę, może trochę więcej. Potem pan Hufflej odeśle mnie do innych obowiązków i będę musiał zamknąć bibliotekę na klucz - powiedział, zniżając głos do szeptu.

Wrócił do polerowania, a Ellie pospiesznie rozejrzała się po pomieszczeniu. Regały pełne książek zajmowały co najmniej połowę ścian, miały jednak i głębsze półki, mieszczące księgi rachunkowe i akta. Podeszła bliżej do grubych teczek. Były ułożone latami. Zacisnęła dłonie na grubym tomie z napisem „1813”, przeniosła go na najbliższy stolik, usiadła i otworzyła.

W środku znajdowało się całe mnóstwo kartek z zapiskami i prywatnych listów adresowanych do lorda Franklina. Uzmysłowiła sobie, że niektóre podpisywał angielski premier. Jeszcze inne - szef Admiralicji.

Wstrzymała oddech. Nie miała pojęcia, że lord Franklin aż tak dobrze się zna z wysoko postawionymi osobami w rządzie. Najwyraźniej radzili się go w sprawach wagi państwowej. Ciekawe, czy Luke o tym wiedział.

Podejrzewała, że tak. Zapewne uznaliby ją za głupiutką gąskę, że sama o tym nie wie.

Teczka była cała wypchana listami. Przeglądała je szybko, wsłuchując się jednocześnie w zegar w korytarzu. Minęła prawie godzina, gdy sięgała po kolejne naręcze papierzyśk, a ze stolika omal nie zsunął się mały, związany wstążką pakiecik listów. Był opisany jako „Les Braves, wrzesień 1813”.

Rozwiązała wstążkę i szybko przeczytała pierwszy z nich.

Drogi Franklinie,

w nawiązaniu do naszej rozmowy w Londynie o lądowaniu wojsk brytyjskich na zachodnim wybrzeżu Francji we wrześniu sugeruję, abyśmy nadal przekazywali polecenia grupie znanej jako Les Braves, choć zależy to oczywiście od ewentualnej współpracy Ministerstwa Spraw Zagranicznych...

Potem były kolejne listy, niektóre po francusku; wymieniano kolejne nazwiska, miejscowości i daty. Znalazła też mapy zachodniego wybrzeża Francji i portu w La Rochelle. Przystudio-

wała wszystko uważnie, co okazało się tym prostsze, że wciąż przewijały się tam te same słowa.

Les Braves. Śmiałkowie.

- Proszę pani? - Nagle dotarło do niej, że Joseph stoi obok niej. - Proszę pani, muszę się zameldować u pana Huffleya i zamknąć bibliotekę, zanim zaczną mnie szukać. Powinna to pani odłożyć i wyjść stąd jak najszybciej, zanim ktokolwiek panią zobaczy.

Czas płynął zbyt szybko, pomyślała Ellie, pospiesznie związała dokumenty i włożyła je z powrotem do teczki. Joseph otworzył drzwi i patrzył czujnie, czy nikt nie nadchodzi. Zatrzymał ją, wyciągając dłoń.

- Jeszcze jedno, proszę pani. Kapitan chce się z panią spotkać. W miarę możliwości dzisiaj wieczorem.

- W sprawie tych dokumentów? Bałam się cokolwiek zabrać...

- Kapitan nie potrzebuje żadnych dokumentów. Chce po prostu z panią porozmawiać. O wpół do ósmej, zaraz po kolacji, będzie czekał na panią osiodłany koń. Oczywiście będę pani towarzyszył. Lady Charlotte i tak już oświadczyła, że zje kolację u siebie.

Mimo wszystko nie do końca uwierzyła Josephowi. Kapitan będzie chciał wiedzieć, co znalazła.

- Ale jakim sposobem ty będziesz mógł opuścić dom, Josephie?

- Na wieczór mam wychodne.

Powoli kiwnęła głową i westchnęła, aby opanować zdenerwowanie.

Przy wieczornym posiłku ledwie była w stanie coś przełknąć. Na szczęście panna Pringle czuła tak wielką ulgę z powodu nieobecności lady Charlotte, że nic nie zauważyła. Nie odezwała się ani słowem, gdy Ellie szybko wstała od stołu i pobiegła na górę włożyć pelerynę.

Joseph czekał już przy stajniach. Zadbał, by nikt ich nie widział.

- Służba nie spieszy się z kolacją - wyjaśnił - a do tego ma chwilę spokoju, bo lady jest niedysponowana.

Niedługo jechali stępem w ciemności, w stronę cypla, gdzie stał dom Luke'a, Higham House. Od przodu wydał się Ellie ponury i niegościnnie, lecz kiedy objechali go z Josephem od tyłu, zobaczyła, że na dziedzińcu i w środku palą się światła.

Joseph zsiadł pierwszy i przytrzymał jej kuca, gdy zsuwała się z damskiego siodła.

- Dobrze pani jeździ - rzekł z podziwem.

Nie odpowiedziała. Musiała się nauczyć wielu rzeczy, żeby ocalić życie.

Joseph uwiązał oba konie i zapukał do tylnych drzwi. Otworzyła je kobieta w średnim wieku, gospodyni Luke'a, którą Ellie już wcześniej widziała.

- Joseph, nie ma z tobą nikogo? Olaboga!

Tuż za nią stanął kapitan.

- Ellie - powiedział jak zwykle spokojnym tonem. - Wejdz, proszę.

Luke Danbury poprowadził ją do przestronnej jadalni, którą niemal w całości zadawał się wypełniać ogromny, stary, dębowy stół oraz solidne krzesła i ławy.

- Chciałeś się ze mną widzieć - zaczęła. - Na pewno już wiesz, że udało mi się dostać do biblioteki lorda Franklina...

Powstrzymał ją uniesioną dłonią.

- Wiem - odparł. - Zaraz o tym porozmawiamy. Ale... Ellie, mam jeszcze jedną sprawę. Musisz mi w czymś pomóc.

Spojrzał na nią takim wzrokiem, że od razu zaparło jej dech w piersiach. W przeciwieństwie do lorda Franklina, nosił białą koszulę z lnu, nie z delikatnego batystu, spodnie ze znoszonej koziej skóry, a jego skórzane buty nigdy nie zaznały czulej ręki lokaja.

Przypomniała sobie, co mówiła Mary. Często sam chodził na pola i pomagał przy stryżeniu owiec i przy żniwach, przez co inni ziemianie krzywo na niego patrzyli.

Zazdrozczą mu, pomyślała. Chcieliby mieć tyle determinacji i uporów, co on. A tymczasem prosi ją o pomoc...

Wyszedł do holu, by po chwili wrócić w towarzystwie młodej kobiety z dwuletnim dzieckiem na rękach.

- Chciałbym, abyś poznała pewne dwie osoby.

- *Maman* - usłyszała szept dziecka. Trzymało kobietę mocno za szyję. - *Maman...*

Ellie zauważyła, że chłopczyk ma niebieskie oczy i ciemne włosy, tak jak Luke. Przez chwilę czuła tak ostre ukłucie zazdrości, że ledwie była w stanie oddychać.

Młoda kobieta ścisnęła dziecko w objęciach, mruczając coś do niego uspokajająco po francusku, choć po policzkach płynęły jej łzy.

- Już dobrze. Mój malutki. Już.

- Ellie - odezwał się Luke. Zorientowała się, że jego dłoń spoczywa na jej ramieniu. - To jest Monique, a to jej synek, Harry. Monique mówi tylko po francusku. Niedawno odbyła bardzo długą i męczącą podróż i nie czuje się dobrze.

Ellie skinęła głową, choć wciąż była zdezorientowana.

- Przede wszystkim jednak boi się o dziecko. Mogłabyś z nią porozmawiać?

- To dlatego mnie tu dziś wezwalesz? Nie chodziło o bibliotekę lorda Franklina? - spytała niemal szeptem.

- Z tym możemy chwilę poczekać - odparł, a po chwili oznajmił: - To żona mojego brata i jego dziecko.

Ellie ogarnęła falą emocji - litość, współczucie i ponad wszystko ulga.

- *Mademoiselle?* - odezwała się z wahaniem Monique po francusku. - Pani jest z Paryża? Mówi pani po francusku? *Mademoiselle*, proszę mi pomóc...

Po policzkach Monique wciąż płynęły łzy. Gdy Ellie odezwała się do niej płynną francuszczyzną, odetchnęła z ulgą.

Jakże jest piękna, pomyślał Luke, zerkając na Ellie. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Jej serdeczne słowa tymczasem wzbudziły u Harry'ego uśmiech mimo łez; wyciągnął pulchną piąstkę, by włożyć ją w jej dłoń.

Ellie była ubrana jak zwykle, czyli w rzeczy znoszone i za duże na jej drobną figurę, a długie czarne włosy związała w kucyk zwykłą tasiemką. Wyglądała schludnie, włosy miała lśniące, ale nie było w niej ani odrobiny próżności. Luke przypomniał sobie Caroline Fawley i inne kobiety z towarzystwa, aż nadto

świadome własnych atutów.

Ellie była odważna, a zarazem tak niewinna i bezbronna. Nie miała pojęcia o pożądaniu... Będzie musiał dopilnować, żeby w niej go nie rozbudzić. W łagodnym blasku świec, gdy szeptała coś po francusku do Monique, wyglądała naprawdę zachwycająco pięknie.

A jej usta smakowały tak słodko...

Stłumił wspomnienie pocałunku w ośnieżonym ogrodzie, starając się dostrzec w Ellie dzielną kobietę opiekującą się każdym, kto znajdzie się w potrzebie.

A jej kto dodawał otuchy, pomyślał gorzko, kto ją pocieszał po śmierci ojca? Kto złagodził jej lęki, kiedy przybyła do Anglii – zupełnie obcego kraju? Kto zapewnił odrobinę ludzkiego ciepła dziewczynie, która straciła rodzinę i dom?

A jaką rolę w tym wszystkim odgrywał on sam? Zarzucał ją kolejnymi groźbami, nie okazując ani odrobiny litości.

Podeszła teraz do niego, spokojna i pełna wdzięku. Poczuł nagły przypływ pożądania; nigdy niczego tak nie pragnął, jak wziąć ją w ramiona, scałować cienie smutku, tę bolesną pamiętkę po stracie najbliższych, którą chciała ukryć.

Napomniał się gniewnie w duchu. Masz trzymać się od niej z daleka.

- Monique mówi, że przyjechali do ciebie się schronić - powiedziała.

- Pewnie zdziwiło cię to bardziej niż inne rzeczy, które dotąd o mnie słyszałaś...

Nieznacznie pokręciła głową.

- Powiedziała, że czuje się tu bezpieczna. Ale jest bardzo zmęczona po podróży z *monsieur* Jacques'em.

- Mieli bardzo ciężką podróż. Brytyjskiego wybrzeża pilnowały liczne okręty, oboje cierpieli na chorobę morską. Pani Bartlett zrobiła dla nich wszystko co w jej mocy, ale dziecko wciąż nie chce nic jeść.

- To właśnie mi mówiła, ale może jej wyjaśnisz, że Harry nie lubi mleka i masła? Niech mu przygotuje na przykład suchą grzanekę i trochę zupy. Monique będzie bardzo wdzięczna.

Luke westchnął z ulgą.

- Oczywiście. Biedna pani Bartlett zamartwiała się na śmierć, co ma temu dziecku podać. A ja trochę rozumiem francuski, ale jeśli chodzi o żywienie dzieci, mam poważne luki w słownictwie. Dziękuję ci, Ellie.

- *Pas de quoi* - odrzekła łagodnie. - Nie ma za co.

- Przeciwnie. Zaprowadzę Monique i Harry'ego do pani Bartlett i wszystko wyjaśnię. Ona sama odchowała czwórkę własnych dzieci, ma wiele wnuków, więc od razu będzie wiedziała, o co chodzi. A potem wrócę. Swoją drogą, Ellie, musisz wrócić do Bircham, zanim zauważą, że cię nie ma.

Postąpiła krok naprzód, z determinacją na twarzy.

- Nie, Luke... Muszę ci coś powiedzieć. Joseph dzisiaj pomógł mi się dostać do biblioteki lorda Franklina...

Zawahał się, a potem wskazał fotel przy kominku.

- Usiądź, proszę - zaproponował. - Wrócę najszybciej, jak będę mógł.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Kiedy Luke wyszedł, w pokoju zrobiło się bardzo cicho. Ellie siedziała i wpatrywała się w ogień. Wcześniej miała go za wroga – tym groźniejszego, że wywierał na nią wpływ. Teraz jednak bardzo chciała mu pomóc.

Czyżby oszalała? Czy rzucił na nią jakiś czar? – zapytała zaraz samą siebie. Przecież zaparło jej dech, gdy nagle pojawił się na drodze do Bircham. Wszystkie instynkty podpowiadały jej wtedy, że oto ma przed sobą najgroźniejszego człowieka, jakiego w życiu spotkała.

Niemniej jednak Monique powiedziała, że czuje się przy nim bezpieczna.

Teraz wrócił, w drzwiach zamajaczył jego cień. Złapała się na tym, że gdy przysuwał drugi fotel do kominka, wstrzymała oddech. Wiedziała, że przede wszystkim musi walczyć z nagłą, rozpaczliwą chęcią, by mu zaufać. Z pragnieniem, by jeszcze raz znaleźć się w jego silnych ramionach.

Usiadł naprzeciwko i się uśmiechnął. Ach, ten uśmiech. Ogarnęło ją miłe ciepło, przypomniał jej się smak jego ust...

- Pani Bartlett – rzekł – z zapałem przygotowuje grzanki i zupę w takiej ilości, że starczyłoby dla pułku żołnierzy. Ellie, muszę ci znów podziękować.

- Mówiłam, nie ma za co, Luke. Czy Monique i Harry długo pozostaną u ciebie?

- Jak długo zechcą – odparł z prostotą. – Przez wzgląd na mojego brata zrobię dla nich wszystko.

- Oczywiście. – Splotła dłonie na kolanach. – Bardzo się cieszę, że byłam w stanie pomóc. Ale bardzo zależy mi na rozmowie z tobą.

- Chodzi o bibliotekę lorda Franklina...

- Tak! Jak prosisz, dostałam się do biblioteki. Nie byłam w stanie niczego ci przynieść, ale jest coś, o czym musisz wie-

dzieć...

Podniósł się i zrobił kilka kroków, przyciskając dłoń do skroni. Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczony. Zaczęła się zastanawiać, czy przez ostatnie kilka nocy w ogóle spał.

- Nie miałem prawa wymagać tego od ciebie - wyznał z goryczą w głosie. - Naraziłem cię na niebezpieczeństwo.

- Jakie niebezpieczeństwo, Luke?

- Marzniesz. Cała się trzęsiesz. Zaczekaj. Dorzucę tylko do ognia.

- Nic mi nie jest! Posłuchaj mnie, proszę.

- Zaraz.

Podszedł do kosza z drewnem, żeby lewą ręką cisnąć nowe polano do ognia, a potem - jako że sturlało się i spadło - prawą dłonią wziął leżący obok ciężki żelazny pogrzebacz.

Nagle upuścił go, a metal z głośnym brzękiem upadł na kamienną płytę przed kominkiem. Zacisnął prawą dłoń w pięść i uderzył w nią lewą. Na jego twarzy odbiła się złość.

Popiół i nadpalone węgle rozsypały się przed kominkiem. Ellie, zauważywszy szczotkę i szufelkę, pospieszyła, żeby je sprzątnąć.

Omal nie odepchnął jej na bok.

- Nie trzeba. Zaraz to zrobię.

- Ja to zrobię! - Nie ustąpiła. - Proszę.

Nie czekając na odpowiedź, uklękła i zaczęła zmiatać węgle sprzed ognia. Żar zapiekł ją w policzki, poczuła napierającą na oczy falę niewypłakanych łez. Zastanawiała się, jak się czuje tak silny, dumny człowiek jak on, świadomy swej ułomności.

- Jak sobie zraniłeś rękę, Luke? W bitwie? - zapytała pewnym głosem.

Zaśmiał się gorzko.

- W bitwie? Nie... Chociaż pewnie byłoby mi łatwiej to wszystko wytrzymać.

Czyli jak? - zastanawiała się. W bójce?

Powoli wstała.

- Miałeś szczęście, że nie straciłeś całej dłoni.

- Żadna różnica - odparł - i tak się do niczego nie nadaje. Jestem pewien, że z pistoletu strzelasz o wiele lepiej niż ja. Nigdy

się dobrze nie nauczyłem robić tego lewą ręką.

Zsypała węgle do ognia i usadowiła się z powrotem na fotelu, składając ręce na kolanach.

Zawsze tak robi, pomyślał nagle Luke. Zawsze. Stara się wyglądać na wstydliwą guwernantkę, jakby nie miała trudnej przeszłości ani sekretów; a przecież jej ojciec współpracował z Napoleonem, przez co teraz znalazła się między młotem a kowadłem, czyli między nim a lordem Franklinem. Trudno było powiedzieć, który z nich jest dla niej groźniejszy.

Z westchnieniem usiadł naprzeciw niej.

- Ellie, kto cię nauczył strzelać?
- Ojciec, kiedy miałam siedemnaście lat.
- Po co?
- Żebym mogła się obronić.

Oczywiście, pomyślał Luke. Głupie pytanie. Zapomniał, jak wiele przeszła.

- Ile masz teraz lat?

Mocno ścisnęła dłonie.

- Dziewiętnaście - odparła w końcu.
- Wiesz, w Londynie większość panien w twoim wieku nie zaprzęta sobie głowy niczym poza marzeniami o pięknych sukniach balowych i partnerach do tańca. Nie zazdrościsz im?

Dostrzegł, że kostki jej palców zbieleły.

- Ani trochę - odpowiedziała spokojnym głosem.
- Czy ty w ogóle komukolwiek mówisz, co naprawdę czujesz?
- Jeśli nie muszę, to nie.
- A czy komuś ufasz?

Uniosła wzrok.

- A ty byś ufał, gdybyś był na moim miejscu?
- Nie - odpowiedział cicho. - Byłem okrutny, że cię zmusiłem do przeszukiwania biblioteki lorda Franklina.

Zawahała się na chwilę.

- A jakbym ci powiedziała, że chciałam to dla ciebie zrobić?

Wstał i podszedł do okna. Co ja narobiłem? - pomyślał. Sprawiliem, że mi zaufała...

- Och, Ellie... Kiedy pomyślę o tym, co się mogło stać...
- A ty, Luke, zastanawiałeś się nad tym, kiedy... mnie do tego

zmusiłeś?

- Nie - odrzekł szorstko. - I masz rację, że mnie winisz. Chciałem tylko ujawnić, jak wielką niesprawiedliwość wyrządzono mojemu bratu i jego towarzyszom. To powinno dawno wyjść na jaw. Ale nie miałem prawa ciebie w to mieszać.

Nagle coś sobie uzmysłowiła. Dla świata to Luke był łotrem, a lord Franklin szlachetnym rycerzem w lśniącej zbroi, który wybawił Ellie od nędzy w Brukseli. Tymczasem to lord Franklin kłamał. Od samego początku ją zwodził. Przypomniała sobie, z jaką niechęcią, wręcz ze strachem, mówił o nim lord Franklin.

- Nie cierpicie się, prawda? - spytała cicho. - Dlaczego?

Zauważyła, że zacisnął lewą dłoń.

- To długa historia. Ale podejrzewam, jakie mógł mieć motyw, żeby sprowadzić cię do Anglii. I przysięgam, że gdybyś kiedykolwiek potrzebowała mojej pomocy, zrobię wszystko, co będę mógł. - Przybliżył się. - A teraz, jeśli możesz, powiedz mi szybko, co znalazłaś w bibliotece. Potem muszę cię natychmiast odwieźć do domu.

- I myślisz, że tam będę bezpieczna? - przerwała z niedowierzaniem w głosie.

- Bezpieczniejsza niż tutaj - odparł ponuro. - Uwierz mi, lepiej będzie ci tam niż tutaj.

Naraz drzwi otworzyły się gwałtownie i wbiegł Tom.

- Panie kapitanie, Josh widział żołnierzy! - wysapał. - Angielski patrol w czerwonych mundurach wspina się ścieżką od stromy Bircham Staithe. Idą prosto w stronę domu!

- Jesteś pewien? - spytał Luke.

- W stu procentach. Doszły ich plotki, że zeszłej nocy wylądowali tu jacyś Francuzi. Już przepytali rybaków w porcie i przysięgali, że przeszukają każde gospodarstwo i każdy dom w okolicy, a zwłaszcza ten!

Luke znów musiał szybko podjąć bardzo ważną decyzję.

- Postaw wszystkich na nogi - rozkazał. - Niech wszyscy nasi ludzie tu przyjdą, a z piwnicy wyciągnij beczkę piwa. Na stoły daj karty i kości, będziemy udawać, że pijemy i gramy.

- A goście, panie kapitanie? - Tom zerknął z niepokojem na Ellie. - Oprócz tej tutaj młodej dziewczyny ma pan na górze ko-

bietę z małym. Jeśli czerwoni przeszukają dom i ich znajdą...

- Już ja zadbam, żeby obie były bezpieczne. Idź już. Dopilnuj, żeby wszyscy wiedzieli, co mają robić. - Luke zwrócił się z powrotem do Ellie. - Słyszałaś, co mówił Tom? Przykro mi, ale to znaczy, że jeszcze nie możesz wrócić do Bircham Hall.

Zerwała się na równe nogi.

- Ale moja pokojowa zauważy, że mnie nie ma!

- Wyślę tam posłańca z wiadomością.

- Do Josepha? Ale co on robi? Nie pozwoli Mary wejść do mojego pokoju? Jak?

- Młodsza siostra Josepha, Sarah, jest tam pokojówką. Powie Mary, że już się tobą zajęła.

Ellie znieruchomiała.

- Luke, ilu szpiegów masz w Bircham Hall?

Nie odpowiedział.

- Czyli zostają tutaj. - Ellie zamknęła oczy i westchnęła. - Jak myślisz, ile to wszystko potrwa?

- Nie mam pojęcia. - Przeczesał lewą dłonią włosy. - Ale uwierz mi, proszę, że szczerze boleję nad tym, że przeze mnie znalazłaś się w takim położeniu. Daję ci słowo, że zrobię wszystko, aby nikt cię nie znalazł.

- To nie o to chodzi! - Postąpiła ku niemu, z oczami rozszerzonymi ze złości. - Ja się nie boję! Ja już miałam do czynienia z żołnierzami. Wiem, co robić, kiedy mnie ścigają. Ale... Luke... - Przypomniałam sobie coś, co powiedział lord Franklin, kiedy był w Bircham Hall. Powinnam była wcześniej sobie przypomnieć i od razu ci powiedzieć.

Zesztywniał.

- Coś, co powiedział lord Franklin?

- Tak! Słyszałam, jak mówi do swojego stewarda: „Nie możemy tolerować Danbury’ego na wolności, szczególnie w obecnych okolicznościach. Trzeba coś z tym zrobić...”. Sam oczywiście wiele dni temu wyjechał z Bircham Hall, ale to i tak może być jego sprawka. - Nerwowo zaciskała palce.

- Ellie, przestań! - powiedział z naciskiem. - Czemu niby miałybyś mi być winna jakąkolwiek lojalność?

Wzięła głęboki oddech.

- Wiesz, mój ojciec mawiał, że mam instynkt... że wyczuwam sprawiedliwość i prawdę. I że mam to po nim.

- Chyba nie próbujesz mi powiedzieć... że mi ufasz?

- Po prostu ubolewam nad tym, że cię nie ostrzegłam. A co z Monique i Harrym? Coś im grozi, jeśli ich znajdą? Czy tobie coś grozi?

Była aż blada z niepokoju. Niewiarygodne, że stał się tak drogi.

- To się zdarza - skłamał. Owszem, zdarzały się im niekiedy wizyty celników, ale nigdy czerwonych kurtek. - Gdybyśmy wiedzieli wcześniej, nic by to nie zmieniło. I tak w żaden sposób byśmy ich nie powstrzymali. Ale możliwe, że będą chcieli przeszukać dom.

Ellie słuchała w skupieniu.

- A mają prawo to zrobić?

- Oni zawsze mają prawo. Niestety, tak jest. Ale nie mogą znaleźć ani Monique i Harry'ego, ani ciebie. Ellie, chcę żebyś coś dla mnie zrobiła.

Kiwnęła głową.

- Mów.

- Zejdź do piwnicy. Tam zobaczysz wejście w podłódze, które można zamaskować... Schowajcie się tam, a żołnierze was nie znajdą... Musicie jak najszybciej tam pójść. Monique i Harry będą się bać, dlatego udaj się z nimi. Będziesz ich uspokajać. - Spojrzał jej w oczy. - Wiem. Nie mam prawa domagać się od ciebie pomocy. Ale zrobisz to dla nich?

Nie wahała się.

- Oczywiście. Ale co będzie z tobą, Luke? Co ty zrobisz?

- Tym się nie przejmuj. Poradzę sobie. Wyjdę, żeby zobaczyć, co się dzieje, a Tom się tymczasem zajmie wami. Tom?

Jego pomocnik wrócił do pokoju.

- Tak, panie kapitanie?

- Zaprowadź Ellie z Monique i Harrym do piwnic. Zaraz wrócę.

Ellie dotknęła jego ramienia.

- Luke?

- Tak?

- Uważaj na siebie - szepnęła.

Luke odprowadzał ją wzrokiem.

Nie wolno ci myśleć o jej pełnych ustach, napominał się w duchu. Nie wolno ci myśleć o krągłościach, skrytych pod tą brzydką starą suknią...

- Ellie! - zawołał. Odwróciła się, a on rzucił jej przelotny uśmiech. - Będę na siebie uważał - powiedział. - Ale ty też uważaj. Słyszysz, mała Francuzeczko?

- *Je vous entends, mon Capitaine* - szepnęła. - Słyszę, mój kapitanie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Monique już była w holu, ze śpiącym dzieckiem w ramionach. Podeszła do Ellie z przerażoną miną.

- *Oh, mademoiselle, j'ai peur...*

- Proszę się nie bać - uspokoiła ją Ellie. - Luke się tobą opiekuje.

- Proszę tędy, panienko! - polecił Tom. - Spokojnie, ja poniosę małego.

Monique, nie rozumiejąc, cofnęła się przerażona, gdy wyciągnął rękę po dziecko.

- Wszystko w porządku - wtrąciła pospiesznie Ellie. - Możesz ufać Tomowi.

Tom dał Ellie lampę do potrzymania i kiwnął głową, żeby zeszły za nim kamiennymi schodami. Z początku szli przez piwnice, tak jak tłumaczył Luke, a potem Tom oddał Harry'ego z powrotem Monique i zaczął przesuwając stos drewnianych skrzynek maskujących niskie drzwiczki. Otworzywszy je, powiedział Ellie, żeby poświeciła do środka lampą. Ukazała się kolejna, nisko sklepiona piwnica, zaopatrzona w liczne koce i łożówki.

Ellie zalały wspomnienia z podobnych kryjówek. Z zaszczurzonej stodoły, gdzie ukryli się na górze, podczas gdy rolnik z synami przeszukiwał całe obejście. Z piwnicy, do której się wczolgali, pod domem w okolicach Lille, gdy na górze tupali żołnierze, a ona bała się, że kaszel ojca w każdej chwili może ich zdradzić.

Zmusiła się do opanowania, bo drżąca ze strachu Monique rozglądała się dokoła.

- *Mademoiselle*, czy naprawdę musimy siedzieć tu na dole? - spytała szeptem.

- Tu będziecie bezpieczni. I dla dobra dziecka musisz zachować spokój - powiedziała Ellie.

Harry zaczął kwilić w jej objęciach, a Tom spojrzał na dziecko

z obawą.

- Panienko, muszę już wracać do kapitana - oznajmił. - Aha, prosił, żebym pani to dał...

Wręczył jej pistolet. *Dieu*, pomyślała nerwowo Ellie i wsunęła broń do kieszeni, zanim zauważyła ją Monique. Jak długo będą się musieli ukrywać? Godzinę, dwie? Może całą noc? Ale jeśli Harry się rozplacze i usłyszą go żołnierze, najprawdopodobniej nie posiedzą tu długo, od razu zostaną zabrani do więzienia.

Tom poszedł, a Monique nie udawało się uspokoić własnego dziecka.

- Mogę, *madame*? - Ellie delikatnie wzięła od niej Harry'ego i spróbowała sobie przypomnieć jakąś mamina kołysankę z dzieciństwa.

*Ah! Dis moi donc bergère,
A qui sont ces moutons?*

Gdy zaśpiewała, Harry zaczął się uśmiechać. Ellie chodziła w kółko, cały czas cicho nucąc, póki nie zobaczyła, że malcowi nie opadają powieki. Wkrótce potem zasnął. Wymamrotała „dzięki Bogu” i szepnęła do Monique:

- Proszę, *madame*. Niech mu pani pościele w samym rogu.

Monique szybko to zrobiła, a Ellie jak najostrożniej ułożyła dziecko na zaimprovizowanym pościeliu. Harry cichutko westchnął, a potem z zadowoleniem zapadł w głęboki sen.

Monique pochyliła się, aby go ucałować, a kiedy się wyprostowała, Ellie zobaczyła w jej oczach łzy.

- Mój mąż, Anthony... - głos jej się załamał - ...mówił, że Harry i ja jesteśmy dla niego wszystkim. I zawsze mówił... że...

- Och, *madame*... - Ellie ogarnęło współczucie. - Proszę usiąść. O tutaj, ze mną. - Rozłożyła koc na kamiennej półce, a potem wzięła Monique za rękę i usiadły razem, tuż obok Harry'ego.

Monique załkała.

- Anthony ciągle mi powtarzał: „Kochanie, gdyby coś mi się stało, musisz zawieźć Harry'ego do Anglii, do mojego brata Luke'a”. - Uniosła wzrok i spojrzała na Ellie. - I stało się naj-

gorsze. Anthony zniknął. Straciłam go...

Ellie mocno ścisnęła jej dłoń.

- Jeśli męczy panią opowiadanie o tym...

- Nie! Nie! Chcę o nim mówić! Kiedy mówię, czuję, jak budzi się we mnie nadzieja... czy pani rozumie?

Ellie skinęła głową. Monique wzięła głęboki oddech.

- Poznaliśmy się trzy lata temu, gdy Anthony przebywał we Francji. Latem się pobraliśmy. Anthony był odważny. Zanadto odważny. Ciągłe narażał się na niebezpieczeństwo. „Jedź do Luke’a”, powtarzał... - Głos znów jej się załamał.

- I uczyniła pani tak, jak powiedział - rzekła Ellie. - Anthony miał rację, Luke zapewni pani bezpieczeństwo, jestem o tym głęboko przekonana. Ale co się stało z pani mężem? Przecież służył w brytyjskim wojsku, prawda?

Monique patrzyła na nią udręczonym wzrokiem.

- Tak, był w brytyjskim wojsku. Ale go zdradzili. Był najodważniejszym człowiekiem na świecie, ale nawet on nie był w stanie uratować *Les Braves*.

- *Les Braves* - powtórzyła Ellie. Śmiałkowie. List w bibliotece lorda Franklina. „Sugeruję, abyśmy nadal przekazywali polecenia grupie znanej jako *Les Braves*...”.

- Tak właśnie się nazwali. Śmiali się z ryzyka, lekceważyli śmierć, ale byli prawdziwymi bohaterami... Zginęli przez zdradę... Och, jestem taka zmęczona... Okropnie zmęczona...

Ellie delikatnie owinęła ją kocem, a Monique oparła się z westchnieniem o ścianę, zamykając oczy. Ellie siedziała obok. Z emocji kręciło jej się w głowie.

Monique i Harry spali. Mijały minuty. Ellie czuwała z pistoletem w kieszeni. Szybko zerwała się na nogi, gdy wydało jej się, że słyszy na górze ciężkie kroki i trzaskanie drzwiami, a potem burkliwe, pytające głosy. Pospiesznie zgasiła jedyną lampę i poczuła, że serce wali jej w piersi jak oszalałe. Jeśli oni tu zejda i nas znajdą, to koniec, pomyślała, a po krótkiej chwili ponownie nastąpiła cisza. Usiadła i spróbowała się rozluźnić, ale natychmiast zerwała się z powrotem, słysząc, jak otwierają się niskie drzwi. Pistolet wciąż miała w dłoni w gotowości. Monique

też się zbudziła i wstała, szepcząc po francusku: „Boże dopomóż...”.

To był Tom.

- Panienko, możecie już wyjść.

- Poszli? - zapytała szybko Ellie i podała mu pistolet.

- Poszli - mruknął Tom. - Ale pobili pana kapitana, padalce.

- Dlaczego?

- Nie pozwolił im przeszukać domu. Ich dowódca kazał mu zamknąć gębę, a żołnierze i tak się rozejrzeli. Nie znaleźli oczywiście nic podejrzanego i dlatego się wściekli. Więc po wszystkim wywlekli go na dwór na przesłuchanie. - Nachmurzył się jeszcze bardziej. - Tak to nazwali. Ale ja wszystko słyszałem i po prostu drwili z niego, że wystąpił z armii. I wyśmiewali się z jego brata...

Ellie ze złości zacisnęła pięści.

- A on musiał to w milczeniu znosić?

- Nie musiał, proszę pani. Paru powaliłby od razu, potem my byśmy pomogli... Byłem z panem kapitanem na wojnie w Hiszpanii i bardzo ciężko jest wytrzymać, kiedy przyjaciela obrzucają błotem. On jednak nakazał nam, Wattersonom i mnie, żebyśmy się trzymali z daleka. „Chłopak, nie warto”, powiedział. I oczywiście miał rację. A jeszcze powiem pani jedną rzecz. Mówią o nim tyle strasznych rzeczy, a tymczasem kapitan Luke Danbury to dobry i dzielny człowiek. Ze świecą takiego szukać w całym tym kraju!

Ellie stała jak rażona gromem. To dlaczego ma tak zawziętych wrogów? - zapytała się myślach.

- Czy ta Francuzka i mały są cali i zdrowi? - zapytał w końcu, omiatając piwnicę światłem lampy.

- Mają się dobrze - odparła Ellie. - Sam widzisz. - Zauważyła, że Monique już wzięła śpiącego Harry'ego na ręce. - Ale powinni wrócić do łóżka. Przespać się w ciepłym i wygodnym miejscu.

- Oczywiście. Kapitan Danbury czeka już na panią w jadalni.

Gdy wyszli z piwnicy, pani Bartlett zajęła się Monique i Harrym jak kwoka kurczętami.

A teraz, pomyślała Ellie, najwyższa pora zmusić Luke'a, żeby mi wszystko powiedział.

Stał plecami do niej i patrzył w ogień. Musiał usłyszeć jej kroki, bo powoli się odwrócił. Zobaczyła fioletowy siniak na jego policzku.

Podszedł ku niej, jakby zupełnie nic się nie stało.

- Domyślam się - powiedział - że dzięki twojej opiece Monique i dziecko są cali i spokojni. Jestem ci niezmiernie wdzięczny.

Pokręciła głową, a serce tłukło jej się o żebra.

- Luke... Jakie to wszystko okropne! Gdybym tylko cię wcześniej ostrzegła...

Był teraz tak blisko, że mógł jej dotknąć. Patrzyła na niego niewidzącymi oczami. Ta twarz. Pociągła, nieogolona... i taka przystojna.

- Ellie, powtórzę to jeszcze raz - odparł. - Naprawdę nie sądzę, że to by cokolwiek zmieniło. I tak nie byłbym w stanie powstrzymać przeszukania domu.

- Pewnie nie - przyznała. - Ale czego oni właściwie szukali?

Patrzył jej prosto w oczy.

- Mówiłem ci. Ktoś rozpuścił plotkę, że wylądowali tu Francuzi, i przyjechali to sprawdzić. Zresztą w tej części wybrzeża ciągle słyszy się o przemytnikach i cudzoziemcach.

Nie udało mu się jej zwieść pozornie beztroskim tonem.

- Więc dlaczego rzucili się na ciebie? Tom mi wszystko powiedział. Twoja twarz...

- To moja wina. Prowokowałem ich.

Na jego ustach pojawił się uśmiech, lecz Ellie go nie odwzajemniła.

- Luke... Myślisz, że lord Franklin miał z tym coś wspólnego?

Na te słowa odwrócił się raptownie.

- Ellie, co ty o nim właściwie wiesz? Cały świat uważa, że jest twoim opiekunem, że wybawił cię od nędzy i bezdomności...

- Jak to, nie pamiętasz, że od niego uciekłam, chociaż kazałeś mi wracać? - wykrzyknęła. - Nigdy w życiu mu nie ufałam! I nie jest żadnym moim krewnym! Od początku to podejrzewałeś, prawda, Luke?

- Przyszło mi to do głowy - powiedział po dłuższej chwili. - Ale tobie udało się to potwierdzić? Jak?

Wzruszyła ramionami.

- Po prostu podsłuchałam jego rozmowę.

- Podsłuchałaś?

- Przypadkiem usłyszałam, co mówił matce, tej budzącej postrach lady Charlotte. A swoją drogą wiedziałeś, że lady chodzi? Luke uniósł brwi w zdumieniu.

- Nie! Co za aktorka! Zależy jej, żeby wszyscy się nad nią trzęśli. Powiedz mi, co usłyszałaś... O czym rozmawiała z lordem?

- Rozmowa była krótka i konkretna. Powiedział jej, że nigdy nie mogę się dowiedzieć, że mnie okłamał.

Podszedł do niej, a jej serce zadrżało, bo nagle zapragnęła wtulić się w jego silne, ciepłe ciało. Nie mogła tego jednak zrobić. Musiała być silna.

- Masz rację - wyznał. - Od początku coś podejrzewałem. A ty, Ellie, potrzebujesz pomocy, rady kogoś doświadczonego. Lord Franklin to bardzo wpływowy człowiek.

- Owszem. Ma potężnych przyjaciół i liczne tajemnice. Od razu wiedziałam, że coś jest nie tak, kiedy się zorientowałam, że w Londynie ktoś przeszukał mój pokój.

- Jak to przeszukał?

- Tak po prostu. Co prawda niczego nie zabrał i wszystko starannie ułożył, ale przepatrzył wszystko.

Kiwnął głową, marszcząc czoło.

- Czy jest jeszcze ktoś w Anglii, do kogo mogłabyś się zwrócić? - zapytał. - Ktoś, kto mógłby ci pomóc?

Szeroko otworzyła oczy.

- W Londynie nikogo nie poznałam. Lord Franklin o to zadbał. Zresztą kto by mnie słuchał? Kto by mi uwierzył, gdybym próbowała oskarżać o cokolwiek człowieka tak wpływowego jak on?

- Ja. Ja bym cię posłuchał.

Powiedział to tak poważnym tonem, że oddech uwiązł jej w gardle.

Naraz drzwi otworzyły się i wszedł Tom.

- Jedno słowo, panie kapitanie.

Ellie patrzyła za wychodzącym Lukiem, czując wyrzuty sumie-

nia. Towarzystwo pogardzało nim, zresztą i on sam nie próbował odgrywać dżentelmena. Tymczasem stanowił wzór cnót honoru i moralności.

Gdy w pokoju zamigotał łagodny blask łożówek, usiadła przy wielkim stole i ukryła twarz w dłoniach. W Paryżu była niewinnym dzieckiem trzymanym pod kloszem, bezpiecznym i szczęśliwym pod osłoną rodzicielskiej miłości. Gdy przyszedł wiek, w którym dziewczęta zaczynają myśleć o strojach i flirtach, zaprzęgnięta była opieką nad chorą matką, a potem, po pogrzebie, razem z ojcem uciekali nocą i ukrywali się za dnia.

Jeśli podczas tych okropnych miesięcy miała w ogóle czas zastanawiać się nad własnym wyglądem, to tylko po to, aby sprawdzić, czy na pewno nie zwraca na siebie uwagi.

„Ellie, tak mi cię żal”, mówił ze smutkiem ojciec, patrząc na jej znoszone od licznych podróży ubrania. „Powinnaś cieszyć się życiem, spędzać czas z przyjaciółmi i na zabawie. Pozostaje mi mieć nadzieję, że pewnego dnia, gdy nasza ucieczka dobiegnie końca, znajdziesz mężczyznę, który pokocha cię tak, jak ja kochałem twoją matkę”.

Przerywała mu, tuląc go i mówiąc w kółko: „Tatusiu, jak się cieszę, że mam ciebie. Nie potrzebuję nikogo innego”.

Przynajmniej tak jej się wtedy wydawało. A teraz? Wystarczało, że Luke wszedł do pokoju, by czuć, że pragnie od niego czegoś, czego nigdy od nikogo innego nie chciała. I bała się, że on się tego domyśla.

Usłyszała na korytarzu kroki i wielkim wysiłkiem zebrała myśli, a następnie sięgnęła po leżącą na stole otwartą książkę.

I znów serce rozerwały jej bolesne wspomnienia. Miała bowiem przed oczami atlas astronomiczny, dokładnie taki, jaki miał jej ojciec. Patrzyła niewidzącym wzrokiem na stronicę, przytłoczona falą emocji. Niemal nie zauważyła, że Luke przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej.

Głupcze, powinieneś ją natychmiast odesłać, mówił sam sobie Luke. Lodowaty głos sumienia napominał go boleśnie, jak nigdy dotąd.

Ellie Duchamp, odważna, bezbronna i samotna, była chyba najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu widział. Wydawała się

nieświadoma własnej urody. Czyżby żaden mężczyzna jej nie powiedział, że ma wspaniałą figurę i piękną twarz, o której większość mężczyzn może tylko śnić? W dodatku, wiodąc niewyobrażalnie trudne życie, zachowała prawość i uczciwość.

Stłumił gwałtownie narastające pożądanie i spojrzał w atlas astronomiczny. Był otwarty na Orionie.

- Ta książka należała do mojego brata - powiedział cicho. - Anthony uwielbiał niebo i znał się na nim. A ty wiesz coś o gwiazdach, Ellie?

- Mój tata... - zaczęła i głos jej się załamał. - Mój tata znał się na gwiazdach...

W jej oczach zalsniły łzy. Starła się je otrzeć tak, aby nic nie zauważył.

- Ellie... - wyszeptał. - Tak mi przykro, że cię w to wszystko wplątałem. Przepraszam cię za to, co się stało.

- Nie... - Odłożyła gwałtownie atlas i wstała, omal nie przewracając krzesła. - Nic z tego, co mi się przydarzyło, nie było twoją winą. To ja za wszystko odpowiadam. Rozumiesz? Byłam tak naiwna, że w pewien sposób zaufałam lordowi Franklinowi. Popełniłam tyle błędów...

Luke zmełł w ustach przekleństwo. Stanęła plecami do niego, patrząc przez okno na nocne niebo nad morzem. Czyżby wypatrywała tych samych zimowych gwiazdozbiorów, które tak podobały się Anthony'emu?

Czuł potrzebę, by ją przed wszystkim ochronić. I nie tylko.

Najlepsze, co możesz zrobić, powtórzył sam sobie gorzkim tonem, to odesłać ją do Bircham Hall i już nigdy się z nią nie zobaczyć. Nie mógł jednak znieść myśli, że na zawsze się z nią pożegna. Zwłaszcza że zwróciła się do niego i szepnęła:

- Luke, proszę. Opowiedz mi o swoim bracie.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Anthony był ode mnie dwa lata młodszy - zaczął. - Matka zmarła przy porodzie, ojca nie widywaliśmy często, bo przez większość czasu prowadził hulaszczę życie towarzyskie w Londynie i próbował zapisać się na śmierć. Umarł, kiedy miałem dziesięć lat.

Zaprowadził ją na fotel przy kominku i usiadł obok.

- Tym domem i farmami dzierżawnymi zarządzał mój dziadek, Edward Danbury. Podczas wojny było ciężko, ale robił, co mógł, żeby majątek funkcjonował.

- Anthony od zawsze bardzo chciał zaciągnąć się do armii. Więc kiedy w roku tysiąc osiemset dziesiątym dziadek umarł, brat wstąpił do kawalerii i wyjechał na Półwysep Iberyjski. Ja, jako dziedzic, zostałem, by zarządzać majątkiem. Już wówczas był bardzo poważnie obciążony długami.

Wzruszył ramionami z pozorną obojętnością.

- Robiłem, co w mojej mocy, żeby wszystko utrzymać, i zaciągałem kolejne pożyczki. Z początku Anthony regularnie do mnie pisał o kampanii i walkach z Francuzami. Wspomniał nawet, że w Hiszpanii gwiazdy wyglądają inaczej...

Ellie patrzyła, jak migotliwy blask łagodnie oświetla go z profilu. Ten siniak! Bolało ją na samą myśl o tym, że Luke stawiał czoło żołnierzom, aby bronić żony i dziecka brata.

Dlaczego stał się wyrzutkiem? Splotła dłonie na kolanach. Nawet nie patrząc na niego, doskonale potrafiła odtworzyć w pamięci jego wygląd: burza ciemnych włosów, pięknie wyściepione, dumne czoło i wydatny nos, broda szorstka od zarostu i wyraziste usta. Musi być już po północy, a ona siedzi w jakimś zrujnowanym domu, sama z tym niebezpiecznym człowiekiem... W dodatku nie chciałaby być teraz nigdzie indziej.

- Brat był w wojsku już rok czy dwa, kiedy ktoś... możliwe, że był to sam Wellington, odkrył, że Anthony płynnie mówi po fran-

cusku i hiszpańsku. I zwerbowali go do brytyjskiej tajnej służby, a potem wysłali z misją do południowo-zachodniej Francji, żeby nawiązał kontakt ze zbuntowanymi rojalistami, którzy walczyli tam z Napoleonem, chcąc osadzić wygnanego króla z powrotem na francuskim tronie.

- Wiosną zeszłego roku, jak wiesz, wojska Napoleona zostały pokonane, a jego samego osadzono na Elbie. Mój brat tymczasem zniknął gdzieś we Francji, uwięziony lub martwy. Ryzyko zawodowe, można by rzec. Ja jednak miałem podstawy, by sądzić, że zdradzili go ludzie, dla których pracował. Brytyjczycy z owej tajnej służby.

- Skąd to wiesz, Luke? - spytała szeptem.

- Ponieważ sam też wstąpiłem do armii. Nie powinienem był porzucać majątku i farm, lecz to zrobiłem. W październiku tysiąc osiemset trzynastego roku przeszedłem z Wellingtonem i jego wojskami do Francji. Tam utknęliśmy na całą zimę. Wellington chciał poczekać do wiosny na poprawę pogody, zanim uderzy na północ ku Paryżowi. Cały czas jednak odbywały się potyczki z wrogiem. Pewnej grudniowej nocy kazano mi pilnować grupy francuskich jeńców. Okazało się, że jeden z nich znał mojego brata.

Patrzył w ogień, jakby ten pokój, ten dom, w ogóle nie istniały. Jakby znów znalazł się daleko stąd - z wojskiem we Francji.

- Tego francuskiego jeńca - ciągnął Luke - pojмали przez pomyłkę. Myśleli, że jest wierny Napoleonowi. A był po naszej stronie. Razem z oddziałem żołnierzy dowodzonym przez mojego brata podburzał ludzi do buntu przeciwko Napoleonowi na południu Francji. Ten jeńiec, przyjaciel mojego brata, nazywał się Jacques.

- Och, Luke? *Monsieur* Jacques? Ten, którego tu poznałam?

Luke kiwnął głową.

- Tak. Wtedy, w tę zimową noc we Francji, Jacques powiedział mi, że na jesieni mój brat i kilka innych osób, w tym on sam, podjęło się niebezpiecznej misji dla swoich londyńskich mocodawców. Mieli dostarczyć brytyjską broń i amunicję grupom oporu walczącym z Napoleonem w okolicach La Rochelle. Mieli podobno przygotować grunt pod szturm brytyjskich wojsk. An-

thony dostał rozkaz dostarczenia sprzętu, zebrania informacji, a potem miał o północy czekać w porcie w La Rochelle na angielski okręt, który nigdy nie przyłynął. Brytyjscy mocodawcy zostawili ich na łodzi, mojego brata i jego towarzyszy zwanych *Les Braves*.

Zdrada. Tak mówiła Monique.

- Dlaczego tak się stało? - spytała cicho Ellie.

Zauważyła, że Luke zacisnął prawą dłoń w rękawicze.

- Domyślam się - odpowiedział, siłąc się na spokój - że mój brat i jego towarzysze przestali już być komuś potrzebni. A co do planu lądowania brytyjskich wojsk, które miały zwiększyć presję na armię Napoleona... - Wzruszył ramionami. - Wszyscy wiedzą, że ministrowie ciągle ze sobą walczą, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Spraw Zagranicznych, Admiralicja, dowództwo armii. Być może po prostu ktoś stwierdził, że ten plan jest zbyt kosztowny i trzeba z niego zrezygnować. To oznaczało, że mój brat i jego przyjaciele zostali spisani na straty. Stali się już do niczego nieprzydatni, a poza tym za dużo wiedzieli. Pewni brytyjscy politycy stwierdzili, że byłoby lepiej, gdyby *Les Braves* zniknęli.

Ellie gwałtownie zaczerpnęła tchu.

- I dlatego - ciągnął Luke - jak już mówiłem, okręt, który miał ich zabrać z La Rochelle, nigdy się nie pojawił. Brat kazał swoim towarzyszom rozdzielić się i ruszyć w głąb lądu, ale część uparła się czekać w okolicach portu, bo sądzili, że ratunek jeszcze przybędzie. Tymczasem wróg pojmał ich i rozstrzelał.

- Jacques wspominał, że rozdzielili się z bratem podczas ucieczki. Wiedział, że angielska armia przekroczyła już przez Pireneje, więc szedł przez wiele dni, żeby dotrzeć do angielskiego obozu, w którym byłem ja. Sądził naiwnie, że jeśli powie brytyjskim oficerom o tym, co się stało, to może wyślą ludzi na ratunek *Les Braves*. - Zaśmiał się gorzko. - Liczył nawet na to, że może kogoś spotka kara za tę zdradę. A tymczasem zamknęli go razem z innymi francuskimi jeńcami, jakby był wrogiem Anglii.

Na dłuższą chwilę zatopił się w myślach.

- Tamtego wieczoru poszedłem do mojego przełożonego zaprotestować przeciwko uwięzieniu Jacques'a. Oświadczył, że to

nie moja sprawa. Chyba zwęszył jakąś intrygę w ministerstwie, którą należało zachować w tajemnicy. Powiedział mi, że Jacques ma zostać tam, gdzie jest. Domyślałem się, że któregoś ranka znajdą go martwego, żeby już z nikim więcej nie rozmawiał, więc jeszcze tego wieczoru pomogłem mu uciec – oczywiście pod warunkiem, że spróbuje odszukać mojego brata.

- Byłem już zdecydowany złożyć dymisję i razem z Jacques'em wyprawić się na poszukiwania Anthony'ego, lecz w tydzień po jego ucieczce w obozie wybuchła epidemia tyfusu i się rozłożyłem, razem z setkami innych żołnierzy. Przez zimę wielu umarło, ja jednak przeżyłem. Musiałem przeżyć, za wszelką cenę, miałem cel.

- Odnaleźć brata – wtrąciła cicho Ellie.

Luke dostrzegł w jej oczach współczucie i kiwnął potakująco głową.

- Tak. Odnaleźć brata. Dojść sprawiedliwości. Odkryć, kto go zdradził, który to dumny i wpływowy londyńczyk. W lutym zacząłem dochodzić do siebie, uznano mnie jednak za niezdolnego do służby i odesłano do domu. A kiedy tu wróciłem, dowiedziałem się, że Jacques próbował się ze mną skontaktować. Okazało się, że jak dotąd nie znalazł żadnego dowodu na to, że mój brat nie żyje.

- Zaraz potem się tu zjawiał, zdobył sobie bowiem kuter rybacki z zaufaną załogą. Wiele razy pływałem z nim na francuskie wybrzeże, a żeby sfinansować te poszukiwania i płacić za informacje, wyprzedzałem ostatnie cenne rzeczy z posiadłości. Razem z Jacques'em i jego załogą przemierzyliśmy całe wybrzeże wokół La Rochelle, zapuszczając się także w głąb lądu. Wszędzie wypytywaliśmy o Anthony'ego i *Les Braves*. Dowiedzieliśmy się, że brytyjskie wojska rozgromiły napoleońskich generałów pod Tuluzą i że Napoleon abdykował. Przyszło lato... Nie zaprzestaliśmy poszukiwań, ja jednak stałem się lekkomyślny. Schwytali mnie jacyś francuscy renegaci, wciąż wierni Napoleonowi. Uznali mnie za zwykłego przemytnika i wypuścili... ale najpierw obcięli mi dwa palce.

Ellie jęknęła.

- Po co?

Rzucił jej gorzki uśmiech.

- Myślałem, że będziesz wiedzieć, bo to tradycyjna kara, którą Francuzi zadają angielskim wrogom. Dawno temu Anglicy wygrali pod Azincourt głównie dzięki swoim łucznikom, więc w późniejszych bitwach Francuzi, jeśli pojмали jakichś Anglików, ucinali im dwa palce prawej dłoni, aby już nigdy nie mogli użyć łuku.

- Tak mi przykro. - Westchnęła.

Wzruszył ramionami.

- Zdążyłem się już przyzwyczaić. Potem Jacques przywiózł mnie do domu. Próbował mnie przekonać, bardzo łagodnie, że skoro nie utrzymam już szabli ani pistoletu, lepiej będzie, jeśli zostanę w Anglii. Oczywiście miał rację. Koniecznie trzeba się było zająć majątkiem, to haniebne, że tak długo go zaniedbywałem. Poza tym Jacques przypomniał mi, że czeka mnie parę zadań. Na przykład powinienem zająć się lordem Franklinem Grayfieldem.

Śmiało spojrzała mu w oczy.

- Teraz już wiem, że pracuje dla rządu.

Luke kiwnął głową.

- Właśnie. Lord Franklin ma bardzo szerokie kontakty. Jest nieoficjalnym doradcą Ministerstwa Spraw Zagranicznych, znawcą języków i dyplomacji. Ministrowie powierzyli mu wiele strategicznych tajemnic, a Anthony podczas naszego ostatniego wspólnego wyjazdu latem tysiąc osiemset trzynastego powiedział mi, że podejrzewa, że lord Franklin wie wszystko o planowanym wrześnieowym lądowaniu pod La Rochelle. Trzy miesiące temu w Londynie chciałem z nim o tym porozmawiać, ale jego lordowska mość nakazał swoim służącym mnie wyprowadzić i powiedział, że jeśli nie przestanę węszyć wokół tej sprawy, to mnie zniszczy.

Westchnął ciężko.

- Co jednak miałem do stracenia? Oczywiście nie przestałem „węszyc”. Dlatego właśnie lord Franklin mnie nienawidzi.

- Myślisz, że to on wysłał tych dzisiejszych żołnierzy?

- To możliwe. Bez problemu byłby w stanie przekazać im z Londynu rozkaz, żeby przeszukali mój dom. Jako ostrzeżenie,

że mają mnie na oku. – Rozłożył ręce. – Może powinienem usłuchać? Może już nie jestem w stanie absolutnie nic wskórać...?

Przerwała mu.

– A może jednak jesteś! Już ci mówiłam, dostałam się dziś do biblioteki lorda i znalazłam tam listy. Między innymi list do lorda Franklina dotyczący tego planowanego lądowania, od kogoś wysoko postawionego w rządzie, kto pisze mu, że ekspedycja *Les Braves* ma być kontynuowana. Pewnie mogłabym znaleźć jeszcze dużo więcej. Musisz mi pozwolić sobie pomóc!

Zamarł.

– Ale to zbyt niebezpieczne. Boże, i tak już za bardzo cię narażalem. Nie mogę o nic więcej cię prosić.

– Nie musisz mnie prosić. Ja sama proponuję pomoc. Luke, błagam! Zanim zdecydujesz, opowiem ci prawdę o swoim ojcu, dobrze?

– Czy ty się dobrze zastanowiłaś, co robisz, Ellie? – spytał cicho. – Nie przychodzi ci do głowy, że może jestem nieodpowiednią osobą do takich zwierzeń?

Uniosła podbródek. Była tak odważna, a jednocześnie tak bezbronna.

– A tobie nie przychodzi do głowy – odparła – że według mnie jesteś jedyną osobą na świecie, której mogę zaufać?

I już po mnie, pomyślał Luke. Parę jej cichych słów – i jest rozbrojony. Nie będzie w stanie jej odprawić. Była niewyobrażalnie piękna. W łędźwiach czuł żar, a coś mu mówiło, że gdzieś czai się nowe, nieprzewidziane zagrożenie. Zapragnął otoczyć ją ramionami i nigdy nie puścić.

Zaufała mu. Zacisnął lewą dłoń w pięść, żeby przypomnieć sobie, że ma trzymać się od niej z daleka.

– Opowiedz mi więc o ojcu – poprosił.

Nalał wina im obojgu, usiadł i słuchał, zachodząc w głowę, jak ta krucha kobieta była w stanie to wszystko przetrwać.

– Większość nie ma pojęcia – zaczęła cicho – że po Rewolucji zwykłym ludziom żyło się we Francji bardzo ciężko. Nie mogli znaleźć pracy, głodowali. A Napoleon obiecał, że handel rozkwitnie na nowo. Dał ludziom wielki dar – nadzieję.

Wzięła głęboki oddech.

- Napoleon zatrudnił mojego ojca do projektowania dróg. Drogi były kluczowym elementem w cesarskim planie uczynienia Francji bogatą dla wszystkich jej mieszkańców. Mój ojciec również tego pragnął. Stopniowo jednak przekonywał się, że Napoleon tych dróg potrzebuje przede wszystkim dla swoich wojsk; że planuje podbić świat. A we Francji znów zapanowała nędza, bo wojna pozbawiła kraj mężczyzn i pieniędzy.

- Gdy zmarła matka... - Głos jej się załamał. Westchnęła. - Ojciec próbował zrezygnować, ale Napoleon nie przyjął jego dymisji. Był urażony, co oznaczało, że musimy z ojcem uciekać z kraju. Miałam siedemnaście lat, ścigali nas. Myślę, że Napoleon się obawiał, że ojciec zaoferuje swoje usługi wrogiemu mocarstwu.

- Ojciec rzeczywiście miał taki zamiar?

- Nigdy. - Pokręciła stanowczo głową. - Nie był zdrajcą. Postanowił, że najpierw pojedziemy do Hawru, gdzie miał nadzieję znaleźć członków rodziny, okazało się jednak, że już tam nie mieszkają. Potem odkryliśmy, że prześladowcy znów depczą nam po piętach, i musieliśmy pojechać na południe...

Przycisnęła dłoń do czoła.

- Kilka razy omal nas nie schwytali. Wreszcie dotarliśmy do Brukseli. Myśleliśmy, że jesteśmy bezpieczni, ale ojciec nigdy nie doszedł do siebie po trudach tej ciężkiej podróży. Dostał gorączki i poważnie się rozchorował.

- A lord Franklin? - zapytał Luke. - Jaką odegrał w tym rolę?

- Znalazł mnie zeszłego lata. Powiedział mi, że skoro skończyła się wojna, wreszcie spełnia swoje marzenie i zwiedza wszystkie europejskie muzea i galerie. Wiesz, że kolekcjonuje dzieła sztuki? Po to też podobno pojawił się w Brukseli.

- Wiem - odparł spokojnie Luke. - Sądzę, że ta pasja do sztuki jest u niego autentyczna. Ale jestem też pewien, że stanowi bardzo przydatną przykrywkę dla jego innej działalności...

- Oczywiście. - Westchnęła. - zaproponował, że przewiezie mnie do Londynu. Wolałam zostać w Brukseli, ale ojciec, kazał mi przysiąc, że przyjmę propozycję opieki od lorda. Wkrótce potem umarł... Czy teraz rozumiesz?

Luke kiwnął głową, a Ellie kontynuowała opowieść.

- Lord Franklin zabrał mnie do Londynu, gdzie, jak ci już mówiłam, ktoś przeszukał mój pokój. Lord Franklin oczywiście wszystkiemu zaprzeczył, powiedział, że mam bujną wyobraźnię, i zesłał mnie tutaj.

- Wydaje się dość prawdopodobne, że lord Franklin wziął cię pod swoją opiekę dlatego właśnie, że twój ojciec pracował dla Napoleona. Zapewne miał nadzieję, że dysponujesz ważnymi informacjami dotyczącymi cesarza.

- Jakimi informacjami?

- Na przykład nazwiskami jego zwolenników albo agentów...

- Ale ja nic nie wiem...

Wyglądała na bardzo zmęczoną.

- Ellie, ja to rozumiem i będziemy musieli o tym jeszcze porozmawiać. Teraz musisz odpocząć.

- Luke...

- Pani Bartlett na pewno przygotowała już dla ciebie pokój. - Sięgnął po lichtarz. - Jest prawie pierwsza w nocy i chyba rozumiesz, że o tej porze nie da się cię bezpiecznie odwieźć do Bircham Hall. Prześpij się tutaj przynajmniej parę godzin. - Urwał raptownie. Próbował zapalić świecę od ognia, trzymając ją zranioną ręką, lecz upuścił metalowy lichtarz, a ten upadł z hukiem na płytę przed paleniskiem. Ellie zalała falą ciepłych uczuć.

Ponownie spróbował zapalić świecę, gdy podeszła i dotknęła jego ramienia.

- Luke.

- Co takiego? - zapytał surowym tonem.

Poczuła, że serce jej się łamie. Ten dumny człowiek potrafił być dla siebie tak surowy.

- Jaka szkoda, że poznaliśmy się w takich okolicznościach - powiedziała cicho. - Że to wszystko nie ułożyło się zupełnie inaczej. - Uniosła rękę i dotknęła jego twarzy, delikatnie muskając palcami siniak na policzku. Luke miał wrażenie, że w jej oczach zalśniły łzy. Potem opuściła palce ku jego ustom.

- Ellie... Tak nie można. Z tego nie wyniknie nic dobrego dla ciebie.

- Ty będziesz dla mnie dobry - odparła łagodnie. - Jesteś do-

brym człowiekiem, Luke, i czuję się przy tobie bezpiecznie.

Pragnął ją przekonać, że się myli, ale zdołał jedynie powiedzieć:

- Na Boga, nie powinnaś...

Wplótł zaraz palce w jej włosy i przybliżył twarz do swojej. Zdało mu się, że wyszeptała jego imię, tuż przed tym, gdy ich usta się zetknęły w pocałunku.

Tulił ją do siebie mocno, oddychał jej słodkim zapachem. Otoczyła go szczupłymi ramionami, a potem nie było już czasu na żal, wszystko przesłoniła ogromna fala pożądania. Pograżyli się w namiętnym pocałunku.

Wiedział, że mógłby teraz wziąć ją na ręce, zanieść na łóżko i zrobić z nią wszystko, na co miałby ochotę. Bezwiednie domagała się go każdym ruchem swojego ciała. Zachęcała, aby się z nią kochał. Oddawała mu się całkowicie. A wcześniej powiedziała, że mu ufa.

Luke jednak, czyniąc chyba największy wysiłek w życiu, przerwał pocałunek i się odsunął.

Wargi miała nabrzmiąte, zielone oczy ciemne z pożądania. Jej piękne gęste włosy opadały na twarz i ramiona w zmysłowym nieładzie. Jego podniecone do granic wytrzymałości ciało wciąż pulsowało żądzą.

Zacisnął zęby.

- Przepraszam - powiedział. - Nie powinienem był tego robić.

Cofnęła się, jakby ją uderzył. Ty głupcze, pomyślała. Ty beznadziejny, lekkomyślny głupcze!

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Luke zaprowadził ją na piętro do niewielkiej sypialni. W kominie płonął ogień. Ellie z trudem panowała nad emocjami. Nie odzywał się do niej, a nawet na nią nie patrzył. Zupełnie nie wiedziała, czym mu zawiniła

- Myślę - odezwał się w końcu; mówił rzeczowym tonem - że znajdziesz tu wszystko, co będzie ci potrzebne. Dopilnuję, żebyś obudziła się przed świtem. Moi ludzie zawiozą cię do domu. Mam nadzieję, że uda ci się trochę wypocząć.

Po tych słowach wyszedł.

Oparła się plecami o drzwi i słuchała, jak jego kroki cichną w korytarzu. Czuła się tak, jakby pozbawiono ją części jęstwa. Luke miał rację. To, co się zdarzyło między nimi, nie może się już nigdy powtórzyć. A jednak od czasu pocałunku w ośnieżonym ogrodzie trudno jej było prawidłowo określać granicę między dobrem a złem. Po prostu za nim tęskniła. Ilekroć Luke znajdował się w pobliżu, marzyła o tym, by jej dotknął i ją pocałował.

Zadrżała na wspomnienie tego, co przed chwilą zaszło pomiędzy nimi. Nie miała pojęcia, że wargi i język mężczyzny, dotyk jego dłoni na piersiach mogą przyprawić ją o stan bliski rozkoszy. Usiadła na łóżku i zwiesiła głowę, przypomniawszy sobie, jak chętnie tuliła się do Luke'a, a nawet przyciągała go do siebie.

Dieu du ciel, pomyślała. To było bardzo nierozsądne, a jednak nie potrafiła oprzeć się pokusie. Za kilka godzin będę musiała wrócić do Bircham Hall i udawać, że nic się nie wydarzyło.

Usiadła na łóżku i zapatrzyła się na ścianę. Luke Danbury żył na obrzeżu towarzystwa. Próbował doprowadzić swe majątki do dawnej świetności, samemu uprawiając ziemię. W ten sposób niejako odcinał się od sąsiadów. Plotkowano, że współpracuje z przemytnikami i spiskuje z Francuzami. Był zgorzkniały, mści-

wy i wykorzystywał ją tak jak i wszystkich dookoła. A jednak...

Uwierzyła we wszystko, co jej powiedział na temat swego brata i *Les Braves*. Doskonale rozumiała jego chęć oczyszczenia imienia brata. Był bardzo odważny. W głębi duszy czuła, że jest uczciwy i prawy. To, że nienawidził samego siebie, łamało jej serce...

Długo nie mogła zasnąć, dręczona sprzecznymi myślami i emocjami. W końcu zapadła w niespokojny sen. Śnił jej się Luke i jego brat, Anthony, wpatrujący się w morze w La Rochelle, czekający na brytyjski okręt, który zawiezie go do domu. Tymczasem został zdradzony, a Luke podejrzewał, że za tą zdradą stoi lord Franklin.

Obudziło ją pukanie do drzwi.

- Jest szósta, *madame* - powiedziała cicho pani Bartlett. - Kapitan mówi, że już czas.

Ellie wstała i szybko się ubrała - spała w halce. Kiedy zeszła do kuchni, zastała w niej ludzi kapitana, rozmawiających nad kawą i jajkami na bekonie. W środku siedział Luke.

Kiedy na nią spojrzał, odżyły wspomnienia pocałunku i znów poczuła rozkoszną miękkość w kolanach. Wydawał się jednak obojętny, wręcz nieprzystępny. Była pewna, że nie zmrużył oka; widziała sine podkowy pod jego oczami oraz ciemny zarost.

Podszedł do niej. Jego twarz pozostała nieprzenikniona.

- Moi ludzie są gotowi, by odwieźć panią do Bircham Hall. Joseph został o wszystkim powiadomiony i ma pani wypatrywać. Wpuści panią bocznym wejściem. - Głęboko zaczerpnął tchu i zniżył głos. - Zrobiłaś wszystko, o co cię prosiłem, a nawet więcej. Ale nie wolno ci pod żadnym pozorem ponownie wchodzić do biblioteki lorda Franklina.

Uniosła wzrok.

- Przecież musisz oczyścić imię swego brata!

- Zrobię to sam - odparł.

- Więc nie mogę już dla ciebie niczego zrobić?

Pokręcił głową.

- Nie. To zbyt niebezpieczne. Nie możesz brać w tym udziału.

- Już ci powiedziałam. Nie mam nic do stracenia...

- Chodzi o to - przerwał jej - że jeśli zostaniesz przyłapana, narazisz na niebezpieczeństwo moich ludzi i mnie. Nie powinienem być cię... zmuszać do tego, co zrobiłaś. Ale to już koniec. Nie będziesz już dalej w tym uczestniczyć.

Ogarnął ją smutek, ale dumnie uniosła podbródek.

- Nie sądziłam, że tak łatwo się poddajesz - powiedziała.

Luke zmrużył oczy, ale zaraz potem obejrzał się przez ramię.

- Josh - zwrócił się do towarzysza. - Osiodłaj kuca dla panny Duchamp. - Spojrzał na Ellie; przez chwilę miała wrażenie, że widzi w jego oczach żal. - Dziękuję za to, co zrobiłaś dla Monique i Harry'ego.

Wzruszyła ramionami.

- *Il n'y a pas de quoi*. Żaden problem - odparła, choć tak naprawdę chciała powiedzieć coś innego: Luke, nie wiem, co mam teraz robić. Nie wyobrażam sobie, że cię już nigdy nie zobaczę, że już nigdy nie będziesz mnie trzymał w ramionach...

Powstrzymała się jednak i zmusiła do opanowania, by w następnej chwili szczelnie owinąć się peleryną i wyjść na dziedzińiec w szare światło świtu. Josh Watterson czekał już na nią obok dwóch osiodłanych kuców.

Luke odprowadzał wzrokiem odjeżdżającą Ellie. Miała na sobie zbyt obszerny strój, doskonale maskujący jej kobiece krągłości. Znikała mu z oczu w porannej mgle.

Nie odwróciła się ani razu.

Głęboko wciągnął w płuca świeże, zimne powietrze, które wiatr niósł od morza. Spodziewał się po tej dziewczynie wszystkiego, co najgorsze. Myślał, że jest zepsuta, głupia; że chętnie przyjechała do Londynu z bogatym lordem Franklinem w nadziei pławienia się w luksusie i znalezienia bogatego angielskiego męża. Nie mógł się bardziej mylić.

Życie nie szczydziło jej trudów i niebezpieczeństw. Miesiące spędzone podczas ucieczki musiały być dla niej prawdziwym koszmarem. Doskonale to sobie wyobrażał. Podróżowała nocami, mieszkała w obcych domach, stale zachowując czujność, by nie wpaść w ręce szpiegów Napoleona. Dziewczęta z dobrych domów nie miały takich doświadczeń.

Ciągle myślał o tym, jak na niego patrzyła, kiedy jej powiedział, że swoim działaniem naraziła na niebezpieczeństwo jego i jego ludzi. Zranił ją do głębi. W zamian za lojalność i odwagę otrzymała kolejny cios i znowu poczuła się zdradzona.

Wciąż czuł na ustach jej cudownie miękkiej i słodkiej pocałunek. Gdyby nie wczesna pora, wypiłby potężny haust brandy Jacques'a, by zapomnieć zapach ciemnych włosów Ellie oraz dotyk piersi przyciśniętych do jego torsu. Poprzedniego wieczoru niemal go błagała, żeby się z nią kochał i nawet teraz na to wspomnienie krew wrzała mu w żyłach. Wzrok jej wyrażał bezgraniczne zaufanie i wiedział, że ten obraz na długo zostanie mu w pamięci.

Chciała, by uczynił ją swoją, właśnie on, zgorzkniały, okaleczony mężczyzna. Odmawiając, po raz pierwszy postąpił względem niej honorowo.

W pewnej chwili zdał sobie sprawę z tego, że Monique wyszła z domu i idzie w jego stronę z dzieckiem w ramionach.

- Monique - powiedział. - Jak się miewasz? Jak czuje się Harry?

Daleko mu było do biegłości, ale Monique go zrozumiała i uśmiechnęła się.

- Czujemy się dobrze - odpowiedziała, gładząc synka po główce. - Dzięki tobie i tej pięknej francuskiej dziewczynie, która bardzo nam pomogła. Była taka dzielna. Czy wciąż tutaj jest, Luke?

Pokręcił głową.

- Och. - Monique westchnęła. - Chciałam jej należycie podziękować. Jak ma na imię?

- Ellie. Ellie Duchamp.

Klacz Luke'a, Diabło, cicho zarżała w boksie. Harry wyciągnął rączkę w jej stronę. Luke z uśmiechem chwycił malca i przytrzymał go tak, by chłopczyk mógł pogłaskać klacz po błyszczącej grzywie.

- Harry, później ją razem nakarmimy, dobrze? - zaproponował Luke. - Ale teraz pani Bartlett ma coś dla ciebie. Świeży chleb i jajka. - Ostrożnie podał dziecko matce.

- Dziękuję ci za twoją dobroć, Luke - powiedziała Monique. Dziękuję też Ellie. Czy ty i ona...?

Zawiesiła głos.

- Nie - odpowiedział uprzejmie. - Nie ma nic między nami.

- Szkoda - podsumowała, wchodząc do domu.

Luke stał w promieniach porannego słońca i dopowiedział w myślach: „Nie ma i nigdy nie będzie”.

Zajmował się Diabło do powrotu Josha, który powiedział, że bezpiecznie odwiózł Ellie do Bircham Hall i że widział ją tam jedynie Joseph. Tymczasem Tom udał się do Bircham Staithe, by dowiedzieć się czegoś na temat żołnierzy. Odprowadziwszy kłacz do stajni, Luke zajął się załadunkiem narzędzi rolniczych i worków z ziarnem dla jednego z najmłodszych dzierżawców, Neda Rawlinga.

Ned, były żołnierz, zamierzał uprawiać ziemię orne zaniedbane podczas wojny, a Luke zamierzał pożyczyć mu narzędzia na dwa miesiące.

Kiedy poinformował o tym Rawlinga, ten nie posiadał się ze zdumienia.

- Kapitanie, przecież nie mogę teraz nawet panu płacić!

- Już mówiłem. Zapłaci mi pan po pierwszym zbiorze plonów - uspokoił go.

Gdy wóz został załadowany, Pete Watterson zaprzągnął konia z zamiarem udania się na farmę Rawlinga. Ledwie Pete i wóz zniknęli z pola widzenia, na podwórze wjechał Tom.

- Żołnierze wrócili do koszar, kapitanie. Słyszałem, że przez kilka dni będą mieli ćwiczenia artyleryjskie, więc powinniśmy mieć spokój.

Zawahał się, a Luke zmrużył oczy.

- Mimo wszystko nie sprawiaś wrażenia zadowolonego. Czy jest jeszcze coś, o czym chcesz mi powiedzieć, Tom?

Tom chwycił się pod boki.

- Tak. A chodzi mi o dziewczynę, kapitanie. Tę z Bircham Hall.

- Zamieniam się w słuch...

- Pan i ja, kapitanie, znamy się od dawna.

Luke uniósł brwi.

- To prawda. Czy chcesz mi jeszcze powiedzieć coś równie oczywistego?

- Tak, i to coś powinno być oczywiste także i dla pana. Moim zdaniem ta dziewczyna zasługuje na o wiele lepsze traktowanie.

- A cóż takiego złego ją spotkało z mojej winy, Tom? - spytał Luke podejrzanie uprzejmym tonem. - Owszem, tak nieszczęśliwie się złożyło, że musiała zostać tu na noc, ale zapewniam cię, że spała sama, a ja uczyniłem wszystko, co w mojej mocy, żeby rano wróciła do Bircham Hall niezauważona. Co jeszcze mogłem zrobić?

Tom przeczesał nerwowo włosy.

- Mimo to...

- Powiedziałem jej - przerwał Luke - że pod żadnym pozorem nie wolno jej się zbliżyć do tego miejsca, że nie może się zdradzić w żaden sposób, że w ogóle się spotkaliśmy. Ton jego głosu sugerował, że uważa rozmowę za skończoną, jednak Tom się nie poruszył. Westchnął i pokręcił głową.

- Kapitanie, czasami sobie myślę, że dobrze byłoby wyjechać... Moglibyśmy zacząć nowe życie.

Luke sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Jak sobie wyobrażasz to nowe życie, Tom?

- Ach, to jest pytanie. - Zamyślił się. - O! Na przykład moglibyśmy we dwóch pojechać do Hiszpanii. Pamięta pan te wszystkie małe wioski, położone z dala od miast i bitew? Moglibyśmy zamieszkać w jednej z nich, kapitanie! Hodowalibyśmy pomańcze i łowilibyśmy ryby. Pilibyśmy wino w towarzystwie pięknych hiszpańskich *señoritas* w miejscowych *tabernas*...

Luke roześmiał się.

- Po tygodniu zanudziłbym się na śmierć. I ty też.

- Ma pan rację. I wkrótce zajęłby się pan jakimiś sprawami, którymi nie powinien się pan zajmować. Jak zwykle...

- Staram się naprawić krzywdy, Tom. To nie jest wściubianie nosa w nie swoje sprawy.

- No dobrze, kapitanie - rzekł Tom z odcieniem rezygnacji w głosie. - Niech pan to sobie nazywa jak chce. I tak zawsze

będę po pańskiej stronie.

- Cieszę się, że to mówisz - odparł Luke - bo chciałbym, żebyś pojechał ze mną na pięcioakrowe pole obok jesionów i pomógł mi kopać rowy.

- Chyba nie liczy pan na to, że te ziemie dadzą plon? - Tom nie krył zaskoczenia. - Przecież to są podmokłe tereny.

- Dawniej rosła tam pszenica. Powiedział mi to mój dziadek.

- Kopanie rowów - wymamrotał Tom. - Pana rodzina należy do najstarszych w kraju. Pański dziadek posiadał kilkanaście żywnych farm i miał licznych ludzi uprawiających ziemię...

- To było dawno temu - przerwał Luke. - Nie boję się ciężkiej pracy, a ty? Jest marzec, pora siewu, i nie powinniśmy marnować czasu. Osiodłaj konia i ruszajmy.

W drodze do stajni Tom wymruczał pod nosem:

- Powinien pan sobie znaleźć bogatą dziedziczkę, kapitanie.

Przez cały ranek i popołudnie Luke i Tom kopali rów. Luke lubił pracę fizyczną. Nie należał do tych, których bogactwo oddala od rzeczywistości i od życia prostych ludzi. Cieszyło go wspólne pokonywanie trudności i stawianie sobie kolejnych celów na drodze do przywrócenia majątku do stanu świetności.

Pieniądze cieszyły go jedynie dlatego, że dawały mu pewną niezależność i władzę. Dzięki nim mógł łatwiej pozyskiwać stronników, choćby w walce o odkrycie prawdy na temat losu brata i o zdemaskowanie lorda Franklina. Mógł też pomóc Ellie Duchamp.

Ponosił winę za to, że dziewczyna wiedziała zbyt wiele, aby móc czuć się bezpieczna. Zrzucił ziemię z łopaty i na chwilę wystawił twarz do słońca. Z pobliskiego lasu dobiegały krzyki gawronów.

Miał nadzieję, że Ellie go posłucha i nie będzie już się interesować dokumentami z biblioteki. Dalsze działania będzie musiał prowadzić sam. Gdyby lord Franklin i jego poplecznicy dowiedzieli się o poczynaniach Ellie, zostałyaby aresztowana jako francuski szpieg. Mogłaby nawet zostać powieszona.

Jesteś strasznym głupcem, Luke, łajał się w myślach. A do tego okropnym egoistą.

Dochodziła druga, kiedy Luke usłyszał głos Toma.

- Kapitanie! Ktoś tu jedzie! - krzyknął

Gwałtownie się odwrócił. To Josh Watterson galopował w ich stronę. Zatrzymał się tuż przed nimi, rozbryzgując błoto.

- Kapitanie! Ludzie w miasteczku mówią, że Napoleon uciekł!

- Ech... - mruknął Tom. - Ludzie zawsze opowiadają niestworzone historie o Napoleonie.

- Tak, ale tym razem to jest prawda! Wypłynął z tej swojej wyspy i wrócił do Francji. Znowu będzie wojna.

Tom Bartlett wciąż miał wątpliwości.

- Uspokój się, Josh. Nawet jeśli Napoleon uciekł, to jeszcze nie znaczy, że stanie za nim cała francuska armia. A co zrobi król Francji?

- Podobno co tchu ucieka na północ. - Josh zeskoczył z konia i spojrzał w stronę morza, jakby spodziewając się ujrzeć francuskie okręty na horyzoncie.

- Ha! Całe życie upłynęło mu na ucieczkach. - Tom zwrócił się do Luke'a. - Kapitanie, obaj dobrze wiemy, że kiedy brytyjska armia rozprawiła się z nimi w zeszłym roku, żołnierze Napoleona byli już tylko nędzną zbieraniną. Głodowali i mieli powyżej uszu wojny i dumnego małego generała!

Luke odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

- Napoleon wywiera silny wpływ na ludzi, Tom. Nie byłbym wcale zaskoczony, gdyby się okazało, że żołnierze znów gromadzą się wokół niego. W takim wypadku król Ludwik zwróci się do Brytyjczyków i ich sojuszników, żeby jeszcze raz ocalili dla niego tron.

Josh kiwał głową.

- Jest coś jeszcze, kapitanie. Jeździec z Londynu powiedział mi, że lord Franklin udał się do Bircham Hall. Sądząc po wyglądzie powozów, podróżują z nim ważne osobistości i towarzyszy im straż.

- W takim razie to na pewno są przedstawiciele rządu - podsumował cicho Luke. - Najwyżsi rangą zamierzają w ciszy i spokoju omówić sprawę Napoleona. Wygląda na to, że masz rację, Josh. Możliwe, że znowu wybuchnie wojna.

Tom posmutniał.

- To by było na tyle, jeśli chodzi o wino i kobiety w Hiszpanii. Luke przytaknął.

- Cóż, będziesz musiał na pewien czas odłożyć te marzenia.

Tom i Josh wdali się w poważną dyskusję. Luke powstrzymał się od wygłaszania jakichkolwiek opinii. Musiał działać, i to jak najszybciej.

Pozostawała jeszcze Ellie. Co mógłby zrobić, żeby nie poniosła konsekwencji tego, że egoistycznie ją we wszystko wciągnął? Naraził ją na wielkie niebezpieczeństwo, przekazując jej zbyt wiele informacji, a teraz powinien umieścić ją w bezpiecznym miejscu, z dala od lorda Franklina. Musiał jednak znaleźć Anthony'ego. Nie wyobrażał sobie życia ze świadomością, że nie zrobił wszystkiego, co w jego mocy, by ratować brata.

Nie potrafił też wyobrazić sobie przyszłości bez Ellie u swego boku, choć przekonywał się w myślach, że to niemożliwe do spełnienia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kiedy Ellie usłyszała, że lord Franklin przyjedzie tego wieczoru do Bircham Hall, ogarnął ją strach. Bała się nie o siebie, lecz o Luke'a.

Wciąż dźwięczała jej w uszach groźba lorda Franklina. „Nie możemy tolerować Danbury'ego na wolności, szczególnie w obecnych okolicznościach. Trzeba coś z tym zrobić”. Dobrze pamiętała, jak żołnierze przeszukiwali dom Luke'a, a jego samego sponiewierali. Pomyślała o Monique i Harrym, byli tak bezbronni i zależni od Luke'a...

Tego ranka Joseph wpuścił ją do domu i bezpiecznie zaprowadził do jej pokoju. Mary była dziwnie milcząca, kiedy o ósmej przyszła do Ellie ze śniadaniem na tacy. Bez wątpienia głęboko przeżyła fakt, że poprzedniego wieczoru Sarah powiadomiła ją, że Ellie jej nie potrzebuje. Jednakże później tego dnia całkowicie pochłonęła ją kwestia przyjazdu lorda Franklina. Służba znalazła się w stanie bliskim paniki, zwłaszcza po tym, jak pan Huffley przekazał wiadomość, że lord Franklin przyjeżdża z ważnymi gośćmi. Mary z ożywieniem poinformowała Ellie, że są spodziewani wczesnym wieczorem. Wieści przywiózł tuż po lunchu posłaniec z Londynu. Lokaje i pomywacze, pokojówki i podkuchenne uwijali się, szorując, pucując, odkurzając i polewując srebra. Lady Charlotte była wożona po całym domu, sprawdzała każdy salon i pokój gościnny, dawała niezliczone rady gospodyni, kazała przynieść specjalnie wybrane kwiaty ze szklarni. Nareszcie czuła się naprawdę ważna.

- Bircham Hall często gościł najważniejsze osoby w kraju - zwróciła się do Ellie. - Spodziewam się, że tym razem mój syn zawita tu z ministrem spraw wewnętrznych i szefem Admiralicji. To jego przyjaciele. „Bircham jest dla mnie drugim domem, lady Charlotte”, powiedział mi kiedyś minister spraw zagranicznych. Nie byłam wcale zaskoczona, gdy Franklin oznajmił mi

pewnego razu, że przybywa do nas sam premier. Bawił tu w zeszłym roku przez dwie noce i nie mógł się nachwalić naszej niezwykłej gościnności. Użył dokładnie tego słowa: „niezwykła”. – Z satysfakcją potoczyła wzrokiem dokoła.

Towarzyszająca Ellie panna Pringle nie potrafiła się na niczym skupić z podniecenia.

– To cudowne – powtarzała – że jego lordowska mość znów tu zawita.

Później tego popołudnia Ellie udała się do swego pokoju. Próbowwała czytać książkę, ale nie potrafiła się skupić. Po lunchu od zachodu zaczęły napływać ciężkie chmury, niosące deszcz. Teraz lało i nie było mowy o spacerze w ogrodzie.

Wizyta lorda Franklina z pewnością oznacza niebezpieczeństwo dla Luke’a.

Przez cały dzień myślała o tym, co zdarzyło się w jego domu poprzedniego wieczoru. Miała ochotę w samotności kontemplować wspomnienia. Wiedziała, że mogło dojść do czegoś więcej niż tylko pocałunku. W dodatku coraz bardziej tego pragnęła.

Wiedziała, że to nierozsądne z jej strony, że nie powinna ulegać podobnym myślom. Trudno jednak było jej się skupić na tym, jak powinna postąpić, kiedy wciąż czuła mrowienie tam, gdzie jej dotykał, a serce szybciej zaczynało bić na wspomnienie pocałunków. Pragnęła go aż do bólu i z każdą minutą bardziej za nim tęskniła. Mimo że ją odtrącił.

Teraz nerwowo przemierzała pokój, zaciskając dłonie w pięści w poczuciu bezsilności. To ona popełniła błąd, pozwalając sobie żywić względem Luke’a uczucia, których nie mógł odwzajemnić. Poznał już smak miłości i odrzucenia. Teraz liczył się dla niego tylko brat.

A jednak minionej nocy, kiedy przywarli do siebie w pocałunku, kiedy ją pieścił, oboje byli gotowi zapomnieć o przeszłości i przyszłości.

Gdyby Luke się nie odsunął, z pewnością podążyłaby za głosem uczucia...

Około szóstej do pokoju weszła niezwykle podekscytowana

Mary.

- Och, panienko. Mam nowe wiadomości! Kucharka słyszała rozmowę pana Huffleya z panem Applebym. Pan Appleby powiedział, że Napoleon uciekł!

- To niemożliwe, Mary...

- Nie, panienko! Pan Appleby twierdził, że jutro będzie można o tym przeczytać w gazetach! Pan Huffley sądzi, że niedługo znów będzie wojna.

Ellie zacisnęła ręce, przypominając sobie słowa ojca. „Z początku myślałem, że Napoleon pragnie bronić Francji przed wrogami, a jednak jego podbojom nie ma końca i kolejne tysiące oddają życie z powodu jego ambicji. Ta wojna musi się skończyć”.

Wstała gwałtownie. To na pewno dlatego lord Franklin i jego znajomi tak niespodziewanie postanowili się spotkać w Bircham Hall. Chcieli na uboczu omówić nową sytuację polityczną, porozmawiać o Napoleonie i wojnie. Czy Luke o tym wie?

Zdała sobie sprawę, że Mary składa jej świeżo wyprane ubrania.

- Zastanowiła się już panienska, co zamierza włożyć na przyjazd lorda Franklina? Na pewno chce panienska zaprezentować się jak najkorzystniej przy tylu ważnych osobistościach. Może włoży panienska którąś z londyńskich sukien?

- Nie. - Ellie z trudem zachowywała spokój. - Włożę szarą suknię.

- Naprawdę? Jest panienska pewna?

- Jak najbardziej.

Mary zmarkotniała, lecz po chwili jej twarz się wypogodziła, bo panna Pringle zapukała do drzwi i weszła do pokoju.

- Elise? Och, Elise, przyjechał lord Franklin w towarzystwie znamienitych gości! Chce cię wszystkim przedstawić.

- Teraz? Przed kolacją?

- Tak! Musisz natychmiast zejść na dół!

Lord Franklin zauważył Ellie, gdy tylko weszła do salonu, i natychmiast ruszył w jej stronę z uśmiechem na twarzy.

- Elise! - zawołał.

- Milordzie. - Dygnęła i zatrzymała się, lecz szybko ujął ją za rękę i poprowadził ku swym towarzyszom.

- Elise jest moją krewną - oznajmił. - To sierota, uciekinierka z udręczonej Francji. Jestem niezmiernie rad, że mogłem jej zaoferować mieszkanie w tym domu.

- To bardzo szlachetny gest z pańskiej strony, lordzie Franklin - orzekli niemal chórem goście. - Ach, pańska szczodrość jest powszechnie znana!

Przesuwali wzrokiem po Ellie, nie okazując większego zainteresowania. Była zadowolona, że w obszernej sukni, z zaczesanymi do tyłu włosami i ze spuszczonego wzrokiem nie przyciąga ich uwagi.

Dam sobie radę, powtarzała w myślach. Niedługo zapomną o mojej obecności i będę mogła się wymknąć.

Nie zapamiętywała nazwisk ani twarzy, dopóki nie zobaczyła pewnego mężczyzny.

Był zwrócony do niej tyłem. Kiedy się odwrócił, krew zastygła jej w żyłach. To był człowiek o jasnych oczach i jasnych włosach, którego widywała w Brukseli, ilekroć wyszła na dwór z mieszkania na strychu nad sklepem madame Gavroche. Była pewna, że ten mężczyzna ją śledzi.

Postąpił o krok i skłonił się nisko, gdy lord Franklin przedstawił go Ellie.

- To mój sekretarz, Elise - oznajmił tubalnym głosem lord Franklin. - Gerald Malone.

- *Mademoiselle* - powiedział cicho Gerald Malone. - Jakże miło mi panią poznać.

To był przerażający moment. Jakimś cudem Ellie zmusiła się do opanowania i ledwie dostrzegalnie skinęła głową. Niestety w jednej chwili wszystko się zmieniło. Ellie zyskała pewność, że nie tylko ludzie Napoleona, ale także lord Franklin śledził ją i jej ojca w Brukseli.

Na szczęście w tej chwili znalazła się na dalszym planie. Lady Charlotte całkowicie zdominowała gości lorda Franklina, zachwalając uroki i wygody Bircham Hall.

- To miejsce to prawdziwy raj, oaza spokoju - stwierdziła.

Ellie w końcu udało się niepostrzeżenie wyjść z sali. Udała się

do swego pokoju, żeby wszystko spokojnie przemyśleć przed kolacją.

Zatrzymała się jednak gwałtownie przed otwartymi drzwiami biblioteki. W pomieszczeniu paliło się światło, a obok półek z książkami dostrzegła ochmistrza, pana Huffleya.

Uniósł wzrok i ją zauważył.

- Panna Duchamp - rzekł. Sprawiał wrażenie bardziej udręczonego niż zazwyczaj. - Szuka pani jego lordowskiej mości? Myślę, że jest w salonie.

Nie uszło jej uwagi, że stał przy półkach, których zawartość przeglądała poprzedniego dnia.

- Dziękuję, ale właśnie stamtąd wracam - odpowiedziała. - Widziałam się już z lordem Franklinem i jego gośćmi. Obawiam się, że pana i służbę czeka nadzwyczaj pracowity okres, panie Huffley.

Ochmistrz stłumił westchnienie.

- To prawda. Mieliśmy tak niewiele czasu na przygotowania. A poza tym... - wskazał ręką półki - ...sekretarz jego lordowskiej mości powiadomił mnie właśnie, że lord Franklin musi zabrać ze sobą do Londynu niektóre dokumenty. „Dokumenty z roku tysiąc osiemset trzynastego”, powiedział mi pan Malone. Tylko tyle. „Z jesieni roku tysiąc osiemset trzynastego”. Mam umieścić te dokumenty w tych oto pudłach - skinął głową w stronę pojemników na podłodze - a pan Malone jutro rano sprawdzi wraz ze mną, czy zapakowałem to, co trzeba. Tak jakby mi nie ufał!

Zamruczał coś pod nosem, karcąc się za niedyskrecję. Nie powinien był zdradzać tego, co powiedział mu sekretarz lorda Franklina. Ellie miała wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy jej z piersi. Te dokumenty miały zostać przewiezione do Londynu? Dokumenty, które były potrzebne Luke'owi?

Pan Huffley spojrział na zegarek i wydał cichy okrzyk.

- Boże, to już naprawdę ta godzina? Niedługo trzeba będzie podać kolację, a ja jeszcze nawet nie sprawdziłem, czy lokaje wypolerowali srebra ani czy przyniesiono wino. Wrócę tu później...

Szybko ruszył do drzwi i przekręcił klucz w zamku. Już na ko-

rytarzu otarł spocone czoło.

- Panno Duchamp, czy mogę panią prosić o oddanie tego klucza gospodyni?

- Oczywiście - odparła Ellie.

Ochmistrz pospieszył w stronę klatki schodowej dla służby. Ellie została sama z dużym, zimnym kluczem w dłoni. Najważniejsze dla Luke'a dokumenty miały zostać wyniesione z biblioteki i przekazane do Londynu. Już na zawsze pozostaną poza jego zasięgiem... Chyba że ona mu pomoże.

Liczne świece płonęły w jadalni Higham House. Pani Bartlett sprzątała ze stołu po wieczornym posiłku. Była siódma, a Luke i jego ludzie - Tom, Wattersonowie i kilku dzierżawców, a wśród nich Ned Rawling, studiowali mapy ziem Danburych. Luke przedstawił swoje plany, wymienił pola, które miały zostać zaorane pod wysiew w najbliższych tygodniach.

Potem zaczęli rozmawiać o wojnie. Ned Rawling, jako były żołnierz, był szczerze zatroskany.

- Kapitanie Luke, jeśli wyślą brytyjską armię, żeby rozprawiła się z Napoleonem, mogę dostać powołanie. Nie zamierzam uchylać się od obowiązku, ale mam teraz farmę i muszę zarobić na utrzymanie żony i dzieci.

Luke próbował go pocieszyć.

- Myślę, że chwilę to potrwa, zanim dojdzie do wojny, Ned. Poza tym jest dość żołnierzy, którzy rozprawią się z wojskami, jakie uda się zwołać Napoleonowi. Lord Wellington będzie miał też po swojej stronie sojuszników z Austrii i Prus. Możesz więc spokojnie skupić się na pracy na farmie. Siej pszenicę i wypasaj owce.

Pozostali mruknęli z aprobatą. Ned odetchnął z ulgą.

- Dziękuję, kapitanie. Farma jest teraz najważniejsza, dla mnie, dla mojej żony i dwójki dzieci. Przyjdzie taki dzień, że za wszystko zapłacę, obiecuję.

- Jestem tego pewien - rzekł Luke. - Ale najpierw doprowadź farmę do dobrego stanu, a dopiero później martw się o pieniądze. Pamiętaj, że i ty robisz mi przysługę. Ziemie leżące odłogiem są nieprzydatne ani dla ludzi, ani dla zwierząt.

Towarzysze Luke'a ochoczo napełnili swe kufle piwem i powrócili do rozmowy o uprawie i hodowli. Na chwilę myśl Luke'a uleciała gdzieś daleko.

Za niezastłoniętymi oknami zapadał zmierzch. Na ciemniejącym niebie widać było stada gęsi lecących na noc na pobliskie mokradła. Jego ludzie byli pochłonięci rozmową.

Luke nie potrafił przestać myśleć o Ellie. O tym, jakim wzrokiem patrzyła na niego tego ranka, kiedy jej powiedział, że nie powinni się już nigdy spotkać. Znieruchomiała na chwilę, a potem wzruszyła ramionami, jakby nic się nie stało. Widział jednak, co mówił jej wzrok i domyślał się, że kolejny raz poczuła się odtrącona i zdradzona. Bezskutecznie wmawiał sobie, że nie miał wyboru.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka weszła pani Bartlett.

- Kapitanie? - Sprawiała wrażenie zaniepokojonej.

Luke szybko do niej podszedł.

- Kapitanie, Joseph wysłał posłańca, miejscowego chłopaka, z tym oto listem dla pana. Prosił, żeby panu przekazać, że to pilne - powiedziała.

Podawała Luke'owi złożoną, zapieczętowaną kartkę papieru z jego imieniem napisanym delikatną kobiecą dłonią. Gdy wziął go do ręki, zdał sobie sprawę, że w liście znajduje się klucz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Zachowaj spokój. Pamiętaj, żeby wysoko trzymać głowę. Starając się opanować zdenerwowanie, Ellie powoli zstępowała ze schodów do salonu. Lady Charlotte wyraziła chęć spotkania się z nią w tym pomieszczeniu przed dołączeniem do lorda Franklina i jego gości w sali jadalnej. Zegar wybił kwadrans po siódmej, kiedy Ellie weszła do pokoju. Lady Charlotte siedziała w swoim wózku inwalidzkim; dwaj lokaje stali w milczeniu tuż za nią.

Lady Charlotte miała na sobie staroświecką suknię z purpurowego jedwabiu, ozdobioną haftem, oraz znacznych rozmiarów biżuterię na szyi i dłoniach. Spojrzawszy na Ellie, zapytała:

- Co ty z siebie zrobiłaś?

Ellie wykonała głębokie dygnięcie.

- Zawsze mi pani powtarza, że powinnam zwracać większą uwagę na swój wygląd.

- Tak?

- Więc tak zrobiłam.

- Jesteś zuchwałą, impertynenką... - Lady Charlotte szukała odpowiedniego słowa, lecz nie dane jej było dokończyć przemowy, bo rozległ się gong na kolację. Zacisnęła więc tylko usta w wąską kreskę i skinęła na lokajów. Ellie również udała się do jadalni.

Kiedy weszła do pomieszczenia, poczuła na sobie spojrzenia wszystkich osób przy stole. Mary sprawiła się doskonale. Ellie była ubrana w jedwabną suknię o barwie pudrowego różu, uwydatniającą walory szczupłej sylwetki, z głębokim dekoltem ukazującym szyję i górną część piersi. Jej gęste loczki zostały fantazyjnie upięte, a Mary niezwykle zręcznie wplotła w nie różową wstążkę, doskonale komponującą się z barwą sukni. „Och, panno!” wykrzyknęła Mary na widok swego dzieła. „Wygląda pani pięknie!”

Strój Ellie był w najwyższym stopniu niestosowny dla młodej damy, która nie miała jeszcze debiutu. Goście lorda Franklina – zamożni mężczyźni zajmujący najwyższe stanowiska w rządzie, znieruchomieli, jakby Ellie rzuciła na nich czar.

- *Messieurs* – powiedziała Ellie i uśmiechnęła się, po czym wykonała głębokie dygnięcie.

Nawet doskonale wyszkoleni lokaje nie potrafili ukryć podziwu dla nagłej przemiany Ellie. Trudno było domyślić się opinii lorda Franklina na ten temat, ukrył bowiem swe prawdziwe myśli i uczucia równie starannie jak zazwyczaj i zachowywał się niczym troskliwy krewny, którym samozwańczo się mianował.

- Moja zaginiona francuska kuzynka – mówił o niej, zwracając się do gości. – Byłem niezmiernie szczęśliwy, mogąc jej zaproponować schronienie pod moim dachem.

- Ale jak można ukrywać taki skarb w Kent! – napominali go żartobliwie.

- To był jej wybór. – Zwrócił się do Ellie. – Czy tak było, Elise?

- Ależ, tak – odpowiedziała cicho.

Lord Franklin był uprzejmy i dowcipny. Delektował się jedzeniem i prowadził lekką rozmowę towarzyską, jednocześnie czujnie wodząc wzrokiem po zgromadzonych. Łowił uchem wszystkie rozmowy, był świadom każdego szeptu i spojrzenia.

Tymczasem większość spojrzeń gości była skierowana na Ellie i jej suknię.

Uśmiechała się do wszystkich uprzejmie i skromnie spuszczała wzrok. Udawała, że szuka odpowiednich angielskich słów, a mężczyźni na wyścigi starali się jej pomóc.

- To musi być dla pani bolesne, *mademoiselle*, słyszeć, że Napoleon Bonaparte znów jest na wolności i gromadzi wojska przeciwko prawowitemu królowi Francji. Zapewne miała pani nadzieję, że wkrótce powróci do swego kraju.

Lord Franklin uprzedził Ellie w udzieleniu odpowiedzi.

- Nie ma potrzeby niepokoić Elise polityką – rzekł. – Motłoch, który Napoleon nazywa swoją armią, wkrótce zostanie rozbity. A Elise, jako moja krewna, wie, że może mieszkać w moim domu tak długo, jak zechce.

- Powinieneś przywieźć ją do Londynu, Franklin! – zawołał

ktoś, patrząc z podziwem na Ellie. – Zrobiłaby furorę w towarzystwie!

Ellie zauważyła, że lady Charlotte posyła jej gniewne spojrzenie. Nie przerywała jednak swojej gry. Uciekała się nawet do flirtu. Kiedy miano podać desery, lady Charlotte, zaczerwieniona z oburzenia, obwieściła, że ona i Ellie udadzą się do salonu.

– Niech mężczyźni omawiają swoje ważne sprawy – których na pewno jest bez liku – powiedziała uszczypliwie. – Z pewnością lepiej im pójdzie, kiedy nikt nie będzie ich rozpraszał.

Mężczyźni nie kryli żalu z powodu rozłąki z Ellie.

– Może dołączy do nas pani później, *mademoiselle*?

– Lord Franklin wspomniał, że gra pani na fortepianie – rzucił jeden z dżentelmenów. – Bylibyśmy zachwyceni, gdyby zechciała nam pani umilić czas grą.

– Będzie mi bardzo miło – odpowiedziała, uśmiechając się słodko. – Cieszę się, że mogłam panów poznać.

– Elise! – warknęła lady Charlotte. – Proszę za mną!

Gdy tylko znalazły się na korytarzu, lady Charlotte natarła na Ellie.

– Resztę wieczoru spędzisz w swoim pokoju, Elise. Nie pozwolę, żebyś obrażała lorda Franklina i jego znamienitych gości swoim nieprzyzwoitym wyglądem.

– Zgodnie z pani życzeniem, milady. – Elise dygnęła i ruszyła w stronę schodów.

Tego właśnie pragnęła. Chciała zostać odesłana do pokoju.

Wkrótce usłyszała szczekanie psów gdzieś w oddali. Serce jej zamarło. Luke.

Musiała go jak najprędzej ostrzec, jeśli jest już w środku.

Luke szybko przeszukiwał bibliotekę, mając do dyspozycji tylko jedną świecę. Joseph wpuścił go tylnym wejściem jakieś dwadzieścia minut temu.

– Wracaj do pracy, Josephie – powiedział. – Pamiętam drogę do wyjścia.

Musiał tylko uprzednio znaleźć to, czego szukał.

Od czasu do czasu dobiegał go śmiech i gwar rozmów gości lorda Franklina. Słyszał też szybkie kroki lokajów. Jeśli dopisze

mu szczęście, posiłek potrwa jeszcze długo.

Znieruchomiał na chwilę i pomyślał o Ellie, zupełnie samej wśród tych wszystkich ważnych osobistości. Miał nadzieję, że wykaże rozsądek i zostawi wszystko jemu. To było naprawdę niebezpieczne zadanie.

Przeglądał rozmaite listy i dokumenty. Jeśli znajdzie dowód, że *Les Braves* zostali zdradzeni, zapewne uda mu się zmusić lorda Franklina do oficjalnego oświadczenia, że Anthony i jego towarzysze byli lojalni i nigdy nie zdradzili Korony. Pomyślał ze smutkiem, że taka deklaracja będzie stanowiła niewielką pociechę dla wdów i sierot oplakujących zmarłych.

Lord Franklin i jego przyjaciele dobrze o tym wiedzieli. Zdawali sobie sprawę, że gdyby prawda o zdradzie i śmierci dzielnych ludzi wyszła na jaw, spowodowałaby powszechne oburzenie. Luke domyślał się, że to właśnie z tego powodu dokumenty miały zostać przewiezione do Londynu, a tam zniszczone.

Naraz wstrzymał oddech. Wśród przeglądanych papierów znalazł właśnie list napisany czarnym atramentem i bardzo szerokim pismem.

Pański pomysł, lordzie Franklin, wydaje mi się ze wszechmiar rozsądny. Ma Pan rację, twierdząc, że należy zatrzeć wszelkie ślady po tym epizodzie...

Zerwał się na nogi, usłyszawszy, że otwierają się drzwi.

Elise. Na chwilę odjęło mu mowę. Wyglądała pięknie z gęstymi kędziorami upiętymi fantazyjnie na czubku głowy. Miała na sobie różową suknię z cienkiego jedwabiu. Prezentowała się jak kobieta jego marzeń.

Zbliżyła się do niego.

- Och, Luke. Znalazłeś?

- Tak... Ale... mój Boże... Ellie, nie powinnaś tu przychodzić...

- To ja o tym decyduję. - Wypowiedziała te słowa spokojnym tonem, a jednak miał wrażenie, że jej głos lekko drży. - Luke, ostrzegłeś mnie, że nie powinnam osobiście angażować się w sprawę poszukiwań twojego brata. Ale tak się złożyło, że zdobyłam klucz do biblioteki i poczułam, że muszę dać ci ostatnią

szansę przywrócenia dobrego imienia Anthony'emu.

Jęknął w duchu. Miał ochotę wziąć ją w ramiona, obsypać jej twarz pocałunkami, a potem uciec z nią dokądkolwiek, byle tam, gdzie byłaby bezpieczna i gdzie mogliby żyć razem...

- Ellie - rzekł głosem pełnym napięcia. - Wiem, jak wiele ci zawdzięczam. Powtarzam jednak, że nie powinnaś tu przychodzić. A ja muszę stąd wyjść, i to jak najprędzej.

- Właśnie o to chodzi, że nie możesz wyjść, Luke! To dlatego tu przyszedłem! Na dworze są psy... słyszałam ich ujadanie!

Zamarł na chwilę, a zaraz potem wzruszył ramionami.

- W takim razie zaczekam tutaj.

- Ktoś cię tu może znaleźć. Po kolacji lord Franklin i jego goście mogą tu przyjść na dalsze rozmowy. Nie masz innej możliwości. Musisz schować się w moim pokoju.

- Ellie. Jeśli zostaniemy przyłapani...

Jej zbieleła twarz wyrażała nieugiętą wolę.

- Wejdziemy tylnymi schodami, tak żeby nikt cię nie widział. - Ruchem głowy wskazała papier, który trzymał w ręku. - Musisz wziąć ze sobą to, co znalazłeś, i zostać ze mną do czasu, gdy będziesz mógł bezpiecznie uciec. Musimy się pospieszyć.

Zdmuchnął świecę, wyszli z biblioteki, a on zamknął drzwi na klucz.

W pokoju Ellie w kominku płonął ogień, a dwie świece rzucały miękkie światło na kosztowne meble, dywany i grube zasłony w oknach. Luke odetchnął głęboko delikatnym zapachem lawendy. Czuł się niezręcznie w tym wnętrzu, a w dodatku miał świadomość, że naraża Ellie na niebezpieczeństwo.

Zamknęła drzwi na klucz.

- Przepraszam - powiedział Luke.

- Za co?

Mocno zacisnął usta. Przyłapał się na tym, że nawet teraz, w tak niezręcznej sytuacji, zerkał w stronę sypialni, wyobrażając sobie Ellie leżącą na łóżku w jego ramionach, taką nagą i uległą...

Boże, ależ ze mnie głupiec! - zganił się w myślach i odezwał się swym zwykłym głosem:

- Przepraszam za to, że postawiłem cię w tej bardzo niezręcznej sytuacji.

- To nie ty doprowadziłeś do tej sytuacji - odparła stanowczym tonem. Włosy wymknęły się jej z upięcia; próbowała je ułożyć na nowo, nieświadoma faktu, że przy tej czynności piersi napierają na ciasny dekolt sukni. Luke'owi zaschło w gardle.

- Chciałam pomóc ci wejść do biblioteki - podjęła po chwili. - Zależy mi na tym, aby zwyciężyła sprawiedliwość. Zrobiłam to przez wzgląd na twojego brata.

Pies zawył tuż pod jej oknem. Urwała. Luke marzył o tym, by ją utulić, pocieszyć, sprawić, by poczuła się bezpieczna. Zdawał sobie jednak sprawę z niedorzeczności swego pragnienia. Przecież to on wpakował ją w tarapaty. Miała pecha, że spotkała go na swej drodze.

- Słyszę czyjeś kroki - powiedział szeptem. - Ktoś tu idzie.

Usłyszeli ciche pukanie do drzwi i niepewny dziewczęcy głos.

- Panienko, to ja, Mary. Czy panienka tam jest?

Ellie okryła się szlafrokiem, jakby miała zamiar wkrótce udać się na spoczynek.

- To moja pokojówka, Luke. Szybko... Wejdź do mojej sypialni.

- Po chwili otworzyła drzwi i spytała: - Czy coś się stało, Mary?

- Nie wiedziałam, że już się pani kładzie spać, panienko. - Pokojówka sprawiała wrażenie zdezorientowanej. - Nie wiedziałam nawet, że przyjęcie już się skończyło. Dopiero pan Huffley powiedział mi, że panienka już udała się do pokoju.

Ellie starała się nadać swemu głosowi wesołe brzmienie.

- Byłam tak zmęczona po szóstym daniu, Mary, że postanowiłam przyjść na górę i przygotować się do snu. Nie chciałam sprawiać ci kłopotu.

- To dla mnie żaden kłopot, panienko. Na pewno panienka niczego nie potrzebuje? Może dołożyć drew do ognia? Ułożyć ubranie?

- Nie ma takiej potrzeby. - Ellie ziewnęła. - Żałuję tylko, że nie możesz jakoś wpłynąć na te psy. Nie wiesz przypadkiem, jak długo jeszcze zamierzają tak okropnie ujadać?

Pan Huffley powiedział, że psy zostały spuszczone na całą noc, bo w domu przebywa wielu ważnych gości. Mówił nam też,

że przy wszystkich bramach stoją uzbrojeni wartownicy. Najmłodsze służki przeraziły się nie na żarty! Nie zamierzają położyć się spać w obawie, że wedrą się tu Francuzi!

- To niemożliwe, Mary. Dziękuję ci, że tu przysłaś. Mam nadzieję, że wszyscy będziemy dziś smacznie spać. Dobranoc.

- Dobranoc, panienko!

Kiedy drzwi się zamknęły, Ellie oparła się o nie plecami i westchnęła powoli. W jej oczach czaił się strach. Tymczasem Luke wyszedł z sypialni. Uśmiechnęła się jednak do niego i wzruszyła ramionami.

- To była moja pokojówka. Słyszałeś, co powiedziała. Obawiam się, że Bircham Hall jest dobrze strzeżony.

- Nieważne - rzucił. - Znajdę sposób, żeby się stąd wydostać. Ale Ellie... wcześniej wysłaś z przyjęcia. Czy ludzie nie będą się zastanawiać, jaki był tego powód?

Pokręciła głową.

- Nie wysłałam stamtąd z własnej woli. - W jej oczach zamigotały figlarne iskierki.

- Jak to...?

- Lady Charlotte odesłała mnie do pokoju jeszcze przed końcem kolacji. Powiedziała, że przynoszę wstyd jej synowi i rozpraszam gości.

Jego oblicze na chwilę rozjaśniło rozbawienie.

- Przypuszczam, że chodziło jej o suknię?

- Tak. Włożyłam ją specjalnie, żeby zdenerwować lady Charlotte i zasłużyć na karę.

Przez jego twarz przemknął cień.

- I zrobiłaś to wszystko po to, żeby się ze mną zobaczyć w bibliotece?

Spoważniała i nieznacznie kiwnęła głową.

- Martwiłam się o ciebie. A kiedy usłyszałam psy, byłam już pewna, że muszę cię zobaczyć. Nareszcie znalazłeś to, czego szukałeś, nieprawdaż? - Wskazała list, który trzymał w ręku.

- Tak, ale... Ellie...

- Myślisz, że nie potrafię dochować tajemnicy? A z kim niby miałabym o tym rozmawiać? Z lordem Franklinem i jego matką? Poza tym, czy nie zasługuję, żeby poznać prawdę?

Westchnął.

- Usiądźmy.

Zajęli miejsca na sofie, obok siebie, ale niezbyt blisko, i Luke podjął swą opowieść.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

- Już ci mówiłem, że wczesną jesienią trzynastego roku mój brat Anthony i jego *Les Braves* zostali wysłani z tajną misją na południowo-zachodnie wybrzeże Francji - zaczął.

- Dopłynęli do La Rochelle. - Kiwnęła głową. - Powiedziałeś, że już po wszystkim miał ich stamtąd zabrać brytyjski okręt, ale nigdy nie przyплыł. Ci żołnierze zostali zdradzeni przez brytyjskich przełożonych.

- Tak. - Trzymał złożony list w dłoniach. - Pozostawiono ich na pastwę losu. Co gorsza, celowo rozpuszczono plotki, że musieli tam zostać, bo okazali się zdrajcami. Uważam, że zawdzięczają to, co ich spotkało, przede wszystkim lordowi Franklinowi.

- Och, Luke. Skąd to wiesz?

Spojrzał jej w oczy.

- Wiedziałem od dawna, że lord Franklin jest nieoficjalnym doradcą Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Jego podróże w poszukiwaniu dzieł sztuki i znajomość języków obcych czyniły zeń wymarzonego obserwatora. Myślę, że doradził im, by porzucono plan zaangażowania wojsk brytyjskich w zachodniej Francji. Kiedy rodziny i przyjaciele zaginionych zaczęli zadawać niewygodne pytania, to właśnie lord Franklin wpadł na pomysł, by oskarżyć ich o zdradę, na zawsze plamiąc nazwiska dzielnych mężczyzn, którzy oddali życie za swój kraj.

Ellie wpatrywała się w list.

- Znalazłeś na to dowody?

- Tak - odpowiedział. - Weź to. Przeczytaj.

W milczeniu rozłożyła kartkę papieru.

Pański pomysł, lordzie Franklin, wydaje mi się ze wszechmiar rozsądny. Ma Pan rację, twierdząc, że należy zatrzeć wszelkie ślady po tym epizodzie. Podobnie jak Pan uważam, że

nie należy ratować naszych ludzi - Les Braves. Jeśli złapią ich żołnierze Napoleona, nasi złożą bolesną, lecz niezbędną ofiarę. Tak jak Pan sugeruje, należy rozgłosić, że są zdrajcami, by ich nazwiska okryła niepamięć. Dziękuję, lordzie Franklin, za Pańską cenną radę w tej sprawie.

Luke wpatrywał się w twarz Ellie.

- Zobacz - rzekł. - List jest podpisany przez ministra spraw zagranicznych.

- W takim razie zyskałeś dowód, Luke. Co teraz zamierasz zrobić?

Wstał.

- Przede wszystkim muszę zadbać o twoje bezpieczeństwo, Ellie.

Stanęła naprzeciw niego.

- Luke, proszę, posłuchaj. Nie żałuję niczego, co zrobiłam, żeby ci pomóc, i nie zawahałabym się i w tej chwili. Czułam, że nie można ufać lordowi Franklinowi, a teraz jestem tego pewna. Pewien człowiek śledził mnie w Brukseli. Dzisiaj go tu spotkałam.

- Widziałaś go?

- Tak. To sekretarz lorda Franklina. Lord Franklin zapewne w zeszłym roku wysłał go do Brukseli z zadaniem znalezienia mojego ojca i mnie. A teraz, skoro już masz ten list, chcę, żebyś wiedział, że nie oczekuję żadnej wdzięczności z twojej strony. Chciałam ci pomóc w imię sprawiedliwości. Rozumiesz?

- Co teraz zrobisz, Ellie? - zapytał głosem ochrypniętym z emocji.

Pragnął jej aż do bólu. Miał ochotę zedrzyć z niej szlafrok, zdjąć jedwabną suknię, skrywającą zgrabne ciało, chwycić Ellie w ramiona i całować do utraty tchu. Imponowała mu odwagą i siłą. Nie miała rodziny ani przyjaciół, a mimo to nie traciła nadziei ani chęci do walki.

- Co teraz zrobię? - powtórzyła jak echo. - Można powiedzieć, że mam mnóstwo możliwości. Wzbudziłam dziś spore zainteresowanie wśród gości lorda Franklina. Myślę, że mogłabym znaleźć sobie bogatego męża...

Uniósł dłoń.

- Proszę, przestań. - Jej słowa sprawiały mu ból. - Nie rzucaj się w przepaść. Nie możesz dopuścić do tego, żeby ktoś znów cię oszukał i złożył kolejne fałszywe obietnice...

- A czy ty złożyłeś mi kiedyś fałszywe obietnice, Luke?

- Staralem się tego nie robić - odparł cicho. - Bóg jeden wie, jak bardzo się starałem. Musisz jednak wiedzieć, cóż... na pewno zdajesz sobie sprawę...

Urwał, bowiem usłyszeli odgłos kroków. Tym razem w korytarzu było więcej osób. Nad wszystkimi przebijał się głos lorda Franklina.

- Ktoś był w mojej bibliotece - mówił ze złością. - Jakiś intruz. Musi wciąż być w domu, bo wszystkie drzwi wyjściowe są zamknięte, a psy biegają po terenie posiadłości. Musicie go znaleźć, rozumiano?

Idący korytarzem zatrzymali się przed pokojem Ellie. Rozległo się ostre pukanie do drzwi, a zaraz potem głos lorda Franklina:

- Elise. Jesteś tam?

- Schowaj się - syknęła do Luke'a. Zawahał się, po czym wszedł do sypialni. Jeśli go złapią, zostanie potraktowany bardzo brutalnie. A co zrobią Ellie?

Słyszał, jak Ellie otwiera drzwi i mówi spokojnym tonem:

- Milordzie. Zaskoczył mnie pan. Czy coś się stało?

- Nie wiedziałem, że już idziesz spać - odparł sucho lord Franklin.

- Byłam bardzo zmęczona. - Jej głos brzmiał tak, jakby późna wizyta lorda Franklina wprowadziła ją w stan lekkiej irytacji. - Zamierzałam położyć się do łóżka. Nie spodziewałam się nikogo.

- Przepraszam - rzekł sztywno lord Franklin. - Obawiamy się jednak, że w domu jest intruz. Nic podejrzanego nie zwróciło twojej uwagi? Nie słyszałaś żadnych dziwnych głosów?

- Nie... - udała, że się zastanawia i po chwili dodała: - Z wyjątkiem głosów pańskich gości, jak sądzę.

Nie wydawał się do końca przekonany.

- Przepraszam, że ci przeszkodziłem. Życzę dobrej nocy - powiedział w końcu i wyszedł.

Zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku, a potem odwróciła się w stronę Luke'a, wyłaniającego się z cienia.

- Dziękuję - powiedział poważnym tonem. - Powinienem już iść.

Szeroko otworzyła oczy.

- Nawet jeśli uda ci się niepostrzeżenie wymknąć z domu, dopadną cię psy...

- Dam sobie radę - rzekł i postąpił krok w jej stronę. - Nie mam prawa narażać cię na dalsze nieprzyjemności. Naprawdę muszę już iść.

Ruszył do drzwi, ale zagroziła mu drogę.

- Nie! - zawołała. - Nie możesz tak ryzykować! A poza tym nie chcę, żebyś sobie poszedł.

Zatrzymał się.

- Och, Ellie. Czyżbyś nie zdawała sobie sprawy, że z każdą minutą grozi nam coraz większe niebezpieczeństwo?

Nie od razu zrozumiała, co miał na myśli. Po dłuższej chwili doszła do wniosku, że dla niej istnieje tylko jedno satysfakcjonujące wyjście z sytuacji. Wiedziała, że jeśli mu powie, by wyszedł, natychmiast spełni jej prośbę. Wzruszy rozłożystymi ramionami, uśmiechnie się kwaśno i ruszy w noc, nie myśląc o psach ani strażnikach.

- Zostań ze mną, Luke. Proszę... - wyszeptała ledwo dosłyszalnie.

Podszedł do niej. Uniosła dłonie i oparła je na jego torsie, by poczuć ciepło i siłę.

Znieruchomiał. Gwałtownie zaczerpnął tchu i zacisnął dłonie w pięści.

Błagam, nie porzucaj mnie teraz. Nie teraz, powtarzała w myślach. Wtedy otoczył ją ramionami, przyciągnął do siebie i pocałował.

Przytuliła się do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i wyszeptała:

- *Luc, Luc. Mon amour.*

Zaczęła z pasją odwzajemniać pocałunki. Wsunął ręce w jej włosy, upajając się ich zapachem. Szpilki wysunęły się z gęstych loków, które spłynęły na ramiona potężną kaskadą. Całował jej

policzki, czubek nosa, rzęsy, a potem ujął jej dłoń, poprowadził w stronę łóżka i zaczął rozpinąć guziki różowej sukni. Jego oczom ukazały się nagie piersi Ellie.

Wydała cichy, stłumiony krzyk i szybko zakryła się dłońmi.

- Jesteś piękna - wyszeptał i zsunął z niej suknię oraz zdjął bieliznę. Potem chwycił Ellie w ramiona i położył ją na łóżku, by po chwili do niej dołączyć. Pomyślał, że tego właśnie pragnął od ich pierwszego spotkania na drodze do Bircham Hall.

Jej ciemne włosy rozsypały się na poduszkach. Miała mleczną cerę i ciemnoróżowe usta. Dotknął ich i obwiodł językiem je, a gdy cichutko jęknęła, przewędrował dłonią przez jej brzuch i wsunął rękę pomiędzy rozchylone uda.

- Luke... - wyszeptała, przesuwając dłońmi po jego plecach. Szybko zdjął koszulę i spodnie. Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia, gdy poczuła ucisk twardej męskości na swoim brzuchu.

Pragnął jej tak mocno, że aż drżał. Włożył dłonie pod jej biodra i delikatnie się w nią wsunął. Obserwował ją uważnie, gotów się wycofać, gdyby zobaczył na jej twarzy grymas bólu. W pewnej chwili znieruchomiał, lecz usłyszawszy, jak błagalnym tonem wymawia jego imię, wszedł w nią głębiej. Zacisnęła powieki i odrzuciła głowę do tyłu, znów wypowiadając jego imię i czułości po francusku. Całował jej szyję i piersi, pieścił delikatne miejsca u złączenia ud. Czując, że przyprawił ją o słodką bezwolność, wysunął się z niej i osiągnął spełnienie.

Była cudowna...

Leżeli wtuleni w siebie i pomału wracali do rzeczywistości. Świeca przy łóżku dogasała. Luke otworzył oczy i spojrzał na Ellie. Poczowała, że do niego należy i że bardzo ciężko znieśie rozstanie.

Dotknął jej twarzy dłonią w rękawiczce, obwiodł policzek i szyję, jakby chciał wszystko zapamiętać, jakby widział ją ostatni raz.

Cóż, od początku wiedziała, że ten mężczyzna jest niebezpieczny. Była pewna, że ma rzadko spotykane poczucie honoru, że jest szczerzy i odważny... Ale to tylko pogarszało sprawę. Gdyby mogła sobie wmówić, że jest łajdakiem i ją wykorzystuje,

szybko zapomniałyby o chwilach rozkoszy w jego ramionach i pomyślałyby: „Nie jesteście sobie przeznaczeni. Nie pasujecie do siebie”.

Nie istniała jednak taka możliwość. Nigdy już nie spotka kogoś takiego jak Luke. Okazała się naiwna, myśląc, że uda jej się poskromić uczucia. Nie potrafiła się oszukiwać. Nie kochał jej.

Teraz pochłaniała go przemożna chęć udowodnienia niewinności brata, co doskonale rozumiała. Owszem, kochał się z nią, ale zrobił to tylko dlatego, że go o to błagała. Zaprosiła go do swego pokoju i nie mógł jej odmówić. Czowała, że na jej policzki wpełza ognisty rumieniec wstydu.

Nagle zdała sobie sprawę, że Luke przyciąga ją do siebie.

- Ellie? - zapytał cicho. - Ty płaczesz? Sprawilem ci ból?

- Nie - wyszeptala. - Nie...

Uważnie wpatrywał się w jej twarz. Ujęła jego okaleczoną dłoń i delikatnie zdjęła czarną rękawiczkę. Usłyszała, jak Luke gwałtownie bierze oddech, ale to jej nie powstrzymało.

Przyłożyła policzek do jego dłoni, a potem ucałowała dwie ledwie zabliznione rany. Pieściła je wargami, czując, jak wzbiera w niej miłość. Była już pewna, że kocha Luke'a Danbury'ego.

- Ellie - wydyszał.

Ujął jej twarz w dłonie i całował jej oczy, policzki i usta, a potem znów zaczęli się kochać, zapominając o przeszłości i przyszłości. Liczyło się tylko to, co dzieje się teraz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Kiedy obudziła się kilka godzin później, wciąż było ciemno. Luke chodził po pokoju, ubrany już w koszulę, spodnie i buty.

- Luke. Która godzina? - zapytała.

Zwrócił się w jej stronę. Miał zmierzwione włosy i twarz okoloną ciemnym zarostem.

- Dochodzi piąta - powiedział cicho. - Muszę już iść.

Zapewne miał nadzieję, że uda mu się wyjść, zanim się obudzę, pomyślała i przeszył ją zimny dreszcz; szybko włożyła jedwabny szlafroczek.

- Czy to bezpieczne? Myślisz, że ci się uda opuścić teren posiadłości?

- Psy zostały już zamknięte - rzekł. - Przy głównych bramach wciąż stoją warty, ale przedostanę się przez mur.

Czuła bolesny ucisk w żołądku. Miała ochotę zapytać, czy jeszcze kiedykolwiek się zobaczą.

Zmusiła się do opanowania.

- Skąd wiesz o psach i strażnikach? - spytała.

- Byłem na dole i odłożyłem ten list na miejsce.

Krzyknęła cicho zszokowana.

- Przecież ten list jest ci potrzebny, żeby bronić brata.

- Znam prawdę - odparł. - Pewnego dnia znajdę sposób, żeby ogłosić światu, co naprawdę stało się w La Rochelle i z *Les Braves*. Ellie, nie mogę skorzystać z tego listu, bo w ten sposób wciągnąłbym cię w tę sprawę i naraził na ogromne niebezpieczeństwo.

- Niekoniecznie... A poza tym nie zależy mi...

- Ale mi zależy. Musisz też wiedzieć coś jeszcze. Dziś rano Tom posłał wiadomość do Josepha. Wczoraj późną nocą Jacques przyjechał do Higham House z wiadomością, że Anthony został odnaleziony we Francji. Żywy.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Muszę jechać do brata - ciągnął. - Muszę go odnaleźć. Rozumiesz?

- Oczywiście - powiedziała szeptem. - Rozumiem...

Pocałował ją w czoło.

- Niedługo wstanie służba. Ellie, naprawdę muszę już iść. Wkrótce się z tobą skontaktuję. Obiecuję ci to.

Włożył pelerynę i zaczął ją zapinać.

- Luke?

Odwrócił się w jej stronę.

- Tak?

Chciała mu powiedzieć tysiące słów. A przede wszystkim to, że go kocha i zawsze będzie.

- Luke - powtórzyła. - Uważaj na siebie.

- Obiecuję - odparł. - Ze względu na ciebie. - A potem wyszedł, bezszelestnie zamykając drzwi.

Po jego wyjściu podeszła do okna. Mrok wciąż spowijał ogród. Nie zauważyła żadnych lampionów ani pochodni, nie słyszała szczekania psów ani nawoływań mężczyzn ścigających samotnego mężczyznę.

Powoli wróciła do łóżka. Zdążyła już się stęsknić za Lukiem. Pamiętała każdą chwilę minionej nocy. Nie przypuszczała, że miłość może być tak upojna. Wkroczyła do zakazanego, nieznanego jej świata i jej życie już nigdy nie będzie takie samo.

Przez cały ranek myślała o Luke'u. Tęskniła do niego całym sercem i duszą, rozumiała jednak jego potrzebę odnalezienia brata. Nie widziała się z lady Charlotte aż do wczesnego popołudnia, kiedy to jaśnie pani dołączyła do Ellie i panny Pringle w jadalni na późny lunch. Ellie włożyła prostą szarą suknię, była jednak pewna, że lady Charlotte doskonale pamięta każdy szczegół jej śmiałej różowej kreacji, w której wystąpiła poprzedniego wieczoru.

Biedna panna Pringle nerwowo wodziła wzrokiem po swych towarzyszkach. Lady Charlotte jadła zupę i suchą grzanekę. W pewnym momencie oznajmiła oschłym tonem, że jej syn i jego goście omawiają ważne tematy w prywatnym salonie lor-

da Franklina.

- Musisz trzymać się od nich z daleka, Elise. Nie wolno ci ich rozpraszać nieodpowiedzialnym zachowaniem tak jak wczoraj.

Ellie nie słuchała jej; zastanawiała się, co teraz robi Luke i jak zamierza dotrzeć do brata. Czy popłynie do Francji z Jacques'em?

Za zamyślenia wyrwało ją pukanie do drzwi, po którym do środka wszedł pan Hufflej. Lady Charlotte nie kryła niezadowolenia.

- O co chodzi, Hufflej?

- Milady. Lord Franklin i jego goście mają teraz przerwę w obradach. Lord Franklin pragnie spotkać się z panną Duchamp w bibliotece.

- W bibliotece? Teraz?

- Tak, milady, teraz, jeśli to pani odpowiada.

Przez głowę Ellie przebiegały niezliczone myśli. Lady Charlotte nader chętnie podzieliła się swoimi przypuszczeniami.

- Bez wątpienia - rzekła - mój syn zamierza ci udzielić surowej reprimendy za twój strój i zachowanie poprzedniego wieczoru. Za to, że chciałaś go ośmieszyć i upokorzyć przed tak znamienitymi gośćmi. Jestem tego więcej niż pewna.

- Proszę mi wybaczyć. - Ellie wstała i wyszła z pokoju za panem Hufflejem. Czyżby lord Franklin wiedział już, że Luke przejrzał jego papiery? I że spędził noc w jej pokoju?

Wkrótce miała się tego dowiedzieć.

Zapukała do drzwi biblioteki i weszła. Lord Franklin przemierzał pokój w tę i we w tę. Na jej widok przystanął, a Ellie dygnęła.

- Milordzie.

- Elise - odezwał się chłodnym tonem. Dał jej znak, by usiadła, po czym sam zajął miejsce za biurkiem, twarzą do niej. - Cóż... - zaczął. - Minionej nocy nie znaleźliśmy żadnych śladów bytności intruza.

Patrzyła mu w oczy.

- Jestem pewna, że pański dom jest doskonale strzeżony, milordzie.

- Ja również mam taką nadzieję.

Bębnił palcami o blat, lecz nagle sięgnął po leżący obok opasły tom i zaczął go kartkować. Ellie zerknęła na otwarte pudło na podłodze obok biurka. Znajdował się w nim plik dokumentów, wśród których dostrzegła te dotyczące brata Luke'a i jego przyjaciół. To tam znajdował się list nakazujący pozostawienie *Les Braves* na francuskim wybrzeżu. Luke umieścił go w pudle ze względu na nią, tracąc w ten sposób szansę na przywrócenie bratu dobrego imienia.

Chciała powiedzieć lordowi Franklinowi, że wie, co zrobił, że pozostawił dzielnych ludzi na łasce wroga i zgodził się, aby przyłgnęła do nich opinia zdrajców. A wszystko dla politycznego celu.

Zdała sobie sprawę, że lord Franklin coś mówi.

- Londyn - powtórzył. - Powiedziałem, Elise, że zabieram cię z powrotem do Londynu. Słyszysz? Wrócę tu jutro wczesnym rankiem. Chcę, żebyś do tego czasu spakowała swoje rzeczy.

- Nie. - Uniosła się w krzesło. - Milordzie. Nie mam najmniejszej ochoty jechać do Londynu. Zapewniam, że jestem bardzo zadowolona, mogąc mieszkać tutaj...

- To już wiem - przerwał, a w jego głosie pojawił się groźny ton. - Ale przede wszystkim słyszałem, że lubisz się zadawać z rozbitkami życiowymi z Bircham Staithe.

Ellie mocno chwyciła się krawędzi krzesła, czując, że za chwilę zemdleje. Lord Franklin wstał. Jego słowa były jak kubeł zimnej wody. - Mój sekretarz, Gerald Malone, dowiedział się, że grupa celników widziała cię pewnego wieczoru w Bircham Staithe.

Tamtego wieczoru próbowała stąd uciec. To wtedy złapały ją jakieś łotrzyki, a Luke ją uratował. Ktoś musiał ją zobaczyć i rozpoznać. Z najwyższym trudem zachowywała spokój. Czy widziano ją również z Lukiem?

Lord Franklin usiadł i położył ręce na blacie biurka.

- Czy spotkałaś może przypadkiem mężczyznę o nazwisku Luke Danbury?

Ogarnął ją paniczny strach.

- Nie miałam okazji go poznać - odparła.

Wykrzywił usta w grymasie.

- Cóż, miałem nadzieję, że powiesz mi prawdę. Rozeszły się tu różne plotki. Najlepszym sposobem, żeby położyć im kres, będzie twój wyjazd. Masz pozostałą część dnia na przygotowanie się do jutrzejszej podróży ze mną do Londynu. Nie lódź się jednak, że będziesz mogła się tam popisywać tak jak wczoraj. Trzeba będzie jak najszybciej znaleźć ci odpowiedniego męża. Najlepszy będzie francuski arystokrata, który chętnie zabierze cię do ojczyzny, gdy tylko poradzimy sobie z Napoleonem. *Mademoiselle*, potrzebujesz męża dorównującego ci siłą woli i charakteru.

Ellie zerwała się na nogi.

- Nie ma pan prawa... Nie wolno panu rządzić moim życiem. Nie jest pan moim krewnym. Również pańska matka jest oszustką... Potrafi chodzić, a pan dobrze o tym wie...

- Milcz!

Przez chwilę w pokoju słychać było jedynie tykanie zegara na kominku. Lord Franklin wychylił się ku Ellie.

- Elise, radzę ci zachować ostrożność. Uważaj... Jeśli zamierzasz mi się sprzeciwiać, radzę, żebyś starannie to sobie prze-myślała. Twój ojciec... Pamiętasz?

Usiadła, przytłoczona świadomością, że lord Franklin w każdej chwili może ujawnić, że jej ojciec pracował dla śmiertelnego wroga Anglii - Napoleona. Teraz, kiedy lada chwila mogło dojść do wojny, szybko zostanie wtrącona do angielskiego więzienia. Nie wyjdzie jednak za mąż.

Obdarzył ją uśmiechem pozbawionym wesołości.

- Możesz zabrać ze sobą do Londynu pannę Pringle. Będzie twoją przyzwoitką do czasu zawarcia małżeństwa. Każę Huffleypowi wypytać twoją pokojówkę, czy jest gotowa ci towarzyszyć...

Urwał na odgłos pukania i otworzył gwałtownie drzwi.

- O, Huffleyp. Tak, jesteś mi potrzebny. Na podłodze obok biurka stoi pudło z dokumentami...

Wyszedł na korytarz, a Ellie wytężyła słuch.

- Tak - mówił lord Franklin. - Wszystko, co znajduje się w tym pudle, ma zostać spalone w ogrodzie. Wszystko! Weź kilku lu-

dzi...

Wygładziła spódnice. Serce tłukło się w jej piersi jak ranny ptak, a mimo to udało jej się w spokoju wysłuchać lorda Franklina.

- W takim razie wszystko ustalone. Jutro jedziemy do Londynu.

Ellie uniosła podbródek.

- Czy to znaczy, że mogę już wyjść, milordzie?

- Tak. - Ellie powoli uniosła się z krzesła. - Och, jeszcze jedno - dodał. - Jeśli dojdą mnie słuchy, że masz jakikolwiek kontakt z Lukiem Danburym, doprowadzę go do upadku. Zniszczę jego reputację, majątek, dzierżawców... straci wszystko. Możesz być tego pewna.

Ellie wolno kiwnęła głową, podeszła do drzwi i zamknęła je za sobą.

W sypialni zastała Mary, porządkującą pokój.

- Mary - zwróciła się do dziewczyny. - Proszę, znajdź Josepha i przyślij go do mnie.

- Poleruje srebra dla pana Huffleya. Chyba nie będzie mógł przerwać tego zajęcia...

- Powiedz mu, że to pilne. Idź, Mary.

Pokojówka szybko wyszła z sypialni. Niedługo potem Ellie usłyszała ciche pukanie do drzwi i do środka wszedł Joseph.

- Josephie - zaczęła. - Musisz przekazać wiadomość kapitanowi. Musisz mu powiedzieć, że jutro jadę do Londynu i...

- *Madame* - przerwał jej Joseph. - Kapitan ma zamiar popłynąć do Francji na statku *monsieur* Jacques'a.

Cofnęła się o krok.

- Dzisiaj?

- Dziś wieczorem, *madame*. Kiedy tylko zapadnie zmierzch.

Bez wątpienia chciał ratować brata. I niezależnie od tego, czy sobie tego życzył, czy nie, zamierzała zrobić, co tylko w jej mocy, by mu pomóc.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Luke nerwowo chodził wzdłuż plaży. Jego cierpliwość się wyczerpywała, mimo że dobrze wiedział, że ludzie Jacques'a odpłyną statkiem dopiero po zapadnięciu zmroku.

Jacques czekał na niego w Higham House, kiedy tego ranka Luke wrócił z Bircham Hall. Ogarnęło go poczucie żalu na myśl o tym, jak pięknie wyglądała Ellie, kiedy zdjął z niej suknię. Wciąż czuł delikatny zapach lawendy i słyszał ciche jęki rozkoszy...

Tego ranka Jacques osobiście potwierdził, że Anthony został odnaleziony. Był więziony przez Francuzów, ale udało mu się uciec i dotrzeć do wybrzeża, gdzie czekał na statek do Anglii. Osłabiony więzieniem ciężko zachorował i miał wysoką gorączkę. Na szczęście troskliwie zajęły się nim zakonnice z klasztoru znajdującego się w pobliżu portu w Hawrze.

- Mam te informacje z wiarygodnego źródła. Powiedziano mi też, że pański brat z każdym dniem czuje się lepiej - ciągnął Jacques. - Nie udało mi się zobaczyć z nim osobiście... mój statek znajdował się pod obserwacją i musieliśmy odpłynąć. Nie mam jednak żadnych wątpliwości, że chodzi o Anthony'ego. Czeka na pana, *mon ami*.

Ciemność gęstniała. Naraz Josh i Pete Wattersonowie zawołali Luke'a na łódź. Był z nimi Jacques.

- Kapitanie! - krzyknął Josh. - Już czas! Widzimy statek!

Tom pożegnał się z Lukiem.

- Kiedy następnym razem się spotkamy, kapitanie - powiedział - będzie razem z panem pański brat. Jestem tego pewien. Ale... - zawahał się. - To nie będzie jeszcze koniec całej historii. Ludzie twierdzą przecież, że Anthony jest zdrajcą.

- Poradzę sobie - rzekł spokojnie Luke, choć jego oczy wyrażały smutek. - Możesz mi wierzyć. - Patrzył na morze, gdzie widać już było biały żagiel. Dwukrotnie zabłysła lampa.

- Luke? Jesteś gotowy? - Jacques wołał z łodzi.

- No, na mnie już czas - rzekł Luke do Toma.

Uszedł jednak zaledwie kilka jardów, kiedy Tom chwycił go za ramię.

- Ktoś tu idzie skalną ścieżką, kapitanie. Spójrz.

Luke odwrócił się i zamarł w oczekiwaniu. Po chwili wybałuszył oczy. Osobą spieszącą w ich stronę była bowiem Ellie.

Na miłość boską, tylko nie to, pomyślał. Miała na sobie starą pelerynę i niosła torbę podróżną. Serce ścisnęło mu się bólem, gdy przypomniał sobie, jak trudno było mu opuścić ją tego ranka. Wiedział, że być może już tu nie wróci. Wciąż groziło mu niebezpieczeństwo. Nawet gdyby przyjechał tu z bratem, musiałby stoczyć ciężki bój o oczyszczenie go z zarzutów o zdradę. Szybko okrzyknięto by bowiem Anthony'ego zdrajcą - zwłaszcza teraz, kiedy nad krajem zawisła groźba wojny z Napoleonem.

Wiedział, że próbowano by ich jak najprędzej uciszyć. Od początku zdawał sobie sprawę z tego, że powinien trzymać się z dala od Ellie. Kiedy jednak patrzył na nią, biegnącą ku nim po plaży, zyskał pewność, że ta dziewczyna bardzo wiele dla niego znaczy.

Jej obecność wypełniała wielką pustkę w jego sercu i w całym życiu. Pozwalała zapomnieć, jak się czuł po tym, kiedy zawiódł i dozwolił, by majątek popadł w ruinę. Zaczął nawet pokonywać zgorzknienie, jakie czuł w duszy po tragicznym końcu *Les Braves*.

Nie wolno mu jednak było dopuścić do tego, by aż tak bardzo jej potrzebował.

Teraz znajdowała się zaledwie o kilka stóp od niego i gubiła krok. Uniosła twarz ku Luke'owi. Mimo że wyraźnie czymś zatroskana i niepewna, była wciąż uderzająco piękna. Co tu robiła o tej porze? Co jej przyszło do głowy?

- Luke - powiedziała, ściskając w ręku torbę. - Musiałam cię znaleźć...

Przerwał jej ostry krzyk jednego z braci Watterson.

- Jakiś celnik płynie do brzegu, kapitanie! Musimy już wypływać! Poza tym od południa nadciąga sztorm.

Luke czuł podmuchy wiatru na twarzy i pierwsze krople deszczu.

- Zepchnijcie łódź na wodę - rozkazał, po czym zwrócił się do Elise. - Mówiłem ci przecież, że muszę jechać do Francji. Dlaczego tu przyszłaś?

W jej oczach czaił się strach.

- Coś się wydarzyło w Bircham Hall i...

- Grozi ci niebezpieczeństwo?

- Nie, ale...

- W takim razie musisz wracać do domu - odparł jej tonem ostrzejszym, niż zamierzał. - Natychmiast.

- Nie mogę - wyszeptała. - Zabierz mnie z sobą.

Spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem, potarł oczy dłonią i wziął gwałtowny oddech.

- Nie mogę prosić cię, żebyś mi pomagała - rzekł.

Burza rozpętała się, ledwie odbili od brzegu. Wiatr i deszcz natarły na łódź i wydawały się traktować ją jak dziecięcą zabawkę. Jacques przejął ster, a bracia Watteronowie walczyli z wiosłami. Ellie siedziała skulona na dziobie, z twarzą wtuloną w fałdy peleryny.

Luke zaklął pod nosem. To było coś strasznego. Widział statek Jacques'a stojący na kotwicy, członków załogi wychylających się za burzę, z lękiem wpatrujących się w miotaną falami łódź. A do tego ten celnik!

- Kapitanie! - krzyknął Josh Watterson. Jego potężne mięśnie napinały się przy wiosłowaniu.

- Wiosłujcie szybciej! - Luke starał się przekrzyczeć wiatr. - Dacie radę. Już jesteśmy blisko celu! - Zastępca Jacques'a na pokładzie statku wydawał rozkazy, by podniesiono kotwicę. I nagle stał się cud, bowiem wiatr zaczął im sprzyjać. Pokonując fale, łódź dopłynęła do statku. Pomocne ramiona wyciągnęły się, by pomóc Luke'owi dostać się na pokład. Jednak Luke wskazał najpierw Ellie.

- Pani pierwsza! - krzyknął Jacques do swoich ludzi. Zaraz potem zwrócił się do Luke'a. - *Sacré bleu*, Luke. Po co przyciągnąłeś tu tę dziewczynę? Oszalałeś?

Pewnie oszalałem, myślał Luke godzinę później, siedząc w maleńkiej kajucie Jacques'a. Dopiero teraz miał okazję, by zastanowić się nad konsekwencjami tego szaleństwa. Wcześniej, ledwie on, Ellie i Wattersonowie znaleźli się na pokładzie statku Jacques'a, rozpętało się prawdziwe piekło i minęło trochę czasu, zanim wody kanału La Manche uspokoiły się nieco.

Wyraz ich twarzy mówił wszystko o tym, co sądzą na temat zabierania dziewczyny na morską wyprawę. Teraz, kiedy sztorm złagodniał, Jacques i Luke nareszcie mogli porozmawiać.

- Co panu strzeliło do głowy, żeby narażać nas... i ją na takie niebezpieczeństwo! - Powoli potarł czoło Jacques. - Widziałem, jak rozmawiała z panem na plaży. Postradał pan zmysły?

Luke szeroko otworzył oczy.

- Dobry Boże! Czy naprawdę myślisz, że chciałem ją ze sobą zabrać?

Jacques westchnął i nalał dwie szklaneczki brandy.

- Dobrze. Przyjmuję, że nie miał pan wyboru, i mam nadzieję, że za jakiś czas wszystko mi wyjaśnisz. Morze wciąż jest wzburzone i muszę iść przejąć ster. - Jednym haustem wypił dużą porcję brandy. - Powiem tylko jedno. Dzięki Bogu, że Wattersonowie wsiedli na mój statek, bo bez ich pomocy chybabyśmy utonęli. Wciąż chce pan wysiąść na brzeg w pobliżu Hawru?

- Jeśli to, co mówisz, jest prawdą i Anthony przebywa w pobliskim klasztorze, to tak.

Jacques kiwnął głową.

- Mogą tam być także pozostali żołnierze, bowiem nawet w niespokojnych czasach wojsko nie niepokozi klasztorów. Posłuchaj, *mon ami*. Wysadzę pana na brzeg w nocy i będę na pana czekał na kotwicy tak długo, jak się da. Chodzą jednak pogłoski o zbrojnych starciach między zwolennikami i przeciwnikami Napoleona. Jeśli zostanie pan złapany, nie będę mógł przyjść panu z pomocą.

Luke kiwnął głową.

- Zdaję sobie z tego sprawę i nawet tego nie oczekuję. I tak zrobiłeś już dla mnie więcej, niż kiedykolwiek śmiałybym prosić.

Jacques klepnął lewą dłoń Luke'a.

- Uratował mi pan życie, kiedy byłem więźniem, i nigdy tego

panu nie zapomnę. Dopłyniemy do Hawru. Ale jeśli chodzi o tę dziewczynę...

Urwał, bo ktoś mocno zapukał w drzwi kajuty.

- *Monsieur Jacques!* Szkwał z południowego wschodu! Jest pan potrzebny na pokładzie!

Jacques chwycił swój czarny, poplamiony solą płaszcz i wyszedł. W chwilę później wrócił i ryknął:

- Luke, ty też jesteś potrzebny. Jeśli tylko da pan radę ciągnąć linę jedną ręką, szybko na pokład!

Przez następną godzinę niewielki statek unosił się jak korek na wzburzonych, pokrytych pianą wodach kanału. Ellie leżała skulona na koi w maleńkiej kajucie, do której zaprowadzili ją ludzie Jacques'a.

Nie miała wyboru. Musiała przyjść do Luke'a, chociaż wiedziała, że będzie na nią zły. Walczyła z mdłościami i ogarniającą ją słabością. Być może nawet zasnęła na chwilę. Kiedy otworzyła oczy, miała wrażenie, że morze trochę się uspokoiło i statek nie kołysze się już tak gwałtownie. A potem, poprzez skrzypienie statku i dalekie krzyki marynarzy usłyszała pukanie do drzwi kajuty.

Usiadła. Drzwi się otworzyły i do środka wszedł Luke. Zdawał się wypełniać sobą całą kabinę. Ogarnął ją strach, że jest na nią zły i stracił do niej wszelkie ciepłe uczucia.

- Luke, wiem, że to, co zrobiłam, wydaje ci się nierozsądne, a nawet naganne. Musiałam jednak przyjść do ciebie...

Wstała i omal nie upadła. Spojrzał na jej bladą, zmęczoną twarz.

- Usiądź, Ellie. Masz chorobę morską?

Usiadła i odgarnęła niesforne kosmyki z twarzy.

- Obawiam się, że marny ze mnie marynarz. - Usiłowała się uśmiechnąć. - Zawsze mam mdłości na statku.

- Och, Ellie. - Wyciągnął ku niej rękę. - Teraz będziesz musiała to znieść. W Bircham Hall będą cię szukać. Co sobie wszyscy pomyślą? Co pomyśli lord Franklin?

- Pomyśli, że kolejny raz udało mi się pokrzyżować mu plany - odparła spokojnym tonem.

Sięgnął po stołek i usiadł naprzeciwko.

- Co masz na myśli?

- Dzisiaj po południu powiedział, że zabiera mnie do Londynu.

- Do Londynu? Po co?

- Zamierza mi znaleźć francuskiego męża. - Głos jej się załamał. - Takiego, który zabierze mnie z powrotem do Francji i będzie mnie kontrolował. Sprzeciwiłam się. Powiedziałam, że wiem, że nie jest żadnym moim krewnym i że jego matka może samodzielnie chodzić. Oskarżyłam ich oboje o to, że są oszustami. Był wściekły.

Luke uśmiechnął się pod nosem, ale zaraz potem pokręcił głową.

- Och, Ellie - powtórzył. - Więc postanowiłaś mnie odnaleźć i pojechać ze mną do Francji. Tylko że we Francji nie jest teraz bezpiecznie. Co ja mam z tobą zrobić?

- Nie musisz nic ze mną robić - powiedziała, dumnie unosząc podbródek. - Możesz mnie zostawić we Francji. Przecież to mój kraj.

- Twój kraj wkrótce znajdzie się w stanie wojny. - W jego głosie pobrzmiwała gorycz i złość. - Anglia i sojusznicy nie mogą dopuścić do tego, by Napoleon odzyskał tron. Wszędzie mogą być żołnierze, a wiesz, że mam zamiar przede wszystkim wyostać stamtąd Anthony'ego.

- Nie myśl sobie, że będę dla ciebie ciężarem! - Jej oczy błysnęły gniewnie, a na bladych policzkach pojawiły się różowe plamy. - Luke, nie jesteś za mnie odpowiedzialny, a ja nie zamierzam być twoją podopieczną. Przyszłam do ciebie, żeby przynieść ci list!

Sięgnęła po pelerynę i wsunęła dłoń do wewnętrznej kieszeni. Luke stał, niczego nie rozumiejąc.

- Jaki list? Przecież odłożyłem go na miejsce. Powiedziałem ci, że muszę tak zrobić. Kiedy Anthony będzie już bezpieczny, stawię czoło lordowi Franklinowi, także i w tej kwestii.

- Lord Franklin zamierzał wszystko zniszczyć, Luke! Kazał spalić te papiery w ciągu godziny! Słyszałam, jak wydawał rozkazy. Nie mogłam do tego dopuścić! Siedziałam z lordem Franklinem w jego bibliotece. Kiedy wyszedł na korytarz porozma-

wiać z ochmistrem, odszukałam list. – Podała mu złożoną kartkę papieru.

Luke z niedowierzaniem wpatrywał się w złożoną kartkę papieru, którą trzymał w ręku.

– Jesteś na mnie zły, bo teraz musisz zdecydować, co ze mną zrobić. – Wzruszyła ramionami.

– Zły? Nie, na Boga, nie! Jak mógłbym się na ciebie gniewać dłużej niż przez chwilę?

Ellie wychwyciła czułe nuty w jego głosie. Usiadł obok niej na koi.

– No dobrze, możesz mi powiedzieć, że jestem dla ciebie ciężarem. – Usiłowała się roześmiać. – Masz przecież mnóstwo spraw na głowie. Nie chciałam sprawić ci kłopotu, Luke.

– Ty... ciężarem? – powtórzył z niedowierzaniem. – Och, Ellie...

Jej imię zabrzmiało jak pieszczota. Ujął jej twarz w dłonie, a potem zanurzył ręce w jej włosach.

– Luke. – Próbowwała się cofnąć. – Nie wolno ci myśleć, że musisz być dla mnie dobry. – Czuła dławienie w gardle. – Potrafię sobie radzić w życiu. Jestem przyzwyczajona do samodzielności. Prawdę mówiąc, zawsze wolałam być sama.

– Dlaczego?

– Może dlatego że... – Zawahała się. – Że tak było bezpieczniej.

Delikatnie gładził jej ramiona.

– Ja czułem to samo – wyznał. – Przez bardzo długi czas. Dopóki nie spotkałem ciebie, Ellie.

Teraz już nie była w stanie go odtrącić. Zwłaszcza że przyciągnął ją do siebie i pocałował.

W jednej chwili ogarnęło ich pożądanie, jednak nie był to właściwy czas ani miejsce na spełnienie miłosnych pragnień. Nie mieli nawet czasu, żeby dłużej porozmawiać. Ellie wciąż czuła się osłabiona po sztormie, chociaż starała się to ukryć, a w pobliżu czyhało niebezpieczeństwo.

Niech Bóg mi wybaczy, że tak haniebnie wykorzystałem Ellie w rozpaczliwych usiłowaniach odnalezienia brata i przywrócenia mu dobrego imienia, myślał Luke. Prawdę mówiąc, od ich

pierwszego spotkania, musiał sobie wmawiać, że Ellie jest dlań jedynie narzędziem w walce o uratowanie Anthony'ego.

Tymczasem Ellie, niczego nieświadoma, stopniowo kruszyła twardy mur, którym otoczył swe serce. Jakimś cudem udało jej się rozświecić mrok w jego duszy. Owszem, odnalezienie Anthony'ego wciąż stanowiło główny cel w jego życiu. Cóż jednak począłby, gdyby Ellie nie stała się częścią jego życia? Znalazłby się na krawędzi przepaści.

Kiedy poczuł, że Ellie nieznacznie odsunęła się od niego, szybko ujął jej dłoń.

- Musimy poważnie porozmawiać - rzekł. - Ale teraz chciałbym pomóc Jacques'owi bezpiecznie zakotwiczyć statek przy francuskim brzegu, a potem chcę znaleźć Anthony'ego.

- Rozumiem - odparła poważnym tonem. - Pamiętaj jednak, że mówiłam szczerze. Kiedy znajdziemy twojego brata, nie będziesz musiał się o mnie martwić. Dostanę się do Paryża, a tam znajdę sobie jakieś mieszkanie. Podejmę pracę guwernantki albo damy do towarzystwa...

Przerwał jej gwałtownie.

- Nie chcę słuchać podobnych niedorzeczności. Słyszysz? - Czyżby uważała, że mu na niej nie zależy, skoro zamierzała tak szybko go opuścić?

Przytulił ją mocno i oparł się głową o jej czoło.

- Cokolwiek się stanie, *mademoiselle* Duchamp - powiedział szeptem - zostaniesz ze mną. Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

Pokręciła głową.

- Luke... Och, Luke, nie musisz...

- Nikt nie jest w stanie zmusić mnie do czegoś, czego nie chcę zrobić.

- Ale przecież wiem, że... że jest inna. Kobieta, która cię zraniła.

- O Boże - jęknął. - Masz na myśli Caroline? Caroline Fawley? To był błąd. Wiedziałem o tym od początku.

- Chciałeś się z nią ożenić. A kiedy zerwała zaręczyny, byłeś tak rozgoryczony, że zaciągnąłeś się do wojska.

Roześmiał się głośno.

- Tak ci powiedziano?

Sprawiała wrażenie szczerze zaskoczonej.

- A to nieprawda?

- Nie! - Chwycił ją w ramiona. - Posłuchaj! Ja jej nie kochałem, a ona nie kochała mnie.

- W takim razie dlaczego...?

- Uważała, że jestem atrakcyjny - odrzekł z prostotą. - A przy tym trochę niebezpieczny. Stanowiłem dla niej wyzwanie, zwłaszcza po tym, gdy jej ojciec sprzeciwił się naszemu małżeństwu. Jeśli zaś chodzi o mnie, to obawiam się, że postrzegałem ten związek jako sposób na uratowanie majątku, ale na szczęście dla nas obojga nie czułem się z tym ucziwie. Powiedziałem jej, że daję jej możliwość zerwania zaręczyn, że wezmę na siebie całą winę i ludzie będą sobie mogli mówić, co tylko zechcą, na mój temat.

Spochmurniał, po czym kontynuował.

- I wyobraź sobie, ludzie skorzystali z okazji. Towarzystwo uznało, że jestem łajdakiem. To dlatego znalazłem się z naszą armią w Hiszpanii. A jeśli chodzi o Caroline, to zapomniałem o niej już dawno i cieszę się, że się od niej uwolniłem. Myślę tylko o tobie, Ellie. Myślę o tobie ciągle i zawsze będę o tobie myślał. Wierzysz mi?

Usłyszeli czyjś głos.

- Luke? Jesteś tam? Jesteś nam potrzebny!

- Muszę iść - powiedział. - Ale najpierw odpowiedz mi na pytanie. Wierzysz mi?

Wolno pokiwała głową.

- Najpierw znajdziemy twojego brata, a potem porozmawiamy.

Luke postanowił ją przekonać, że są sobie przeznaczeni.

- Znajdę Anthony'ego - zapewnił z powagą.

- Wiesz, gdzie teraz przebywa? Będziesz musiał przedostać się na brzeg w nocy?

- Tak. Wiem, że Anthony mieszka teraz w klasztorze koło Hawru, ale nie wiem, jak daleko od miasta...

- Mam mapy - przerwała. - Mapy mojego ojca. Są w torbie. Przez pewien czas mieszkaliśmy w Hawrze.

Przez chwilę wpatrywał się w nią w osłupieniu, a potem zaczął się śmiać.

- Och, Ellie, Ellie! Jesteś taka cudowna!

- Luke! - Ktoś znów głośno wykrzyczał jego imię. Ellie pośpiesznie otwierała torbę. - Zamierzasz udać się na brzeg sam? - spytała, podając mu mapę.

- Z moją kiepską znajomością francuskiego? - Pokręcił głową. - To nie byłby dobry pomysł. Zamierzam wziąć ze sobą człowieka Jacques'a.

- Zabierz mnie - zaproponowała.

- Ciebie? W żadnym razie! Nie chcę cię narażać...

Uniosła głowę.

- Zabierz mnie. Już ci mówiłam, że znam Hawr i okolice. A jeśli spotkasz żołnierzy Napoleona, to z pewnością prędzej przepuszczą kobietę i mężczyznę niż dwóch mężczyzn. Zwłaszcza że ludzie Jacques'a wyglądają jak piraci.

Uśmiechnął się.

- Nie mogę znów cię narażać...

- Nie wyjdiesz stąd - zagroziła - dopóki mi nie obiecasz, że mnie z sobą zabierzesz. - Wspięła się na palce i pocałowała go tak namiętnie, że serce omal nie wyskoczyło mu z piersi.

Kiwnął głową na znak, że się zgadza. Tuż przed świtem Wattersonowie przewieźli go łódką do niewielkiej zatoczki oddalonej o pół mili od Hawru. Towarzyszyła mu Ellie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Później, ilekroć Ellie przypominała sobie tę podróż, dochodziła do wniosku, że chociaż groziło im wielkie niebezpieczeństwo, była szczęśliwa – bo miała przy sobie Luke’a, który jej potrzebował.

Bracia Wattersonowie nader niechętnie zostawili Luke’a na francuskiej ziemi. Wcześniej Ellie pokazała mu mapę, zwracając uwagę na liczne szczegóły dotyczące portu i jego zaplecza.

– Byłam kiedyś w wiosce Montvilliers, w której znajduje się klasztor – powiedziała. – To tylko trzy mile od wybrzeża, ale oczywiście będziemy musieli unikać głównych dróg. Pójdziemy pieszo?

Kiwnął głową.

– Tak. Zwrócimy na siebie uwagę, jeśli wynajmiemy konie.

– Skoro mamy iść pieszo, wybierzmy tę drogę – wskazała miejsce na mapie – a potem tę, wzdłuż rzeki i przez las. Dobrze?

Jacques w nieskończoność powtarzał, że muszą być ostrożni.

– Pamiętajcie, że nie wiemy, ilu miejscowych popiera Napoleona. Bez wątplenia dojdzie do wojny i w najbliższym czasie Anglicy nie mogą czuć się bezpiecznie we Francji. – Uważnie przyjrzał się Luke’owi i Ellie. – Będziecie podróżować jako mąż i żona?

– Tak – odpowiedział Luke.

Ruszyli wąską drogą prowadzącą od morza. Mijali bujne zielone pola i dębowe lasy Normandii. Luke niezmiennie podziwiał zaradność i optymizm Ellie. Jak dałby sobie bez niej radę?

Jacques nie mylił się, nakazując im czujność. Chociaż trzymali się z dala od miasta i głównych dróg, często spotykali ludzi. Sędziwy francuski farmer jadący naprzeciwko nich na koniu był niezmiernie ciekaw, kim są. Ellie wdzięcznie odpowiadała na

liczne pytania, informując mężczyznę, że podróżują do Rouen, by odwiedzić rodzinę.

- Musi pani uważać - ostrzegł farmer, ruchem głowy wskazując Luke'a - bo pani silny mąż może zostać wcielony do armii.

Luke zrozumiał słowa mężczyzny i uniósł okaleczoną prawą rękę.

- *Hélas, monsieur* - powiedział.

- No to może nie wciela - mruknął farmer.

Słońce znajdowało się coraz wyżej na niebie i na drodze spotykali coraz więcej osób. Jeśli ktoś ich zagadał, Ellie odpowiadała z pogodnym uśmiechem. Francuzi zapewne myśleli, że trzyma męża pod pantoflem. Kiedy Luke podzielił się tą obserwacją z Ellie, zaróżowiła się delikatnie na dźwięk słowa „mąż”.

Zostawiła swoją cenną torbę pod opieką Jacques'a na statku, ale Luke gotów był iść o zakład, że miała przy sobie pistolet. W wewnętrznej kieszeni jego płaszcza spoczywał zaś nóż. Nawet lewą ręką potrafiłby się nim zręcznie posłużyć, by obronić Ellie przed napastnikiem.

W drodze starał się nie rozmyślać zbyt wiele, a przede wszystkim nie planować przyszłości. Cały czas był jednak świadom obecności Ellie u swojego boku. Odnosił wrażenie, że stała się nieodłączną częścią jego życia. Miała na sobie szarą pelerynę, jednak oczami wyobraźni wciąż widział ją w działającej na zmysły jedwabnej sukni, którą włożyła pamiętnego wieczoru w Bircham Hall. A także pozbawioną tej sukni...

Była piękna i odważna. Zaryzykowała wszystko, by udać się z nim w tę podróż, i nie oczekiwała niczego w zamian. „Nie będziesz musiał się o mnie martwić”, powiedziała mu w kajucie. „Dostanę się do Paryża, a tam znajdę sobie jakieś mieszkanie. Podejmę pracę...”

Szła teraz przodem. Kiedy znaleźli się na szczycie wzgórza, skąd roztaczał się widok na dolinę, przystanęła i rozłożyła mapę ojca.

- Tam w dole jest wioska - powiedziała z oczami błyszczącymi nadzieją. - Nad rzeką.

Skinął głową.

- Ellie. Nigdy nie będę w stanie ci się odplacić za wszystko,

co dla mnie zrobiłaś. Ale kiedy wrócimy do Anglii... kiedy Anthony będzie bezpieczny...

- Kiedy Anthony będzie bezpieczny, wrócimy do tej rozmowy - przerwała mu. - Chodź, Luke. - Chwyciła go za rękę. - Jesteśmy już prawie u celu.

Zeszli do doliny i po niedługim czasie znaleźli się w wiosce. Brukowane kocimi łbami uliczki pełne były ludzi. Luke czuł narastające napięcie. Tymczasem Ellie szła spokojnie, jakby nieświadoma licznych spojrzeń kierowanych w ich stronę. W pewnej chwili podeszła do starszej kobiety siedzącej obok studni.

- *Madame. Où est le couvent, s'il vous plait?*

Pytała o klasztor. Luke miał nadzieję, że trafili do właściwej wioski i że ich trud nie był daremny. Że Anthony żyje. Choć nigdy nie był religijny, teraz się modlił.

Kobieta wyciągnęła rękę i szybko odpowiedziała Ellie. Udali się do niskiego kamiennego budynku w cieniu kościoła i zapukali do drzwi. Otworzyła je zakonnica w czarnym habicie. Luke usłyszał, jak Ellie pyta ją o chorego Anglika i wymawia imię brata.

Zakonnica poprowadziła ich przez bramę do wewnętrznego ogrodu pełnego kwitnących jabłoni.

Ellie zwróciła się do Luke'a.

- Mówi, że jest tutaj... Leży w osobnej sypialni. Musimy do niego iść, Luke.

Zakonnica, wśród szelestu czarnego habitu, zaprowadziła ich do dużego pobielanego pokoju. W rogu stało żelazne łóżko. Leżące na nim prześcieradła i poduszki były białe, oświetlone słońcem, wpadającym do wnętrza przez wysokie okno. W łóżku, oparty o świeżo wykrochmalone poduszki, leżał brat Luke'a.

Stali w milczeniu, gdy nagle Anthony otworzył oczy i powoli się uśmiechnął.

- Luke - powiedział i uśmiechnął się szeroko. - Bracie... Długo mnie szukałeś.

Ellie siedziała w cieniu jabłoni, upajając się zapachem kwiatów. Liczne jaskółki swiergotały na dachu klasztoru. Świado-

mość, że Luke odnalazł brata, była warta wszystkich wyrzeczeń. Tym bardziej że zakonnica powiedziała, że Anthony wraca do zdrowia.

Mimo wszystko jej serce ścisnęło się bólem. Minione chwile na zawsze zapamięta jako cudowne. Byli tylko we dwoje, złączeni wspólnym celem. Świetnie im się rozmawiało, często żartowali. Czuła się potrzebna Luke'owi w jego poszukiwaniach. Pokochała go, co łączyło się z tym, że stała się wobec niego bezbronna. A przecież tyle razy obiecywała sobie, że będzie unikać takiej sytuacji. Luke powiedział jej, że odbędą poważną rozmowę, kiedy Anthony będzie już bezpieczny.

Nie mogła jednak zapomnieć słów lorda Franklina. Nie wyjawiała jeszcze Luke'owi ostatniego ostrzeżenia, jakie usłyszała. „Jeśli dojdą mnie słuchy, że masz jakikolwiek kontakt z Lukiem Danburym, doprowadzę go do upadku. Zniszczę jego reputację, majątek, dzierżawców... straci wszystko. Możesz być tego pewna!”.

Kiedy Luke pojawił się na klasztornej dziedzińcu, serce radośnie podskoczyło jej w piersi. Stał się jej tak bliski, tak drogi... I tak bardzo go pragnęła. Nie musiał mieć na sobie modnego stroju, nie musiał się też niczym chełpić, jak czynili to inni mężczyźni. Kochała go dla niego samego, takim jaki był, w sfatygowanym długim płaszczu, zakurzonych butach, z rozczochranymi włosami i kilkudniowym zarostem. Ten całkowity brak próżności ujmował ją do głębi.

Wstała i uśmiechnęła się promiennie.

- Och, Luke. Czy twój brat wyzdrowieje?

Położył ręce na jej ramionach.

- Tak. Dzięki Bogu - odparł głosem pełnym emocji.

Objęła go w pasie i przytuliła się twarzą do jego policzka.

- Tak bardzo się cieszę - powiedziała cicho i popatrzyła na Luke'a. - A co teraz zrobimy? Czy Anthony uda się w podróż do domu?

- Tak. Powiedziałem mu, że w Anglii czekają na niego Monique i Harry i że zamierzam przywrócić mu dobre imię. Anthony pojedzie z nami do Anglii. Ale teraz, Ellie, chciałbym porozma-

wiać o nas. O tobie i o mnie.

W ogrodzie słyhać było teraz tylko szum fontanny i świergot jaskółek na dachu. Usiedli na kamiennej ławce i tam Luke wyznał, że Ellie jest dla niego wszystkim.

- Mam ci bardzo niewiele do zaproponowania - rzekł. - Dysponuję jedynie podupadłym majątkiem. Ale będziesz miała mnie. Moją miłość, mój szacunek i oddanie. Kocham cię, Ellie.

Poczuła miłe ciepło, rozchodzące się po całym ciele. Ten mężczyzna spełnił jej najskrytsze, nieuświadomiane dotąd marzenia. Poczuła przyływ nadziei... i to właśnie przerażało ją najbardziej.

Luke uniósł ku sobie jej twarz, ująwszy dłonią podbródek.

- Masz w oczach łzy? - Zmarszczył czoło. - Ellie, spędziłem z tobą tak wiele czasu, ale nigdy nie widziałem, jak płaczesz.

Głęboko zaczerpnęła tchu i powiedziała mu o groźbach lorda Franklina w bibliotece. Na chwilę zacisnął szczęki, ale zaraz wyraz jego twarzy złagodniał.

- Zajmiemy się tym. Ale teraz się stąd nie ruszę, dopóki nie usłyszę twojego „tak”.

- Ależ, Luke...

Nie pozwolił jej dokończyć, składając pocałunek na jej ustach. Nigdy wcześniej nie czuł, że ma prawo do szczęścia. Obwiniął się o to, że nie udało mu się uratować brata i że srodze zawiódł swych dzierżawców. Od czasu zerwania zaręczyn z Caroline nigdy nie myślał o małżeństwie.

Teraz jednak całował Ellie tak długo, aż zapomniał o wszystkich problemach; o niegodziwości lorda Franklina i gorzkich doświadczeniach z przeszłości. Liczyła się dla niego tylko Ellie, jej zapach, smak, dotyk jej delikatnego ciała, które uwielbiał trzymać w ramionach. Żarliwie odwzajemniała jego pocałunki.

Odsunęli się od siebie dopiero wtedy, gdy zabrakło im tchu.

- Powiedz „tak”, Ellie. Powiedz, że za mnie wyjdiesz.

- Tak - wyszeptała. - Och, tak! Ale co będzie z...?

- Z lordem Franklinem? - wszedł jej w słowo. Jego uśmiech wyrażał pewność siebie. - Zajmiemy się nim zaraz po powrocie do Anglii. Udam się do niego z wizytą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Londyn

Kiedy wynajęty powóz jechał zatłoczonymi ulicami wielkiego miasta, Ellie poczuła strach. Bezwiednie wygładziła satynową pelisę i jedwabne spódnice wieczorowej sukni. Czy dam radę? – zastanawiała się. I co będzie, jeśli go zawiodę?

Na szczęście Luke był tuż obok niej. Chwycił ją za rękę; poczuła uścisk jego cieplej, mocnej dłoni.

– To naprawdę będzie wspaniały wieczór – zapewnił.

Uniosła wzrok.

– Ależ, Luke – powiedziała głosem niewiniątka. – Każda noc z tobą jest wspaniała. Myślisz, że naprawdę powinniśmy iść na ten bal?

Pochylił się i ją pocałował.

– Myślę, że to konieczne – odparł poważnym tonem.

Ellie skinęła głową i zapatrzyła się w okienko na inne powozy i tłumy na chodnikach. Po pewnym czasie zadała Luke'owi typowe dla kobiet pytanie.

– Czy dobrze wyglądam?

Uniósł jej dłoń do ust i ucałował.

– Wyglądasz wspaniale. – Westchnęła, zadowolona, i wtuliła się w niego.

Powóz zmierzał w stronę Clarges Street i domu lorda Franklina.

Minęły już dwa tygodnie, odkąd wrócili do Anglii na pokładzie statku Jacques'a. Od razu zawieźli Anthony'ego do Higham House, do żony i synka.

Ellie także została tam z Lukiem.

– Chcę, żebyśmy wzięli ślub, Ellie – powiedział jej pewnej nocy, kiedy spacerowali brzegiem morza i odprowadzali wzro-

kiem statek Jacques'a znikający na horyzoncie. – I to jak najszybciej.

– Ale przecież lord Franklin... Groził, że cię zniszczy.

– Lord Franklin jest w Londynie. Jeszcze przez jakiś czas nie dowie się, że tu jesteśmy. Ma teraz inne sprawy na głowie. Ale w końcu... – Twarz Luke'a stężała. – Możesz mi wierzyć, wiem, jak sobie z nim poradzić.

– Chodzi ci o list? Ale przecież lord Franklin ma bardzo wpływowych przyjaciół, Luke!

– A ja mam coś innego. Zobaczysz. – Uśmiechnął się. – Niedługo złożymy mu wizytę w Londynie. Ale teraz chcę cię tylko dla siebie.

Złączeni uściskiem wrócili do domu. Luke poprowadził Ellie do swej sypialni, uniósł ją i położył na łóżku stojącym w rogu, a potem obsypał ją pocałunkami.

Luke rozsznurował jej gorset i objął dłońmi piersi, a potem zaczął je pieścić ustami.

– Ellie... – wyszeptał i zaczął całować jej szyję i piersi. Wsunęła mu ręce pod koszulę i przytuliła go do siebie. Bezwiednie wypchnęła przy tym w górę biodra, by jak najprędzej się z nim zepolnić.

Po szalonej, upojnej nocy długo spali w swoich ramionach.

Spędzili dziesięć dni i nocy w Higham House. Dla Ellie był to czas pełni szczęścia. Udało jej się odegnać lęki na temat przyszłości i smutki minionych lat. Luke pracował na polach i spędzał wiele czasu z bratem.

Anthony nie doszedł jeszcze w pełni do siebie po chorobie, ale często spacerował z Lukiem nad morzem. Monique i Ellie cieszyły się, że bracia mają nareszcie czas na rozmowę i wspomnienia.

Monique bardzo chciała nauczyć się angielskiego. W słoneczne dni Ellie często siadywała z nią na podwórzu, a mały Harry bawił się konikiem, którego wystrugał dla niego Anthony. Ellie uwielbiała patrzeć na zabawy ojca i syna. Marzyła, że i ona pewnego dnia będzie mogła z Lukiem cieszyć się potomstwem.

Sielanka musiała jednak kiedyś dobiec końca. Kiedy Luke

oznajmił jej, że muszą jechać do Londynu, była do tego przygotowana.

- Gdzie się zatrzymamy? - spytała.

- Mam tam dom - odpowiedział.

Nie kryła zaskoczenia. Wrócili właśnie z przejażdżki konnej. Luke chciał zobaczyć, jak postępują prace na farmie Neda Rawlinga.

Przytrzymał konia Ellie i pomagał jej zsiąść.

- Dom? - powtórzyła za nim.

- Nic wielkiego - odpowiedział. - Znajduje się niedaleko Cheapside. Został wynajęty londyńskiemu kupcowi, ale niedawno się wyprowadził. Znajome małżeństwo opiekuje się domem podczas mojej nieobecności. Teraz ten dom pomoże mi w zrealizowaniu planów.

- To zabrzmiało tak, jakbyś miał na myśli jakiś interes.

- Bo tak jest - odparł poważnym tonem. - Nadszedł czas, że bym zmierzył się z lordem Franklinem. Ellie... czy nadal chcesz tam ze mną jechać?

Poczuła kropelki zimnego potu na plecach, ale przytuliła policzek do torsu Luke'a i jej obawy natychmiast się rozwiały.

- Nie musisz o to pytać - odparła. - Dobrze znasz odpowiedź. Pojadę z tobą wszędzie. Wszędzie.

Dom lorda Franklina w Mayfair wydawał się Ellie przytłaczająco wielki, a do tego odpychająco zimny. Liczni służący stojący w holu przypominali posągi. Dom Luke'a przy Wood Street był mniejszy i przytulniejszy. Zajmowali się nim małżonkowie w średnim wieku. Przywodzili Ellie na myśl Toma Bartletta i jego żonę. Powitali Ellie bardzo serdecznie.

Zwracali się do niej: „pani Danbury” albo „madame”. Wcześniej Luke włożył jej na palec srebrną obrączkę.

- Niedługo naprawdę zostaniesz moją żoną, Ellie - obiecał, całując ją w czoło.

- Najpierw musisz zakończyć swoje sprawy z lordem Franklinem - powiedziała. - Do tego czasu zaczekamy ze ślubem.

- W takim razie pozostaje mi mieć nadzieję, że nie będziemy musieli długo czekać.

To właśnie wtedy powiedział jej, że następnego dnia wieczorem lord Franklin wydaje przyjęcie dla swoich znamienitych przyjaciół.

- Ostatnio sprowadził tu dzieła sztuki z Paryża. Nabył je, kiedy Napoleon pozostawał na wygnaniu. Teraz pragnie je zaprezentować gościom. My też tam pójdziemy.

Nie kryła przerażenia.

- Luke! Przecież nas nie wpuszczą! Chyba nie zapomniałeś, że ci groził. Zniszczy cię, jeśli się dowie, że jesteśmy razem!

Przyciągnął ją do siebie i pocałował koniuszek jej nosa.

- A ja myślałem, że mi ufasz, Ellie.

- Oczywiście, że ci ufam. Ale...

- Przyjęcie odbędzie się jutro wieczorem - oznajmił. - Chciałbym, żebyś wyglądała olśniewająco. Jutro rano pójdiesz do modniarki. Będziesz musiała sprawić sobie gotową suknię, ale to nie ma znaczenia. I tak będziesz najpiękniejszą kobietą na balu.

Wybiła ósma wieczorem w dniu przyjęcia i wynajęty powóz skręcał w Piccadilly, by zawieźć ich na Clarges Street do domu lorda Franklina.

Ellie zastanawiała się, co poczuje na widok domu, w którym czuła się tak bardzo samotna i bała się o przyszłość. Pocieszała się jednak myślą, że ma teraz obrońcę u swego boku. Gdy powóz się zatrzymał, przytuliła się do Luke'a i szepnęła:

- Ty też wyglądasz wspaniale.

Mówiła szczerze. Miał na sobie doskonale skrojony czarny frak i spodnie w jasnym kolorze. Ellie wpięła srebrną szpilkę, należącą niegdyś do dziadka Luke'a, w śnieżnobiały krawat.

- Luke, jesteś ubrany jak dandys - droczyła się. Poznała to słowo, kiedy dziwiła się wymyślnym strojom niektórych dżentelmenów na ulicach Londynu.

- Mam nadzieję, że to nieprawda. - Zrobił pocieszoną minę.

- Oczywiście, że nieprawda. - Pogładziła go po policzku.. - Prezentujesz się tak przystojnie, że wszystkie kobiety oszaleją na twój widok.

Włożył czarną skórzaną rękawiczkę na prawą dłoń.

- Wcale mnie to nie cieszy. Bo pragnę tylko ciebie.

Wysiedli z powozu i Luke poprowadził ją w stronę szerokich schodów wiodących do okazałych drzwi domu lorda Franklina. Dookoła płonęły liczne pochodnie, a lokaje w liberii witali gości.

- Sir. - Lokaj skłonił głowę przed Lukiem. - Czy mogę zobaczyć pańskie zaproszenie?

- Nie ma takiej potrzeby - odpowiedział suchym tonem Luke.

- Zapewniam cię, że jego lordowska mość mnie oczekuje. - Przychodzili coraz to nowi goście, na schodach panował tłok. Luke skorzystał z chwilowego zamieszania, minął lokaja i pociągnął za sobą Ellie. Podał jej pelisę innemu lokajowi, stojącemu w holu. Pod okazałymi żyrandolami zgromadziła się już służba i goście. Niemal wszyscy zwrócili się w ich stronę.

Ellie prezentowała się wspaniale. Miała na sobie suknię z zielonego jedwabiu z głębokim dekoltem. Jediną ozdobę stroju stanowiły zielone wstążki w wysoko upiętych włosach i srebrny łańcuszek na szyi. Modniarka dokonała kilku przeróbek, by suknia podkreślała szczupłą figurę Ellie. Inne kobiety miały na sobie sztywne suknie z jedwabiu albo satyny, ozdobione koronką. Prezentowały okazałe klejnoty i fryzury z piórami, jednak oczy wszystkich mężczyzn skierowane były w stronę Ellie.

- Wyglądasz cudownie - szepnął Luke pod nosem. - Olśniewająco.

- Danbury. - Nazwisko Luke'a zabrzmiało jak wystrzał. Mieli przed sobą lorda Franklina. - Danbury - powtórzył z pociemniałą z gniewu twarzą. - Jak tu wszedłeś? Kto cię tu wpuścił. A ty, Elise?

Gwałtownym gestem przywołał lokaja.

- Proszę wskazać temu panu drzwi. Natychmiast. A ty, Elise, zostajesz tutaj. Muszę z tobą porozmawiać.

- Nie. - Luke postąpił o krok. - Musimy porozmawiać, milordzie. - Wokół nich zaczął się gromadzić tłum. - Z pewnością będzie pan zainteresowany tym, co mam do powiedzenia - kontynuował. - Mój brat, Anthony, niedawno wrócił z Francji.

Lord Franklin nieznacznie się cofnął.

- Pan - mówił dalej Luke - i pańscy znajomi, którzy znajdują

się teraz pod tym dachem, z pewnością się ucieszą na wieść o jego powrocie. Zwłaszcza że on i jego towarzysze nadzwyczajnie zasłużyli się naszemu krajowi, co, musi pan przyznać, nie zostało dotąd należycie zauważone przez nasze władze...

- Niech pan zamilknie - rzekł lord Franklin z twarzą ściągniętą gniewem. - Proszę mi wybaczyć, panie i panowie, ale muszę przez chwilę porozmawiać z... tą osobą. - Zwrócił się do Luke'a. - Przejdźmy do mojego gabinetu, Danbury.

- Dobrze - odparł Luke. - Zaczekasz tu na mnie? - zapytał Ellie.

- Oczywiście - odparła krótko, choć miała ochotę dodać: „Dobrze wiesz, że zawsze będę na ciebie czekać”.

Luke przebywał w gabinecie lorda Franklina przez niemal kwadras. Zgromadzeni goście udawali, że nic się nie stało. Rozbrzmiały dźwięki muzyki, na parkiecie pojawiły się pary tańczących, grano w karty, flirtowano. Ellie widziała jednak, że wszyscy się rozglądają, tak bardzo spragnieni plotek, że niemal płoną z ciekawości.

Podeszło do niej kilka kobiet.

- Jest pani kuzynką lorda Franklina? - spytały. - Powiedziały nam, że wróciła pani do Francji!

Udawała, że nie rozumie angielskiego. Usiadłszy w sali wypełnionej muzyką i gwarem rozmów, myślała o Luke'u.

Kiedy wszedł do salonu w towarzystwie lorda Franklina, natychmiast wstała, żałując, że nie może teraz rzucić się Luke'owi w ramiona. Sprawiał wrażenie opanowanego, tymczasem lord Franklin z trudem skrywał wściekłość. W sali zapanowała cisza. Nawet muzycy przestali grać.

Lord Franklin stanął na środku sali.

- Panie i panowie. Zgromadziliście się tu dzisiaj, żeby podziwiać obrazy, które ostatnio nabyłem w Paryżu. Wykazaliście się państwo wielką cierpliwością. Zapraszam do galerii na piętrze, gdzie będę mógł je zaprezentować.

Goście, idąc za lordem Franklinem, zaczęli wstępować na schody. Ellie została w pokoju. Luke podszedł, ujął jej dłoń i przyłożył do warg.

Serce podskoczyło jej w piersi, gdy zobaczyła, że jego oczy błyszczały radośnie.

- Już po wszystkim - rzekł. - Chodźmy stąd, kochanie.

Na ulicy Luke zatrzymał dorożkę. W drodze do domu opowiedział Ellie o wszystkim.

- Oczywiście miałem ten list z biblioteki lorda. Powiedziałem, że chcę, by wszystkich tych dzielnych żołnierzy odznaczono medalami. Żywych i zmarłych. Zostali haniebnie potraktowani przez brytyjskie władze...

- Lord Franklin wpadł w szal i starał się wszystkiemu zaprzeczyć. Potem zaczął mówić, że cię ostrzegał i nadal może mnie zniszczyć... Cóż, to oczywiście jest prawdą, bo on i jego przyjaciele mają wielkie wpływy... Oznajmiłem mu jednak, że mam w zanadrzu coś jeszcze.

- Co takiego, Luke? - Wtuliła się w niego, gdy dorożka turkotała na Pall Mall. Poczowała przypływ nadziei... dla Luke'a i ich wspólnej przyszłości.

- Kilka miesięcy temu - ciągnął Luke - doszły mnie plotki na temat lorda Franklina. Poleciałem Jacques'owi, żeby wypytał o niego we Francji i moje podejrzenia się potwierdziły. W ostatnich latach wojny lord Franklin nielegalnie wysyłał angielskie złoto do Paryża. Dzięki temu kupował upragnione dzieła sztuki od działających nielegalnie handlarzy. Gdyby te wieści rozeszły się w Londynie, wybuchłby skandal. Wyobraź sobie tylko... współpraca z wrogiem podczas wojny! Co by na to powiedzieli jego koledzy z rządu?

- Dziś wieczorem - kontynuował - lord Franklin zaniemówił, gdy się dowiedział, że o tym wiem. Obiecałem, że będę milczał, jeśli zadba o to, by świat zachwycił się heroiczną postawą *Les Braves*. Zaznaczyłem jednak, że jeśli kiedykolwiek w przyszłości próbowałby się zemścić na Anthonym albo na mnie... na nas, Ellie... prawda o jego niecznych postępках wyjdzie na jaw. Zapewniłem go, że o to zadbałem. Już jest po wszystkim, kochanie. - Chwytał ją w swe silne ramiona. - Kocham cię. Przyszłość należy do nas. Potrzebuję cię i cię pragnę.

Zaczął całować ją tak namiętnie, że przerwał dopiero, gdy do-

roźkarz zawołał:

- Wood Street! Dojechaliśmy do pańskiego domu, sir!

Ellie pomyślała, że dom jest wszędzie tam, gdzie jest Luke.

EPILOG

Kent

Wybrali wspaniałe miejsce na ślub. W małym kościółku z widokiem na morze było niewiele miejsca, jednak zmieścili się tam wszyscy najbliżsi - Anthony, Monique i Harry, Jacques i jego marynarze, Bartlettowie i bracia Watterson. Licznie stawili się też dzierżawcy Luke'a, z twarzami ogorzwałymi od słońca i wiatru. Był początek czerwca, zboża dojrzewały na polach, a owce pasły się na letniej trawie.

Minionej nocy fajerwerki rozświetliły nocne niebo na powitanie oddziałów z Kent, wracających do kraju po wielkim zwycięstwie pod Waterloo. Wojna się skończyła. Napoleon został zesłany na wygnanie na wyspę Świętej Heleny.

- Tym razem już się nie wymknie - powiedział Luke do Ellie. - Stamtąd nie uda mu się uciec.

Ellie wiedziała, że Luke martwi się o powracających żołnierzy, zwłaszcza o tych, którzy odnieśli rany. Bał się, że nie znajdą pracy.

- Możesz niektórych zatrudnić do pracy na ziemiach Danburych, Luke - podsunęła. - Na początek kilku. Wciąż masz pola, stojące odłogiem od lat. I opustoszałe farmy.

- Zastanowię się nad tym po naszym ślubie - obiecał.

Ellie postanowiła, że to Jacques odda ją jak swą córkę panu młodemu.

- Bardzo mądry wybór, *mademoiselle!* - Rozpromienił się Jacques. - Któż może lepiej się do tego nadawać niż rodak?

Teraz Jacques prowadził ją główną nawą rozświetlonego słońcem kościoła, a Luke czekał na nią przy ołtarzu z Anthonym, w roli drużb. Obaj mieli na sobie ciemne fraki. Siedząca w pierwszej ławce Monique uśmiechała się do niej, Harry pod-

skakiwał u boku matki, wołając: „Ciocia Ellie! Ciocia Ellie”!

Była ubrana w tę samą zieloną jedwabną suknię, którą włożyła na przyjęcie u lorda Franklina. Welon z kremowej koronki okrywał jej twarz i ramiona. Niosła skromny bukiet ślubny z dzikich róż, które tego ranka zerwała dla niej Monique. Luke patrzył na nią z podziwem i dumą we wzroku.

Czekał na nią. Miała wrażenie, że jej życie zaczęło się wtedy, gdy spotkała go na drodze do Bircham. I to było bardzo dawno temu. Definitywnie pozostawiła w przeszłości samotność, strach i rozpacz.

- Wyglądasz wspaniale - powiedział cicho Luke. - Jesteś gotowa?

- Tak - odparła szeptem.

Po ceremonii ślubnej udali się przez trawnik do grobów rodziców i dziadka Luke'a. Leżały na nich świeże wianki kwiatów. Luke długo trzymał dłoń na tablicy. Wkrótce do zadanej bramy cmentarnej podjechał ozdobiony letnimi kwiatami lekki powóz zaprzężony w kuca, by zawieźć państwa młodych do Higham House, gdzie miało się odbyć przyjęcie dla wszystkich gości. Pani Bartlett zadbała o to, by na weselu nie zabrakło jedzenia ani picia.

Ellie wracała do domu jako żona mężczyzny, którego będzie kochać do końca życia. Tymczasem goście zgromadzili się wokół powozu, patrząc, jak Luke pomaga jej wsiąść. Następnie obrzucili państwa młodych wonnymi płatkami róż i składali życzenia szczęścia na nowej drodze życia.

Luke usiadł obok Ellie i na oczach wszystkich uniósł jej welon i ją pocałował, wzbudzając entuzjazm zgromadzonych.

- Na zawsze moja - wyszeptał.

- Na zawsze. - Odwzajemniła pocałunek, myśląc, że ceremonia ślubna jedynie dopełniła formalności, jako że przysięgli sobie miłość na dziedzińcu skąpanego w słońcu klasztoru we Francji i odtąd mieli dzielić wszystkie smutki i radości.

Tom chwycił lejce i zamierzał ruszyć, kiedy rozległ się dziecięcy krzyk. Ellie zobaczyła, że mały Harry, trzymany przez Monique, wyciąga rączki w stronę Luke'a.

- Chcę jechać, jechać - wołał.

- Nie możesz teraz jechać - napomniała go Monique, ale Luke już chwycił malca w ramiona.

- W takim razie chodź - rzekł i posadził sobie bratanka na kolanach. - Im będzie nas więcej, tym weselej.

Harry z zadowoleniem usiadł na kolanach Luke'a. Powóz ruszył, a roześmiani goście udali się za nim ścieżką wzdłuż klifu. Serce Ellie przepełniało szczęście.

Kiedy będą sami, powie Luke'owi, że zostanie ojcem, aby ten cudowny dzień był zapowiedzią równie cudownej przyszłości.

Tytuł oryginału: The Captain and His Innocent
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Ltd, 2016
Redaktor serii: Dominik Osuch
Opracowanie redakcyjne: Dominik Osuch
Korekta: Lilianna Mieszczńska

© 2016 by Lucy Ashford

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.
Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.
Harlequin i Harlequin Romans Historyczny są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.
HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.
Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-3425-2

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy
Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty
Epilog
Strona redakcyjna